

H. MELVILLE.

CZTERY MIESIĄCE POBYTU

NA JEDNEJ Z WYSP MARKIZÓW

POŚRÓD DZIKICH

WARSZAWA.
MAURYCY ORGELBRAND.

11703

11703

H. MELVILLE.

CZTERY MIESIĄCE POBYTU
NA JEDNÉJ Z WYSP MARKIZÓW POŚRÓD DZIKICH.

Handwritten signature

58

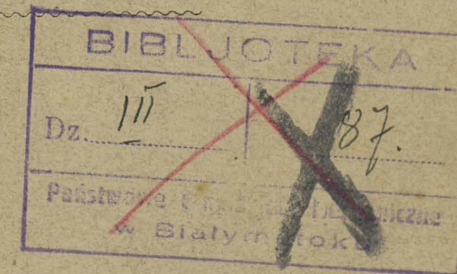
✓
H. MELVILLE.

✓
CZTERY MIESIĄCE POBYTU
NA JEDNÉJ Z WYSP MARKIZÓW

POŚRÓD DZIKICH.

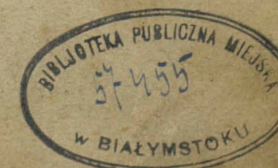
2-
WOLNY PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO
ZUZANNY ZAJĄCZKOWSKIEJ.

Ozdobione czterema kolorowanymi rylinami.



WARSZAWA.
NAKŁAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1882.





Дозволено Цензурою.

Варшава, 10 Сентября 1880 г.

820(73)-311.8



225.9.45

W drukarni J. Bergera, Elektoralna Nr. 14 w Warszawie.

(963.1)

WSTĘP.

W lecie, roku 1842, okręt amerykański „Dolly” zatrzymał się przy wyspach Markizach. Służyłem na nim jako majtek. Niejedna z przygód, które są przedmiotem mego opowiadania, wyda się czytelnikowi dziwną, a może niepojętą; ja sam, kiedy dziś myślę o tém, również doznaję tego uczucia; w opowieści mojej przecież niema żadnego naciągania—przedstawiam poprostu to, czego doświadczyłem; nie siłę się na ozdoby, nie wyszukuję nadzwyczajności: sama rzeczywistość mówi tu za siebie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wyspy Markizy.

Okręt nasz „Dolly” wypłynął na połów wielkogłowów i wielorybów. Przez całe pół roku kołysaliśmy się na falach oceanu Spokojnego, pod poalącemi promieniami zwrotnikowego

Czt. m. pob.

1

słońca. Od paru już tygodni brakło nam świeżych zapasów żywności: nie było kartofli, ani owocu drzewa chlebowego; znikły przepyszne pęki bananów, które dotąd zdobiły tylną część naszego okrętu i połowę pokładu, znikły złote pomarańcze, które zwieszały się na naszych masztach i grubych linach masztowych: — solone mięso i suchary okrętowe, oto wszystko, co nam pozostało. W kurniku jedyny tylko przebywał jeszcze mieszkaniec, młody, zuchwały niegdyś kogut, otoczony niedawno gdakającymi kurami. Zabierano mu towarzyszyki jedną po drugiej; leżało teraz przed nim trochę zboża, napóć zmieszanego z plewami, stała resztką wody w korytku, ale on ze wstrętem odwracał się od tego pożywienia, i zdawał się dumać smutnie o zmiennych kolejach losu. Wkrótce jednak ończyć się miał dla niego ten czas smutku i żałoby; Mungo, czarny kucharz, powiedział mi pod sekretem, że wyrok śmierci został już podpisany na „rycerza smutnej postaci” w przyszłą niedzielę miał stać się ozdobą stołu kapitana. Wiadomość ta uradowała całą załogę okrętową, bo wiedzieliśmy o tem wszyscy, że srogi nasz kapitan nie pomyśli o lądzie, dopóki na widoku mieć będzie kawałek świeżego mięsa; a my, tak długo zawieszeni pomiędzy niebem a wodą, całą duszą tęskniliśmy za ziemią.

Nawet okręt nasz stary zdawał się zmęczony tem bezowocnem tułaniem się po bałwanach. Jakób Lewis odpowiedział kapitanowi, który mu robił wyrzuty, że źle steruje: „Jestem ja równie dobrym sternikiem, jak wielu innych, ale rozgrymaszony staruszek nikogo już słuchać nie chce, czy ostro, czy łagodnie się z nim obchodzić, a to dla tego, że czuje, iż do lądu z wiatrem płynąć trzeba — pod wiatr przeto żadna siła iść go nie zmusi.” Okręt, w istocie, wyglądał bardzo nędznie:

malowane boki jego wyblakły od słońca, i pełno w nich było szczelin; za każdym uderzeniem bałwana odrywało się okucie, i częścią, jak frendzla zwieszało się w kawałach, częścią przepadało w falach, a z tyłu poprzyczepiały się kłęby muszli, i ciągnął się olbrzymi ogon trawy morskiej.

Rozeszła się nareszcie radosna wiadomość: „Na przyszły tydzień przybijemy do wysp Markizów!” Już sama ta nazwa wywołała w umyśle moim tysiące różnobarwnych obrazów: stanęli mi przed oczyma utatuowani wodzowie, ludożercy rozłożeni naokoło płomiennego ogniska, gaje kokosowe, słoneczne doliny, zasadzone drzewem chlebowém, zębiaste, jak turnie, rafy koralowe, łódki z pnia wydrążonego, unoszące się na grzbiecie fal błękitnych, ponure lasy, strzeżone przez potworne wyobrażenia bogów, świątynie z bambusu, obrzędy pogańskie, i ofiary z ludzi! — Podobne myśli zajmowały mnie bezustannie w ciągu całej naszej przeprawy. Lekkie passaty popychały nas ku zachodowi, i w ciągu 18 lub 20 dni przebyliśmy dwadzieścia stopni z wysp Gallopagos do Markizów. Niezmiernie byłem ciekawy poznać wyspy, odmalowane w tak świetnych barwach przez starych żeglarzy.

Grupa wysp, do której zbliżaliśmy się, odkryta była w roku 1595 przez żeglarza hiszpańskiego, Mendanę; wysłany on został przez markiza Mendozę, ówczesnego wicekróla Peru, na poszukiwanie kraju złota, i wyspy odkryte nazwał *Markizami*, na cześć tegoż Mendozy. Wyspy te wynurzyły się niespodzianie przed jego oczyma, jakby czar jaki; nie znalazł w nich wprawdzie złota, za którym tak bardzo uganiali się Hiszpanie, niemniej przeto podał światu opis, niedokładny wprawdzie, tego uroczego zakątka. Wkrótce jednak wyspy zapadły w dawną swą tajemniczość. Niekiedy, w półwiekowej przerwie, ja-

ki żeglarz awanturник zawinął na nie przypadkiem: wówczas zapominając o dawnym opisie, podawał je, jakoby przez siebie odkryte. Kook w sławnych swoich podróżach naokoło ziemi, dotknął zaledwie ich wybrzeży. W dzisiejszych dopiero czasach bliższe mamy o nich wiadomości, jakkolwiek również niedokładne. Wprawdzie zbliżają się tam niekiedy amerykańscy i angielscy łowcy wielorybów, ażeby zaopatrzyć się w żywność świeżą w wygodnych portach, jakie posiada jedna z tych wysepek; ale strach dzikich krajowców, z których rąk niejeden już Europejczyk zginął straszną śmiercią, powstrzymuje załogę okrętową: nikt nie śmie zapuścić się w głąb kraju dla zbadania zwyczajów i obyczajów tubylców. Misyjonarze, szczególnie z misyi wyspy Taiti, próbowali w rozmaitych czasach pozyskać wyspiarzy dla swęj świętej sprawy, ale takiego za każdym razem doznali przyjęcia, że i najodważniejszego nawet odbiegła ochota do dalszego krzewienia tam wiary i oświaty. Na krótki czas przed naszym przybyciem udał się w głąb kraju misyjonarz jeden z żoną; była to może pierwsza kobieta, która stąpiła na ziemię Markizów; wrócili jednak wkrótce, a opowiadania ich o przyjęciu, jakiego doznali, strachem przejmowały wszystkich. Krajowcy przeto byli jeszcze w stanie zupełnej, pierwotnej dzikości. Kiedym w lat trzy po opisaniu mych przygód, przybył na Markizy na statku amerykańskim, Francuzi, którzy już od niejakiego czasu zajęli te wyspy, chwalili się, że wprowadzili już do pewnego stopnia oświatę pomiędzy wyspiarzy: to przecież pewne, że zaszczepiając ową oświatę w Whitihi, wymordowali przeszło 150 krajowców. Wracam jednak do mego opowiadania.

Wiatr pomyślny pędził nasz okręt ku wyspom Markizom, oszczędzał nam wszelkiego trudu; rozpieliśmy rodzaj namiotu

na przodzie okrętu, i wypoczywaliśmy, i spaliśmy pod jego osłoną przez cały Boży dzień. Od czasu do czasu gwałtem otrząsałem się z senności, która, jakby czarem wszystkich nas opanowała, i podziwiałem przepyszny widok roztaczający się dokoła. Niebo było pogodne i błękitne; na horyzoncie tylko blade chmurki ułożyły się w rodzaju stałej, nieruchomej draperyi. Ocean szumiał głucho, kołysząc majestatycznie szerokie fale, które lśniły się i migotały w promieniach słonecznych. Od czasu do czasu gromada rybek latających, przestraszona ruchem okrętu, wzbijała się w górę, i po chwili, jak deszcz srebrzysty, napowrót zapadała w morze. Niekiedy pojedynczo wystrzelił z głębi wspaniały albikor, zakreślił łuk w powietrzu, i znikał w bałwanach. W dali pryska w górę wodotrysk—to olbrzym wód, wieloryb, pruje zwolna głębie oceanu, a bliżej nieco, zawsze jednak zachowując największą ostrożność, kręci się koło okrętu chytry wilk morski, straszliwa haja, ścigając nas chciwem swém, zyzowatém okiem. Niekiedy za zbliżeniem się naszym, wstrętny jaki potwór morski znikał nagle z powierzchni i zanurzał się w głębie niezmierzoną; ale najsilniejsze wrażenie robiła nieprzerwana, niezmacona cisza, która rozpostarła się w powietrzu i ponad wodami.

Gdyśmy się już zbliżali do ziemi, pojawiać się zaczęły gromadnie ptaki morskie. Kracząc i zataczając półkregi w powietrznej przestrzeni, leciały za naszym okrętem; od czasu do czasu spuszczały się na reje i grube liny masztowe. Wkrótce inne, wyraźniejsze oznaki wskazywać nam zaczęły, że ląd już niedaleko, a w końcu z kosza masztowego rozległ się radosny okrzyk, w zwykłym majtkom tonie przeciągłym: „Ho! ziemia!“ Kapitan wyskoczył z kajuty na pokład, i wołał, żeby mu podano lupe; sternik, zwracając się do kosza masztowego, zahuczał

gromkim głosem: „Gdzie?“ czarny kucharz wysunął z kuchni wełnistym włosem okrytą głowę, a duży pies, Boatswajn, zerwał się ze swego legowiska, i szczekał, jak wściekły. „Ziemia! ziemia!“ rozlegało się dokoła. Tak, była to ziemia. Za ledwie dająca się rozróżnić błękitna smuga, słabo zarysowywała dumne szczyty gór Nukahiwy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Nukahiwa.

Żeglarze niektórzy uważają Ruahugę, Ruapogę i Nukahiwę za odosobnioną grupę wysp, której nadano imię „Wysp Waszyngtona.“ Tworzą one trójkąt, i leżą pomiędzy $8^{\circ} 38''$ a $9^{\circ} 32''$ szerokości południowej, i $139^{\circ} 20''$ a $140^{\circ} 10''$ długości zachodniej, licząc od Greenwich. Wysp tych za oddzielną grupę uważać niepodobna, oddalone są bowiem o jeden stopień zaledwie na północo-zachód od innych wysp; co większa, mieszkańcy ich mają tenże sam język, religią, ustawy i obyczaje, co wyspiarze sąsiednich Markizów. Arbitralne odosobnienie tych wysp, temu tylko przypisać należy, że dopiero w roku 1791 odkryte zostały przez kapitana Ingraham z Bostonu, w Stanie Massachusetts, a więc w dwieście lat prawie po odkryciu wysp sąsiednich przez Mendanę.

Nukahiwa najznacniejszą jest z wysp Markizów, choćby dlatego, że najwięcej do niej przybija okrętów. Długość jej wynosi blisko osiem godzin, i tyleż prawie szerokość; posiada trzy dobre przystanie, z których największa i najdogodniejsza w języku krajowców nosi nazwę „Tyohi.“ Kapitan Porter, który podczas wojny pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi na Nukahiwie naprawiał uszkodzone okręty, nazwał ją zatoką Massachusetts; plemiona nieprzyjacielskie, mieszkające na

pobrzeżach innych zatok, i wędrowcy w ogóle, dają tej przystani nazwę wyspy, do której należy.

Charakter mieszkańców najbliższych tego portu, stracił już wiele z pierwotnej swjej prostoty, przez zetknięcie się z Europejczykami; ale ich zwyczaje i sposób życia pozostały takimi, jakimi były, gdy pierwszy biały człowiek wysiadł na ich wyspę. Inne szczepy, które żyją w głębi wyspy, i żadnych prawie nie mają z obcymi stosunków, pozostały, o ile o nich wiemy, w pierwotnym swym stanie.

Okolo wieczora rozróżnialiśmy już góry; z lekkim wiatrem płynęliśmy noc całą, a następnego poranku byliśmy już w pobliżu wyspy. Zatoka znajdowała się po drugiej stronie Nukahiwy, musieliśmy więc opływać jeszcze wyspę w znacznej przestrzeni; wysokie skaliste wyżyny zasłaniały wnętrze wyspy, tu i owdzie jednak mogliśmy dostrzedz kwieciste doliny, głębokie przepaście, huczące wodospady i olbrzymie, wspaniałe lasy.

O południu zbliżyliśmy się do przystani, okrążyliśmy dzielący nas od niej przylądek, i wreszcie wpłynęliśmy do zatoki Nukahiwa. Żadnym opisem nie potrafiłbym dać pojęcia o uroku tego zakątka, témbardziej, że urok ten stracony był wówczas dla mnie: widziałem tylko przed sobą trójkolorowe flagi francuzkie, powiewające z sześciu okrętów, których czarne tułowy, i harde, szerokie boki świadczyły, że były to okręty wojenne. Rozsiadły się w rozkosznej zatoce, a zielone wzgórza spoglądały na nie cicho i łagodnie, jakby chciały zmiękczyć nieco tę ich surowość i grozę. Nie bardziej nie mogło mnie zadziwić, jak obecność owych okrętów w tém miejscu; wkrótce dowiedzieliśmy się, co je tu sprowadziło: cała ta grupa wysp, nakrótka przed naszym przybyciem, zajęta została przez kontradmirała Du Petit Thouars w imieniu Francyi.

Podczas, gdyśmy powolnie wpływali do zatoki, od wybrzeży odbiło mnóstwo drobnych łódek, i naraz ujrzeliśmy się pośród prawdziwej flotylli. Dziecy usiłowali koniecznie wejść na nasz pokład; pędziły więc łódki jedna przed drugą, i dokoła nas powstał wir i ruch nie do opisanja. Tu i owdzie pomiędzy łódkami pływały orzechy kokosowe wielkimi pękami powiazane w pewien rodzaj wienca; fale zanurzały je, to znów na wierzch wyrzucały. Dziwnie jakoś orzechy te płynęły prosto ku naszemu okrętowi. Pochyliłem się, i przyglądałem się bacznie, ażeby rozwiązać tę zagadkę; uwagę moję zwrócił jeden szczególniej z tych kęgów, który znacznie wyprzedził inne. W samym jego środku poruszało się coś, co ja uważałem za orzech kokosowy, ale orzech niezwykłej wielkości. Dziwiły mnie ruchy jego, wyróżniające go z pośród innych orzechów; w miarę jak przybliżała się ta masa, upatrywać zacząłem w owym olbrzymim orzechu uderzające podobieństwo do brunatnej, wygolonej czaszki dzikiego. Nagle zajaśniało dwoje oczu, i znikła tajemnica: był to w samej rzeczy jeden z wyspiarzy, który w ten sposób dostawiał na targ swój towar. Orzechy te powiazane były zwierzechną powłoką, pasami oddartą w części od łupiny. Właściciel towaru wkładał głowę w środek, i płynął, ciągnąc za sobą ten wieniec orzechowy.

Dziwiło mię to, że pośród mnóstwa krajowców, którzy nas otoczyli, nie było ani jednej kobiety. Nie wiedziałem, że na całej wyspie, żeńskiej połowie pod karą śmierci wzbroniony był przystęp do łódek; jeżeli więc która z dam chciała użyć przejażdżki po wodzie, musiała się kontentować naturalnymi swemi wiosłami. Jeszcze o godzinę drogi byliśmy oddaleni od brzegu zatoki, a już kilkunastu wyspiarzom udało się, jakkolwiek z wielkiem niebezpieczeństwem dla ich łódek, we-

drzeć się na nasz pokład. Niektórzy z nich zwrócili naszą uwagę na dziwny ruch wody w pewnym oddaleniu od okrętu. Przypisywałem to gromadzie ryb igrających nieopodal na powierzchni, lecz dzieci nasi przyjaciele zapewniali nas, że ruch ten wywołany jest przez gromadę „Whinhenij,” to jest młodych dziewcząt, które płyną, ażeby nas zobaczyć i powitać.

Wkrótce mogliśmy je rozróżnić; lekkie postacie unosiły się na falach, lub zanurzały w wodzie; w prawej ręce, wzniesionej nad powierzchnią, trzymały fartuchy z *tappa*: rozpuszczone długie, ciemne włosy unosiły się na wodzie. Zdawało mi się, że widzę przed sobą gromadę nimf morskich. Wpłynęliśmy niedługo pomiędzy te nimfy, które z zadziwiającą zręcznością, chwytając się lin, łańcuchów i innych przedmiotów, wdrapywały się na nasz okręt. Pozostały jednak na bokach statku, i śmiejąc się i rozmawiając rozpoczęły swój strój. Pomagały sobie nawzajem; gęste włosy splotły w jak najcieńsze warkocze, ciało starannie osuszyły i natarły wonnym olejkiem, który w małej, okrągłej muszli z rąk do rąk przechodził; następnie zawiązały białe fartuchy z *tappa*, i toaleta była skończona. Teraz przebyły zgrabnie bulwarki i skoczyły na pokład; niektóre pobiegły na przód okrętu, i siadały na poręczach, inne spuściły się na pomost, lub kładły się w łódkach, przyczepionych do okrętu. Wszystkie bardzo jeszcze były młode, kolor ciała jasno-brunatny, rysy piękne i delikatne, postać kształtna i wdzięczna, ruchy i giestykulacja pełne miłej prostoty i naturalności.

Śmieliśmy się patrzeć, jak ci nieproszeni goście gospodarują swobodnie na naszym okręcie.

Tymczasem zarzuciliśmy kotwicę—okręt stanął. Gdy się ściemniło, wyspiarze oświecili pokład latarniami, przyozdobili

go w kwiaty, porozwieszali pstre swoje odzienie z *tappa*; pokład zmienił się w salę teatralną, a Whinhenije dały nam przedstawienie tańców narodowych, za którymi przepadają mieszkańcy tych wysp, a szczególnie dziewczęta.

Francuzi od kilku już tygodni zajęli Markizy w posiadanie; około stu żołnierzy wylądowało na Nukahiwę, i obozowali pod namiotami niedaleko wybrzeża, otoczywszy się rowem i ustawivszy kilka armat dziewięciofuntowych. Co drugi dzień wojsko w szeregach maszerowało na obszerną w pobliżu równinę; godzinami całemi odbywały się tam manewry wojenne. Krajowcy gromadnie plac otaczali — z podziwieniem przyglądali się widowisku, ale z wyraźną nienawiścią aktorom. Pułk stariej gwardyi, któryby wracał z mustry z Pół elizejskich, nie mógłby być paradniej ubrany. Zdaje się, że Francuzi chcieli tym sposobem zaimponować wyspiarzom: mundury oficerów lśniły się od haftu i złotych galonów, jak gdyby tylko co wydobyte zostały z pudła paryzkiego.

Kuźnia wystawiona w lasku na wybrzeżu, ściagała takie gromady krajowców, że straż siłą zaledwie utrzymać ich zdołała w dostatecznym oddaleniu, ażeby robotnicy swobodnie pracować mogli. Nie jednak nie budziło w takim stopniu ich podziwu, jak koń, *Achilles*. Jeden z okrętów francuzkich przywiózł go z Valparaiso; w obozie wystawiono mu rodzaj stajenki z gałęzi drzewa kokosowego. Od czasu do czasu ubierano przepyszne zwierzę w czaprak jaskrawy, dosiadał go któryś z oficerów, i w pełnym galopie puszczał po twardym, piaszczystym wybrzeżu. Widokowi temu towarzyszył zawsze głośny okrzyk podziwu krajowców, a „wielka świnia“ uważana była przez nich za najcudowniejsze w świecie stworzenie.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Postanowienie.

Po krótkim pobycie w porcie Nukahiwy, postanowiłem doprowadzić do skutku dawno zamierzone przedsięwzięcie, i opuścić okręt. Łatwo pojąć, że ostateczność zmuszała mnie do tego kroku, skoro wolałem próbować szczęścia pomiędzy dzikimi wyspiarzami, aniżeli wracać do kraju na pokładzie „Dolly.“ Przyjmując służbę, podpisałem, jak zwykle, warunki umowy, i zobowiązałem się pozostać na okręcie przez oznaczony czas podróży morskiej. Jeżeli przecież jedna strona nie spełnia zawartych w kontrakcie warunków, to i druga prawnie zwolnić się od nich może. Zarząd okrętu nie dotrzymywał żadnych prawie zobowiązań: obejście się z podwładnymi było tyrańskie, chorzy nieludzko zanedbywani, żywność rozdawana w bardzo małych porcjach, podróż przedłużana nieskończenie.

Sprawcą złego był kapitan, a nie można było nawet mieć nadziei, żeby kiedykolwiek zmienić się to mogło. Jedyną jego odpowiedzią na skargi i przedstawienia była szpicruta, używana w takim razie z siłą tak przekonywającą, że najwymowniejszego nawet zmuszała do milczenia. Załoga nasza składała się, z małym wyjątkiem, z gromady istot znikczemniałych, nastających na siebie wzajemnie, a zgodnych tylko, gdy szło

o znoszenie z pokornym poddaniem się niegodnego i tyrańskiego postępowania kapitana. Szaleństwem byłoby, gdyby tylko dwóch lub trzech bez współudziału reszty, stawić chciało opór jego nadużyciom! Pogorszyliby tym sposobem położenie swoich współtowarzyszy, a na siebie szczególniejszą ściągnęliby zemstę dowódcy.

Życie to na okręcie dałoby się zresztą znieść łatwiej, gdybyśmy byli pewni, że w pewnym, oznaczonym czasie skończy się nasza niewola; ale wyprawy na połów wielorybów około przylądka Horn trwają częstokroć cztery do pięciu lat; my wypłynęliśmy dopiero przed piętnastoma miesiącami, i dotąd nie mieliśmy powodzenia: przy samowoli więc kapitana nie miał znaczenia termin umową zakreślony, i nie mogliśmy nawet przewidzieć końca wyprawy. Nie myliłem się w ówczesnych moich przypuszczeniach: upłynęło już bowiem przeszło lat trzy, od czasu, jak opuściłem okręt „Dolly,“ a błąka się on jeszcze wciąż po oceanie Spokojnym; przed paru dniami nawet wspominały pisma czasowe, że przybił do wysp Sandwichskich, ażeby ztamtąd puścić się w dalszą podróż na brzegi Japonii.

Przedsięwziąłem więc stanowczo opuścić Dolly, a nie mogłem dokonać tego otwarcie i z godnością; jedna tylko pozostawała mi droga: ucieczka. Skoro utwierdziłem się w moim postanowieniu, począłem się starać o możliwie dokładne wiadomości o wyspach i ich mieszkańcach; podzieliłem się tém, co zebrać mogłem w tym kierunku z czytelnikiem, ażeby tém łatwiej mógł zrozumieć następne moje opowiadanie.

Zatoka Nukahiwa, zakreślająca kształt podkowy, ma cztery godziny obwodu. Prowadzi do niej wązki przepływ od strony morza, a z obydwóch stron usiadły po dwie wyspy bliźnie, około 500 stóp wyniesione nad poziom morza. Od tych wysp

brzeg cofa się ku środkowi i tworzy rodzaj głębokiego półkręgu. Łąd podnosi się odrazu w niewielkich, zielonych wyniosłościach, stopniowo podwyższa się w pagórkach, które wyglądają, jak dalszy ciąg zastygłych morskich bałwanów, aż wreszcie dochodzi do szczytów wyniosłych, których błękitne zarysy tworzą tylną ścianę obrazu. Do piękności okolicy przyczyniają się wiele głębokie, romantyczne doliny; zdają się wychodzić wszystkie z jednego środkowego punktu, i w równych liniach dążą do wybrzeży; górne ich końce gubią się w cieniu gór. Każdą z tych dolin przerzyna strumień przezroczy, który tu i owdzie udaje wodospad, i niknie z przed oczu; następnie znów się ukazuje w większych i głośniejszych kaskadach, aż uspokojony, cicho i powolnie wpada do morza. Domki krajozców, jakby uplecione z żółtego bambusu, pokryte długimi, śpiczastymi liśćmi palmy jodłowej, miły przedstawiają widok, przeświecając tu i owdzie pośród cienistych gałęzi drzew kokosowych. Cudowny to krajobraz! Nawet najbujniejsza wyobraźnia nie piękniejszego wymarzyć sobie nie może! Szkoda, że w tym oddalonym zakątku ziemi, rzadko znajdzie się istota, zdolna czuć i podziwiać te cuda przyrody.

Oprócz tej zatoki, brzegi wysp mają kilka jeszcze dużych wgłębień, ku którym zbiegają się zielone doliny. W dolinach rozsiadły się rozmaite plemiona, które chociaż mówią narzeczanymi z jednego pochodzącymi źródła, mają też samą religię i też same urządzenia, od niepamiętnych jednak czasów zostają z sobą w niezgodzie. Nienawiść ta dziedzicznie przechodzi z rodziców na dzieci, i bezustanne sprowadza walki. Góry, przedzielające owe doliny, wysokie mniej więcej na 2000—3000 stóp, stanowią granice naturalne posiadłości owych wrogich sobie plemion. Z przyczyny ciągle trwającego stanu wojennego

pochyłości gór nie są zamieszkane; poznałem tam nawet niejednego starca, który w całym swoim życiu ani razu nie wyszedł ze swej doliny, i nie posunął się o połowę drogi ku górom sąsiednim. Niedaleko Nukahiwy, przedzielona tylko górami, które z przystani widzieć można, leży prześliczna dolina *Happar*, której mieszkańcy w przyjaznych zostają stosunkach z wyspiarzami Nukahiwy; dolinę z drugiej strony gór zajęli straszni *Typi*, zacieci nieprzyjaciele owych dwóch plemion.

Na całej tej grupie wysp, *Typi* uchodzą za najdzielniejszych wojowników, i są prawdziwym postrachem swoich sąsiadów. Samo już ich imię budzi przerażenie, bo wyraz „*Typi*,“ w narzeczu markezańskim znaczy: „amator ludzkiego mięsa.“ Dziwna to rzecz, że temu tylko plemieniu nadano wyłącznie ową nazwę, gdyż mieszkańcy całej tej grupy wysp są znani jako ludożercy. Zapewne chciano przez to oznaczyć osobliwszą, wydatniejszą jeszcze niż u innych, dzikość tego plemienia. Wyspiarze Nukahiwy często opowiadali naszym ludziom, przy pomocy giestykulacyi, o strasznych czynach *Typich*, i pokazywali im szramy pozostałe po ranach, które odnieśli w rozpacznych z nimi bojach.

Gdyśmy wyszli na brzeg, dzicy chcąc się ubawić naszym strachem, wskazywali na jednego z pośród siebie, i nazywali go „*Typi*.“ Niemale było ich zdziwienie, gdy nie rzucaliśmy się w popłochu do ucieczki na to straszne imię. Zabawne było również, jak zaprzeczali ludożerczych skłonności swego własnego plemienia, a nieprzyjaciół swoich, *Typich*, przedstawiali jako najstraszniejszych ludożerców. Jakkolwiek byłem przekonany, że mieszkańcy zatoki Nukahiwa są takimiż ludożercami, jak i inni, to jednak nie mogłem się obronić od nieprzełamanego wstrętu względem *Typich*. Dawniej

jeszcze słyszałem od ludzi, którzy zwiedzili wyspy Markizy, straszne historie o tém dzikim plemieniu; świeżo miałem również w pamięci przygody kapitana „Katarzyny,“ który przed paru miesiącami zaledwie, chcąc zbyć swój towar, odważył się zawinąć w uzbrojonej łodzi, do owój niebezpiecznej zatoki. Dzicy wyspiarze pochwycili go, i zawlekli do swój doliny; od strasznej śmierci wybawiła go młoda dziewczyna, ułatwiwszy mu ucieczkę, i przeprowadziwszy nocną porą wzdłuż brzegów Nukahiwy. Przed kilku laty słyszałem również o angielskim okręcie, który po długiej i uciążliwej podróży, chciał zawinąć do zatoki Nukahiwa; żeglarze spotkali na morzu wielką łódź, napelnioną dzikimi wyspiarzami; ci ofiarowali się doprowadzić ich do zatoki; byli to Typi, i zamiast do zatoki Nukahiwa, wprowadzili ich do swojej własnej. Następnę nocy dziecy w wielkiej liczbie wpadli na okręt, i wszystkich wymordowali. W roku 1814 waleczny kapitan Porter, w połączeniu z mieszkańcami Nukahiwy i Happarami, zaczepił pokolenie Typi, chcąc je ujarzmić, i strasznej doznał klęski. Wspomnienie to niemało zapewne wpłynęło na Francuzów, że do naszego przybycia nie odwiedzili jeszcze doliny Typi; nie pilno im było do krwawego starcia z walecznymi dzikimi. Nigdy nie zapomnę uwagi jednego z naszych żeglarzy, w chwili, gdy zwolna przepływaliśmy koło zatoki Typi. „Tam,“ zawołał, „tam jest dolina Typi! O! jakąż ucztę wyprawiliby sobie z nas ci ludożercy, gdybyśmy byli tyle nierozsądni, żeby wylądować na ich ziemi! Mówią jednak, że oni nie bardzo lubią mięso żeglarzy—za słone dla nich. Gdyby tak pana wysadzić tam na ląd!“ dodał, zwracając się do mnie z szyderezym uśmiechem. „Jakbyś to pan uważał?“ Nie przeczuwałem w téj chwili, że za kilka tygodni, w istocie jako nie-

wolnik zatrzymany będę w téj dolinie. Czas jednak wrócić do mego opowiadania.

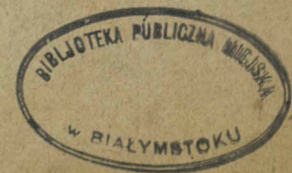
Plan mojej ucieczki opierałem głównie na wzmiankowanej wyżej okoliczności, że dzicy mieszkali wyłącznie w dolinach, starannie unikali gór granicznych, i ukazywali się tam wtenczas tylko, gdy szli na wyprawę wojenną. Jeżeli mi się uda, myślałem, dostać się na góry, to, żywiąc się dzikimi owocami, będę tam mógł ukrywać się, dopóki okręt nie odpłynie. Z wysokości, na której znajdować się będę, cała przystań pozostanie dla mnie otwartą; odbicie więc okrętu od brzegów nie ujdzie méj uwagi. Jakże to będzie rozkosznie, siedząc pod drzewem kokosowém, patrzeć z wysokości kilku tysięcy stóp na przekłety stary statek, rozległe, zielone krajobrazy porównywać z ciasnym jego pokładem, i z ciemnymi, cuchnącymi kajutami!

Wprawdzie przychodziło mi na myśl, że mogę popaść w ręce krwiożerczych Typich, ale musiałem ryzykować, chcąc dokonać mego zamiaru. Alboż to w górach mało kryjówek?

Postanowiłem nie wspominać żywej duszy o moich zamiarach, ale jednej nocy, gdy, siedząc na pokładzie, układałem rozmaite plany ucieczki, ujrzałem jednego z naszej załogi, w głębokiej pogrążonego zadumie. Był-to młody człowiek w moim wieku, dla którego oddawna już miałem głęboki szacunek i wiele sympatii, a Tobi, takie pośród nas nosił imię, prawdziwego jego nazwiska nie zaliśmy dotąd, zasługiwał na to w zupełności.

Był czynny, zręczny, uprzejmy, odważny aż do zuchwalstwa, otwarty i śmiały w objawianiu swoich poglądów i uczuć. Wyratowałem go kilkakrotnie z opalów, w jakie popadł przez

Czt. m. pob.



zbyteczną niekiedy swą śmiałość, i nie wiem, czy wdzięczność, czy zgodny w wielu punktach nasz sposób myślenia, zbliżył go ze mną bardziej, aniżeli z innymi towarzyszami. Postawieni na straży, niejedną noc skróciliśmy sobie pogadanką, śpiewem, opowiadaniem, a często do poufnéj rozmowy przyłączyła się i skarga na wspólny nasz los.

Widocznie Tobi żył kiedyś, tak samo jak ja, w innéj sferze, chociaż starannie się z tém ukrywał. Był to jeden z owych ludzi, jakich często spotyka się na morzu, którzy nie wyjawiają nigdy swego pochodzenia, nigdy nie mówią o swéj ojczyźnie, i przebiegają świat szeroki z przyczyn sobie tylko wiadomych. W saméj już jego powierzchowności było coś, co mnie pociągało; reszta naszej załogi okazywała się odrazu tém, czém była w istocie, to jest, ludźmi surowymi i pospolitymi: Tobi, pomimowolnie, różnił się od nich zupełnie. W niebieskim kaftanie i białych spodniach, był tak zręcznym i wysmukłym młodzieńcem, jakiego rzadko widzieć można na pokładzie okrętu. Wzrostu małego, wątłej napozór budowy, odznaczał się giętkością i zręcznością; z natury już ciemna cera, stała się jeszcze bardziej brunatną pod wpływem słońca zwrotnikowego; głowę otaczały gęste czarne pukle, które rzucały pewien odcień na wielkie, ciemnobłękitne oczy. Dziwny to był zresztą człowiek: niekiedy smutny, często ponury i mrukliwy, a jeżeli go bardzo kto podrażnił, tak gwałtowny, że dochodził do wściekłości; w takiej chwili najzuchwalsi nawet usuwali mu się z drogi. Posiadał przytém sporą dozę złośliwego dowcipu; uśmiechał się czasami, ale nigdy nie zaśmiał się szczerem, wesołym śmiechem.

Od jakiegoś czasu Tobi bardzo sposepniał. Zauważyłem nieraz, jak z niewymowną tęsknotą z pokładu patrzył na zie-

mię, podczas, gdy inni zbytowali i hałasowali na dole. Dobrze o tém wiedziałem, jak bardzo dokuczyło mu już życie na okręcie, i przeczuwałem, że obydwoją rękami pochwyci sposobność do ucieczki. Niebezpieczna to była próba w tém miejscu; sądziłem nawet, że ja jeden tylko poważylem się myśleć o czemś podobném; omyliłem się przecież. Gdym owéj nocy patrzył na mego towarzysza pogrążonego w zadumie, przyszło mi do głowy, czy nie ten sam przedmiot zajmuje nas obu. A jeżeli tak jest, czyż to nie jedyny z całej załogi, którego bym chętnie przybrał na towarzysza swych przygód? I czemuż nie miałem się starać pozyskać sobie przyjaciela, któryby dzielił ze mną niebezpieczeństwa i trudy? A może tygodnie całe będę musiał ukrywać się w górach? Jakąż pociechę w takim razie byłby dla mnie towarzysz!

Myśli te nagle przebiegły mój umysł, i dziwiłem się, że dawniej już nie przyszło mi to do głowy. Jeszcze miałem czas. Zbliżyłem się do zamyślonego Tobi, i zlekka położyłem rękę na jego ramieniu. Żywo podniósł głowę. Był już jakby przygotowany na moją propozycję: porozumieliśmy się w kilku wyrazach, i w godzinę ułożyliśmy plan ucieczki. Dla oddziału, do którego należeliśmy obydwa, nazajutrz przypadał właśnie dzień wolny; mogliśmy go przepędzić na lądzie; postanowiliśmy korzystać z tego niezwłocznie, ostrożnie oddalić się od naszych towarzyszy, i puścić się w góry.

Z okrętu wierzchołki tych gór zdawały się nieprzystępne, ale tu i owdzie łagodniejsze spadki zniżały się prawie aż do poziomu morza, i zdawały się podierać góry, jak belki poprzeczne, a pomiędzy niemi doliny zbiegały się w kształcie promieni. Obraliśmy sobie jeden z tych spadków, który zdawał się nam przystępniejszy; umysłiliśmy wdrzeć się na

grzbiet jego, w przekonaniu, że tą drogą dostaniemy się na góry. Zauważyliśmy dokładnie położenie jego z okrętu, ażeby go odnaleźć, gdy staniemy na ziemi. Na szczycie gór doczekamy się odbicia okrętu, potem zejdziemy do mieszkańców Nukahiwy, i zamieszkamy pośród nich, a przy pierwszej sposobności opuścimy wyspę.

Związek nasz stwierdziliśmy serdecznym uściskiem, poczem każdy udał się na swój hamak, ażeby nie obudzić podejrzeń.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Ucieczka.

Dnia następnego, wczesnym rankiem odbył się przegląd straży prawego boku okrętu, a nasz godny kapitan wystąpił z mową, której treścią było, że po półrocznem krążeniu na wodach oceanu, i po ukończeniu w większej części zajęć naszych w porcie, daje nam wolność na dzień dzisiejszy, ale dlatego tylko, że wie, iż my, starzy niedźwiedzie, mruczelibyśmy, gdyby tego nie zrobił. Postępuje on wbrew swojemu przekonaniu, gdyż włóczenie się po wyspie, zamieszkaną przez ludożerców, jest bardzo niebezpieczne. Radzi tym, którzy nie zważając na jego przestrożę, koniecznie chcą wyjść na ląd, żeby się przynajmniej trzymali w pobliżu obozu francuzkiego, i żeby przed zachodem słońca wrócili na pokład. Zaledwie zamknął usta, a już wszyscy podążyli ku przodowi okrętu, i w chwilę potem każdy sposobił się do wycieczki, wydrwiwając przytém pośród łajañ i śmiechów, mowę „starego smoka,” który żałuje człowiekowi kilku wolnych chwilek.

Podczas gdy inni, jak zwykle w takich okolicznościach, starali się wystroić jak najparadniej, ja i Tobi wdzialiśmy mocne pantalone z płótna zagłowego, ciężkie, ciepłe kaftany,

obuliśmy nowe ciżmy i wzięliśmy na głowę słomiane kapelusze. Dziwili się nasi towarzysze, ale Tobi odpowiedział im w właściwy sobie krótki, komiczny sposób, że pozwala każdemu robić, co mu się podoba, a on chowa swoje paradne ubranie na inny stosowniejszy czas; nie myśli wcale wydobywać z głębi skrzyni swego odzienia, ażeby się zaprezentować nam gim dzikusom; zgodziłby się prędzej ukazać się im w naturalnym swoim kostiumie. Żeglarze śmieli się, i wzięli to za jedno ze znanych jego dziwactw. Tak jakoś szczęśliwie uszliśmy po dejrzenia.

Dwa uderzenia dzwonu wezwały nas do łodzi. Pozostałem chwilę w kajucie, ażeby pożegnać się z kątami, do których przywykłem; gdy już miałem wstąpić na pokład, wzrok mój padł na kosz z chlebem, barylkę z mięsem i resztki naszego, naprędce spożytego śniadania. Jakkolwiek, licząc na dzikie owoce, których w górach spodziewałem się znaleźć podostatkiem, nie pomyślałem zaopatrzyć się w żywność, uległem jednak teraz jakby instynktowi, i wsunąłem za kaftan dwie garści małych sucharów. Przedtém jeszcze ukryłem w tém obszerném schowaniu, kilkanaście funtów betelu i kilka łokci bawelnianej tkaniny; przeznaczyłem to na podarki dla krajowców, ażeby pozyskać ich przychylność, po oddaleniu się okrętu.

Usiłowałem jeszcze wszystkie te przedmioty rozdzielić tak, żeby nie wystawały zbyt znacznie z pod mego odzienia, gdy usłyszałem imię moje wywoływane licznymi głosami. Skoczyłem na pokład, i ujrzałem całe zgromadzenie już w łodzi, niecierpliwie oczekujące odbicia. Zsunąłem się z okrętu, i usiadłem w tyle pośród mych towarzyszy. Poruszyły się wiosła, i wypłynęliśmy na pełne morze.

Czas był dżdżysty; odrana już deszcz lał, jak z wiadra; wypogodziło się na chwilę, ale zaledwie opuściliśmy okręt, znów wielkie krople spadać zaczęły, a kiedyśmy na ląd wychodzili, strumienie z obłoków spływały nam na głowy. Schroniliśmy się pod wystawę, stojącą tuż nad brzegiem morza, przeznaczoną na skład łodzi, ażeby tam przeczekać pierwszą gwałtowną ulewę. Deszcz nie ustawał, a monotony szum i plusk wody, usypiać zaczął naszych towarzyszy; pokładli się na wielkich łodziach wojennych, gawędzili czas jakiś, w końcu posnęli wszyscy.

Nie spodziewaliśmy się nawet tak wyborniej sposobności do wykonania naszych planów. Cicho wysunęliśmy się z pod wystawy, i puściliśmy się pędem do gaju pobliskiego. W dziesięć minut stanęliśmy w miejscu otwartém, z kądem, poprzez mgłę deszczową, mogliśmy już rozpoznać ową pochyłość, na którą postanowiliśmy się dostać. Dobrze pół godziny drogi dzieliło nas jeszcze od niej; prosta ścieżka prowadziła przez dosyć zaludnioną część zatoki, a ponieważ chcieliśmy ukryć się w górach niepostrzeżeni przez krajowców, postanowiliśmy więc kołować przez rozległe zarośla. Ulewa przydała nam się bardzo: wyspiarze siedzieli zamknięci w chatkach, łatwo więc było uniknąć zetknięcia się z nimi. Pospieszaliśmy o ile możliwości; nasze ciężkie wełniane kaftany wkrótce przesiąkły wodą; przemokły również ukryte pod niemi przedmioty, a ciężar ten znacznie utrudniał nasz bieg. Nie pozwoliliśmy jednak sobie najkrótszego nawet wypoczynku, trzeba było korzystać z czasu i posuwać się coraz dalej.

Dotąd nie zamieniliśmy z sobą ani jednego wyrazu; gdyśmy się jednak wydostali na drugą polanę, i gdy znów ów spadek góry odkrył się przed nami, pochwyciłem rękę Tobie-

go, i rzekłem, wskazując zdala błękitny wierzchołek, ku któremu prowadziła ta spadzistość: „Tobi, ani słowa, ani spojrzenia poza siebie, dopóki nie stanimy na tym szczycie! Tam, za parę godzin, będziemy już mogli śmiać się na cały głos. Tyś lżejszy i zręczniejszy, a więc naprzód, ja pójdę za tobą!“

„Dobrze, bracie,“ odpowiedział Tobi, „tylko bądźmy blisko siebie.“ Lekko, jak jeleni, przeskoczył strumień, który nam drogę zagradzał, i szybko pobiegł naprzód.

Nieopodal od pochyłości natrafiiliśmy na przestrzeń rozległą, porośłą wysoką, żółtą trzciną, niezmiernie gęstą, i twardą, jak prety żelazne; na zmartwienie nasze trzcina ta pokrywała do połowy bok góry. Chwilę szukaliśmy wzrokiem innego, łatwiejszego nieco przejścia; nie było rady, pozostało nam tylko przedzierać się przez tę gęstwinę. Zmieniliśmy porządek pochodu: jako cięższy, ja poszedłem naprzód, ażeby o ile możności torować drogę. Napróżno jednak zapuszczałem się kilkakrotnie, i próbowałem całą siłą ugiąć na bok te twarde prety; prędzej zaba przedostałaby się przez zęby grzebienia! Zrozpaczony tą niespodzianą zawadą, rzuciłem się na trzciny; złamały się i przygmiotły do ziemi pod ciężarem mego ciała: zerwałem się i powtórzyłem ten manewr z równie powodzeniem. Po dwudziestu minutach posunęliśmy się tym sposobem nieco dalej, ale siły moje całkiem się wyczerpały; Tobi zatem, który dotąd korzystał z méj pracy, przyjął na siebie obowiązek pioniera, i stanął przedemną. Niewiele przecież mógł zdziałać lekka swoją postacią, wkrótce więc musiałem zająć pierwsze moje stanowisko. Powoli postępowaliśmy naprzód, pot w dużych kroplach spływał nam po twarzy; trzciny, łamiąc się, kaleczyły nasze ciało: przedarliśmy się jednak do środka gęstwi; odbyliśmy zatem połowę morderczącej drogi,

gdy naraz deszcz ustał, i powietrze wkoło nas zrobiło się gęste i ciężkie. Trzcina elastyczna podnosiła się znów w górę, skorośmy tylko przeszli: tym sposobem otwory, przez które cokolwiek powietrza dostać się do nas mogło, zamykały się za nami. Do tego jeszcze nie widzieliśmy nic przed sobą przez te wysokie zarośla, i nie byliśmy pewni, czyśmy nie poszli w fałszywym kierunku.

Długa nużąca praca i brak powietrza wyczerpały do ostatka moje siły; nie mogłem już iść dalej. Odwinałem rękaw kaftana, i spragnionemi wargami wysysałem z niego krople wody deszczowej; nie wiele mnie to przecież orzeźwiło. Upadłem na ziemię; ponure opanowało mnie zniechęcenie: wyrwał mnie z niego Tobi. Wynałazł on sposób wydostania się z zasadzki, w którąśmy popadli. Leżąc na ziemi, dużym swoim nożem, jak żniwiarz, dzielnie ścinał trzciny naprawo i na lewo, i wkrótce mieliśmy kawałek wolnego miejsca koło siebie. Widok ten przywrócił mi odwagę; pochwyliłem również mój nóż, i ciałem, i rąbałem bez litości. Ale trzciny coraz były wyższe i gęstsze; zdawało się, że przestrzeń ta niema końca. Znów apatya opanowywać mię zaczęła. Jak wydostać się z tego zakratowanego więzienia? Na to trzebaby chyba skrzydeł ptaka! Nagle z prawej strony słabe jakieś światło uderzyło mój wzrok. Zwróciłem uwagę mego towarzysza na tę radosną niespodziankę, i z nowym życiem zaczęliśmy się przedzierać w tym kierunku. Jeszcze trochę pracy, i stanęliśmy na jasnej, wolnej przestrzeni. Byliśmy w pobliżu grzbietu gór.

Zaledwie chwil kilka pozwoliliśmy sobie odpocząć; ruszyliśmy dalej, i wkrótce ujrzeliśmy się na samym grzbiecie. Nie poszliśmy jednak wyżej, z obawy, żeby nas nie dostrzegli kra-

jowcy; puściliśmy się bokiem, i, jak węże, pełzaliśmy w trawie na rękach i kolanach. Po godzinnej takiej, nie zbyt przyjemnej wędrówce, wstaliśmy, i śmiało już teraz szliśmy grzbietem, wysłanym miękką, zieloną trawą; droga ta wązka, w niektórych miejscach mająca zaledwie kilka stóp szerokości, prowadziła nas prosto na szczyt. Rozweseleni dotychczasowem powodzeniem, i wzmocnieni ożywczem górskiem powietrzem, którem oddychaliśmy całą piersią, stanęliśmy na górze, gdy nagle z dolin, leżących ze stron obydwóch, wrzask wyspiarzy uderzył nasze ucho. Odkryli nas. Na tak znacznej wysokości postacie nasze w ostrych zarysach odbijały się na obłokach. Widok nasz w nadzwyczajny ruch wprowadził dzikich krajowców: biegali, jak szaleni! W tak wielkiem oddaleniu wydawali się nam, jak pigmeje, a mieszkania ich, pokryte białymi dachami, wyglądały jak domki lalek. Wysokość, na której znajdowaliśmy się, upewniała nas wprawdzie, że dzicy nie považają się nas tu ścigać, sądziliśmy jednak, że lepiej nie wywoływać złego, i szybkim biegiem, o ile pozwalała na to natura gruntu, puściliśmy się naprzód; nagle zatrzymała nas wysoka ściana skalna. Zdawało nam się zrazu, że skała ta będzie dla nas nieprzebytą zaporą. Z wielkim trudem i z narażeniem życia udało się nam w końcu przebyć ją; biegliśmy dalej z równym, jak przedtem pośpiechem.

Mniej więcej na trzy godziny przed zachodem słońca byliśmy już na najwyższym, prawdopodobnie, szczycie miejscowych gór. Była to wyniosła skała bazaltowa, pokryta pasywnymi roślinami. Znajdowaliśmy się, o ile mogliśmy sądzić, na trzy tysiące przeszło stóp nad powierzchnią morza; zachwycający widok roztaczał się przed nami. Samotna zatoka Nukahiwy lśniła się w promieniach słońca, jak olbrzymie

zwierciadło: tylko okręty eskadry francuskiej odbijały na niej, jak czarne plamki; półkregiem otoczyły ją góry, a zielone ich spadki przerywały czarne przepaście lub uroczne doliny. Wszystko to razem tworzyło najcudniejszy krajobraz, jaki kiedykolwiek widzieć mi się zdarzyło, i choćbym żył lat sto, nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie widok ten w duszy mój wywołał.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Na górach.

Niemniej byłem ciekawy widzieć ziemię z drugiej strony góry; sądziliśmy obydwaj, że skoro stanimy na szczycie, ujrzymy u stóp naszych wielkie zatoki Happar i Typi. Omylił się. Jak oko zasięgło, rozciągała się przed nami wyżyna, pokryta szeregiem wzgórz i zagłębień; strome jej boki świetną przyrodziane były zielenią, lub porośłe lasem; nie odkryliśmy jednak dotąd drzew, na których owoce rachowaliśmy z taką pewnością.

Niemile zrobiło to na nas wrażenie. Dolly może dopiero za dziesięć dni opuści zatokę, a przez ten czas nie mogliśmy nawet myśleć o zejściu w dolinę Nukahiwę, ażeby zaopatrzyć się w żywność, gdyż nie wąpiliśmy ani na chwilę, że czuły nasz ojciec, kapitan, nie żałował perkalu i świecideł w nagrodę za dostawienie nas na okręt.

I czemuż nie zaopatrzyliśmy się w żywność? Gorzko wyrzucałem sobie tę nieprzezorność. Przyszły mi na myśl suchary, które miałem za kaftanem; sięgnąłem po nie chciwie, żeby się przekonać w jakim są stanie; trzeba było zrobić przegląd naszych zapasów, bo i kaftan towarzysza mego również był wypakowany. Usiedliśmy na trawie; Tobi wydobył najprzód

garść tytoniu, którego liście oblepione były miękkimi okruciami sucharów. Na pytanie moje, ile ma przy sobie sucharów, wsunął rękę za kaftan, i wyciągnął dziwną jakąś mieszaninę; było to ciasto rozmokłych sucharów, ściśle zlepione z masą tytoniową. Rozmiękczył je deszcz i pot, a zagniół szybki ruch podczas ucieczki. Wstrętny był ten nowy rodzaj pasztetu, ja jednak obchodziłem się z nim z wielkim szacunkiem: na ten raz stanowił on skarb nieoszacowany! Troskliwie złożyłem go na dużym liściu, który zerwałem w tym celu z krzaka, znajdującego się w pobliżu. Prócz tego zabrał Tobi 4—5 łokci drukowanego perkalu, którego desen ośpiecił sok tytoniowy, dalej: igły, nici, brzytwę i inne drobiazgi.

Teraz i ja rozpakowałem mój towar, i, co łatwem było do przewidzenia, moje suchary nie w lepszym znalazły się stanie. Wszystkie te przedmioty związałem w jeden tłumoczek, i mieliśmy go nieść kolejno; nie tak sumarycznie postąpiliśmy z szczątkami sucharów, od nich bowiem, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, zależał wypadek naszego przedsięwzięcia. Zaproponowałem memu towarzyszowi, żeby niewielki ten zapas podzielić na sześć równych porcyj: każda z nich miała stanowić dzienne pożywienie dla nas obydwóch. Zgodził się na to. Zdjąłem jedwabną chustkę z szyi, pokrajałem ją nożem na sześć równych kawałków, i na tyleż części podzieliłem suchary. Tobi chciał oddzielić i wyrzucić z tej masy kawałki tytoniu, lecz ja zaprotestowałem przeciwko temu, tym albowiem sposobem porceje nasze znacznieby się zmniejszyły. Ukończyliśmy podział; dzienne pożywienie każdego z nas z łatwością pomieścić się mogło w łyżce stołowej. Każdą porcję z osobna zawinęliśmy w kawałek pociętej chustki, potem związałem je w jeden węzełek, i oddałem towarzyszowi z uroczystą

przemową, żeby wiernym był stróżem naszej spiżarni. Tego dnia postanowiliśmy już pościć, jedliśmy przecież śniadanie! Wstaliśmy i zaczęliśmy się rozglądać za jakimś schronieniem na noc, która, sądząc z posępnego nieba, nie zapowiadała się pogodną.

Nie było widać żadnego miejsca w pobliżu, któreby odpowiadało naszemu celowi, udaliśmy się więc w przeciwnym kierunku zatoki Nukahiwy, ażeby zbadać nieznaną nam miejscowość z drugiej strony góry. W tym kierunku, jak daleko wzrok zasięgał, nie ukazywał się żaden znak życia: nie odkryliśmy nic, coby nam wskazywało chwilowy nawet pobyt człowieka. Była to puszcza, w której nie powstała stopa ludzka od czasów stworzenia; dziwnie brzmiał nasz głos, jak gdyby dźwięk mowy człowieka poraz pierwszy zamącił uroczystą ciszę tej samotni, przerywaną tylko szumem rozpryskujących się w dali wodospadów. Zmartwienie nasze, żeśmy nie znaleźli owoców, którymi zamierzaliśmy się uraczyć, złagodzone było myślą, że to właśnie upewnia nas, że nie będziemy wystawieni na niebezpieczeństwo zetknięcia się z krajowcami; gdyż wiedzieliśmy, że dżicy obierają sobie zwykle siedlisko pod drzewami, które im dają pożywienie. Z tém wszystkiém badawczy wzrok zapuszczaliśmy w krzak każdy, koło którego musieliśmy przechodzić. Gdyśmy weszli na jedno ze wzgórz przerzynających drogę, dostrzegłem na murawie coś, naksztalt śladu stopy ludzkiej; ślad ten ciągnął się wzdłuż wyniosłości, i razem ze zniżającym się grzbietem zapuszczał się w parów o kwadrans drogi przed nami. Robinson Kruzoe nie mógł się bardziej od nas przestraszyć, ujrawszy także same ślady na piasku. Pierwszą moją myślą było, wrócić jak najprędzej, i skierować w inną stronę, ale chęć przekonania się dokąd prowadzi ta

ścieżka, skłoniła nas, że poszliśmy za nią. Droga była coraz wyraźniejsza, i ginęła dopiero nad brzegiem głębokiego otworu.

— Każdy więc — powiedział Tobie, zaglądając w przepaść — każdy więc, kto idzie tą drogą, wskakuje tutaj? Co?

— To nie — odrzekłem. — Sądzę, że oni spuszczaają się tu innym sposobem. A gdybyśmy też spróbowali? Jak myślisz?

— I cóż spodziewasz się znaleźć tam innego, prócz skreconej własnej szyi? Toż tam ciemniej, niż na dnie naszego okrętu! Sam już ryk tych wodospadów może człowiekowi mózg porwać w kawały!

— Nie, nie, Tobie! — zawołałem śmiejąc się. — Jednak musi tam coś być, to widoczne, bo i pocóżby ścieżka tu prowadziła? Zdecydowany jestem zbadać, co to być może! Zresztą, ten parów będzie dobrém schronieniem na noc, bo jest przestronny, zasłonięty od wiatru, i obfituje w wodę.

Tobie usiłował odwrócić mnie od tego zamiaru; oświadczyłem mu jednak, że, jeżeli się obawia, ja sam zejść w dół, a jutro rano wrócę do niego. Nie namyślając się dłużej, zacząłem się spuszczać ze skały, chwytając się korzeni, wystających ze szczelin. Tobie, jakem się tego spodziewał, poszedł za moim przykładem, a zręczny, jak wiewiórka, prześcignął mnie wkrótce, i stał już na dnie, gdy ja zaledwie trzecią część drogi odbyć zdołałem.

Przepyszny widok przedstawił się naszym oczom w tej głębi. Pięć szumiących strumieni, przedzierało się przez tyleż szerokich gardzieli; wezbrane gwałtownemi deszczami dni ostatnich, strumienie łączyły się w wysoki, pionowy spadek, i rzucały z dzikim rykiem w głębokie, czarne jezioro, wykute w nagromadzonych dookoła ciemnych skałach, z kądem, jak potok olbrzymi, wlewały się w spadzisty kanał, który zdawał się do-

siegać wnętrza ziemi. Powyzéj, z bocznych ścian wąwozu, zwieszały się ogromne korzenie drzew; woda spływała z nich w wielkich kroplach, a gwałtowne wstrząśnienie, wywołane wodospadem, wprawiało je w bezustanne drżenie. Słońce zachodziło, a słabe, i niepewne światelko, które przedarło się w te otchłanie i głębie lesiste, w dziwniejszą jeszcze charakterystykę przyodziwalo krajobraz, i przypominało nam, że wkrótce ogarnie nas ciemność głęboka.

Ciekawość moja została zadowolniona; nie pojmowałem jednak, w jakim celu ścieżka prowadzi do tego miejsca? Utwierdzałem się w przekonaniu, że ślady stóp, któreśmy widzieli, nie pochodziły od krajowców. Myśl ta działała na mnie uspakajająco; tu zatem nie spotkamy się z wyspiarzami! Przyszedłem nawet do wniosku, że nie mogliśmy znaleźć może pewniejszego schronienia. Tobie był tegoż samego zdania. Natychmiast zaczęliśmy gromadzić gałęzie, rozrzucone dokoła, ażeby sobie szałas zbudować na noc. Musieliśmy go stawiać tuż u stóp wodospadu, gdyż głębiej strumień zbliżał się prawie do ścian wąwozu. Korzystaliśmy z ostatnich połysków dziennych, ażeby pokryć szałas naszym pewnym rodzajem szerokiej trawy, która wyrastała z każdej szczeliny. Chata, jeżeli ją tak nazwać można, składała się z sześciu lub ośmiu gałęzi, któreśmy oparli ukośnie o prostopadłą ścianę skały; dolne ich końce o stopę zaledwie oddalone były od strumienia. Wczołgaliśmy się do téj budy, i pokładaliśmy się, jak można było najwygodniej, ażeby dać wypocząć zmordowanym członkom.

Straszną przepędziliśmy noc! Do miejscowój już wilgoci i zimna, przyłączył się jeszcze dészcz, który lał strumieniem; nasz nędzny szałasik nie zasługiwał nawet na imię schronienia. Napróżno starałem się uchronić téj poniewolnej kąpieli;

woda robiła sobie coraz nowe otwory. Pocięchą byłby dla mnie w téj chwili głos Tobiego, ale zaledwie pojedynczy jaki wyraz mogłem z niego wyciągnąć. Drżąc od zimna, przytulił się plecami do mokréj ściany, kolana podsunął pod samą brodę, i tak, milcząc, przeleżał noc całą.

O pierwszym brzasku dnia, wstrząsnąłem mego towarzysza niedoli, i powiedziałem mu, że to już dzień. Tobie podniósł głowę i odpowiedział mi po krótkim milczeniu:

— Jeżeli tak, przyjacielu, to świecek moje zagasły! Czy mam otwarte, a ciemniej mi, aniżeli wtenczas, gdy były zamknięte!

— Bredzisz! — zawołałem. — Widać, że nie rozbudziłeś się jeszcze całkiem!

— Rozbudzić się! — mruknął Tobie gniewnie — rozbudzić się! Czy chcesz powiedzieć przez to, że spałem? To obraża dla istoty ludzkiej, przypuszczać, że spać może w podobnym miejscu!

Przeprosiłem go za to wyrażenie. Powoli rozjaśniać się poczęło; wypelzliśmy z naszej budy. Dészcz ustał, ale krople jego zdawały się jeszcze zawieszone na ziemi i w powietrzu. Zdjęliśmy nasze mokre odzienie, i wykręciliśmy je. Teraz usiłowaliśmy przez silne tarcie przywrócić obieg krwi w skostniałym ciele; umyliśmy się w strumieniu, włożyliśmy napowrót wilgotną odzież, i uznaliśmy za słuszne przerwać długi post, bo nie mieliśmy nic w ustach od 24 godzin. Usiedliśmy na skale, rozdzieliliśmy najprzód naszą dzienną porcję, zawinęliśmy starannie cząstki przeznaczone na wieczerzę; resztę rozkroiliśmy na dwie połowy. Kawałek, który mnie przypadł, mogłem położyć na końcu palca, pomimo to jednak jadłem go całe dziesięć minut. Jakaż to prawda, że głód jest najlepszym

kucharzem! Ten kawałek chleba, z tytoniem nawet zmieszany, smakował mi, jak żadna, najwymyślniejsza potrawa w innych okolicznościach. Czysta woda, która płynęła u stóp naszych, zakończyła ucztę. Czuliśmy się znacznie wzmocnieni.

Teraz troskliwie przejrzelśmy wąwóz. Przebyliśmy strumień; z drugiej strony sadzawki znaleźliśmy oczywiste dowody, że ktoś tu był tylko co przed nami. Dalsze poszukiwania przekonały nas, że miejsce to jest często odwiedzane, i doszliśmy później, że odwiedziny te sprowadza obficie tam rosnący korzeń, z którego dzicy wyrabiają pewien rodzaj maści. Odkrycie to zmusiło nas do natychmiastowego opuszczenia miejsca, które mogłoby nas tylko zatrzymać zapewnieniem zupełnego bezpieczeństwa—trzeba było znów szukać drogi wyżej prowadzącej; dostrzegliśmy łańcuch skał nieco pochyłych, i po półgodzinnym wdrapywaniu się zaszliśmy na tę samą wyniosłość, z której zstąpiliśmy wczoraj wieczorem.

Zaproponowałem memu towarzyszowi, że zamiast się błąkać po wyspie, i wystawiać się tym sposobem na nieustanne niebezpieczeństwo, lepiej obrać sobie stałe tymczasowe schronienie; wybudujemy wygodną chatę, i będziemy w niej przebywać, dopóty przynajmniej, dopóki pozwolą nam nasze zapasy żywności. Tobi przyznał mi słusność, i natychmiast przystąpiliśmy do wprowadzenia w czyn tego projektu.

Zwiedziliśmy najprzód niewielki wąwóz w pobliżu; nie odpowiadał jednak naszym wymaganiom; przeszliśmy następnie kilka wspomnianych już wyżyn; zbliżyło się południe, a my nie znaleźliśmy miejsca, w którym bezpiecznie osiedlibyśmy się mogli. Nisko zwieszające się, ciężkie chmury zapowiadały bliską burzę, spiesziliśmy więc do gęstych zarośli, które zdawały się wieńczyć jeden z wierzchołków, ażeby tam schro-

nić się przed dészczem. Położyliśmy się w miejscu zabezpieczoném od wiatru, narwaliśmy długiej trawy, która rosła dookoła, przykryliśmy się nią, i tak oczekiwaliśmy ulewy. Towarzysz mój pograżył się wkrótce w śnie głębokim, ja również zapadałem już w ten błogi stan zapomnienia, gdy naraz otrzeźwił nas obydwóch dészcz gwałtowny. Nie nie pomógł dach zielony: odzienie nasze, tylko co wysuszone, znów nawskróś przemokło. Doprowadziło nas to do najwyższego rozdrażnienia, radzę przeto młodemu awanturnikowi, którzy uciekają z okrętu na wyspy romantyczne w porze dészczowej, żeby nie zapomnieli zabrać z sobą parasola.

Godzinę blisko trwała ulewa. Tobi przespał ten cały czas, albo udawał przynajmniej, że śpi; chociaż się więc wypogodziło, nie miałem odwagi obudzić go. A we mnie objawiać się już zaczęły skutki ciągłego przebywania na zimnie i wilgoci; noc ostatnia szczególnież zgubny wpływ wywrzeć mogła. Naprzemiany przejmowały mnie dreszcze lub palą gorączka; noga jedna spuchła i sprawiała mi ból tak gwałtowny, iż przypuszczałem, że gad jakiś ugryzł mię w owym nieszczęśliwym wąwozie. Dowiedziałem się jednak później, że na wyspach Polinezyi wcale niema węzów jadowitych.

Stan gorączkowy, w jakim się znajdowałem, nie dozwalał mi usnąć; przewracałem się z boku na bok: żeby więc nie obudzić śpiącego towarzysza, oddaliłem się od niego o kilka łokci. Przypadkiem usunąłem gałąź gęstym pokrytą liściem, i nagle odkryłem widok, który dziś jeszcze mam przed oczyma z całą żywością pierwszego wrażenia. Nie większego doznałbym zachwytu, gdybym ujrzał przed sobą raj ziemski.

W prostej linii przed sobą spostrzegłem dolinę, która spadała falowato aż do błękitnych wód oceanu. Do połowy drogi

ku morzu, tu i owdzie z pośród liści zielonych wyglądały chatki krajowców, z dachami pokrytymi liśćmi palmy, które na słońcu do lśniącej doszły białości. Dolina wzdłuż rozciągała się na trzy godziny drogi, szerokości miała zaledwie pół godziny; z obydwóch stron zamykały ją wysokie, strome, trawą porośnięte ściany skalne i pochyłości, które zbiegając się w pobliżu miejsca, w którym znajdowaliśmy się, tworzyły półkole; spływały z nich niezliczone drobne wodospady, a wązkie ich przezroczyste strumyki kryły się w bogatej roślinności doliny. Największą ozdobą doliny była rozpościerająca się zewsząd zieloność, i to właśnie, jak sądzę, stanowi właściwy powab wysp Polinezyi. Wzrok padał wszędzie na zwieszające się liściaste gałęzie, a taka ich zwieszała się obfitość, że niepodobna było rozróżnić, jakie rosły tam gatunki drzew i krzewów. Ponad całym tym krajobrazem głębokie zaległo milczenie. I ja milczałem również; obawiałem się, żeby to urocze zjawisko nie znikło za wymówieniem jednej zgłoski, jak w bajkach cudownych.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Ponad skały i przepaście.

Zapominając o sobie i o śpiącym towarzyszu, długą chwilę stałem zatopiony w tym prawdziwie rajskim widoku: w końcu zbudziłem Tobiego, i przyprowadziłem go nad brzeg spadku, ażeby się z nim podzielić moim zachwytem. Dolina ta należeć musiała do plemienia Happar lub Typi, słyszeliśmy bowiem, że obydwie te ludy mieszkają po drugiej stronie wyspy, w dosyć znacznej odległości od morza. Ale do którego z tych pokoleń należała owa dolina? Było to najżywotniejsze pytanie. Happarowie utrzymywali przyjazne stosunki z Nukahiwą, i mieli sławę ludzkich i łagodnych, gdy tymczasem na samo wspomnienie plemienia Typi zimny dreszcz mnie przebiegał. Tobi utrzymywał, że to dolina Happarów, ja upierałem się, że musi to być siedziba ich nieprzyjaciół. Wprawdzie nie miałem sam wewnętrznie o tém przekonania, ale mówiłem tak umyślnie, gdyż zamiar mego towarzysza, ażeby bez namysłu zejść w dolinę, i prosić krajowców o przytułek, wydawał mi się zbyt zuchwałym, szalonym! Postanowiłem nie dopuścić do tego, dopóki nie nabędziemy pewniejszego przekonania. Tobi jednak nie mógł oprzeć się ponęce zaspokojenia głodu dokuczliwego i innych potrzeb, co zdawała się obiecywać czarująca dolina,

i upierał się przy swoim nierozważnym zamyśle. Gdy mówiłem mu, jak straszny byłby nasz los, gdybyśmy na chybi trafi zeszli w dolinę, i odkryli zapóźno, że to siedziba Typich, wówczas on przeciwstawiał mi całą okropność naszego obecnego położenia, któreby się stokrotnie jeszcze pogorszyło, jeżelibyśmy nadal tak zostali.

Żeby go oderwać od tych smutnych myśli, zwróciłem jego uwagę na kawał ziemi bezleśnej, która schodziła z góry; po za nią leży prawdopodobnie jedna z owych niezaludnionych, owocowych dolin, jakich, słyszałem, wiele znajduje się na wyspie; trzeba się dostać do niej, a gdyby nie omyliły nas nasze oczekiwania, znaleźlibyśmy rozkoszny przytułek, w którym moglibyśmy pozostać tak długo, jakbyśmy chcieli.

Usłuchał mię Tob; zaczęliśmy więc śledzić zarośla, ażeby odkryć najdogodniejszą przez nie drogę; niewielki jednak mieliśmy wybór; grunt pokryty był porozrywanymi skałami, a pośród nich czerniały głębokie przepaście, które zbiegały prostopadle, i przecinały naszą drogę. Trzeba więc było przebyć wszystkie te łomy i parowy, chcąc dojść do zamierzonego celu.

Mozolna wędrówka! Postanowiliśmy iść, jakkolwiek ja szczególnie, wiedziałem, jak ciężko mi będzie dokonać tego przedsięwzięcia: febra naprzemiany przejmowała mię dreszczem zimnym, lub oblewała potem gorączki, a chora moja noga nie małą również stanowiła zawadę; do tego dodać jeszcze trzeba głód, który wiele już zabrał nam sił. Nie powstrzymywały mię przecież te okoliczności, przeciwnie, popychały do pośpiechu; trzeba było koniecznie dostać się do miejsca, w którym moglibyśmy znaleźć pożywienie i spokój, dopóki nie zapadnę w stan zupełnej niemocy; jutro już może nie będę mógł odbyć podobnej podróży. Niezwłocznie przystąpiliśmy do wykonania

naszych zamysłów; zaczęliśmy się spuszczać prostopadłą ścianą głębokiego, wąskiego parowu, najeżonego trzcina; trzcina owa na ten raz była nam bardzo pożyteczną, gdyż chwytając się jej, łatwiej nam się było zsuwać. Szybko dostaliśmy się do miejsca, gdzie znów mogliśmy zrobić użytek z naszych nóg, i wkrótce staliśmy już nad brzegiem strumienia, który szumiąc, przerzynał parów.

Napiliśmy się orzeźwiającego napoju, i przygotowywaliśmy się do cięższej nierównie przeprawy, aniżeli wszystkie dotąd przebyte: trzeba było wdzierać się na przeciwległą ścianę parowu. Trudne przedsięwzięcie! Postępowaliśmy tak wolno, że w godzinę, jak ślimaki, dopełzliśmy zaledwie do połowy skały. Na domiar złego, wróciła znów gorączka, o której przez czas jakiś zapomniałem, a wróciła z niesłychaną gwałtownością. Takie straszne paliło mnie pragnienie, że chwilami, jakby w obłąkaniu, przychodziła mi myśl rzucić się na dół, ażeby ugasić ogień wewnętrzny w przezroczystej wodzie, która tak ponętnie szumiała u stóp moich. Szalone to pragnienie pochłonięło mię całkiem; zapomniałem o naszych nadziejach i obawach, nie myślałem o skutkach, jakie mógł spowodować podobny postępek. Tob; zaklinał mnie, żebym szedł dalej: odrobiny jeszcze cierpliwości, a staniemy na wierzchołku skały; zamtąd w pięć minut będziemy już nad wodą, która niezawodnie płynie z tamtej strony pochyłości.

— Proszę cię! — wołał — przewycięż się, nie wracaj! Weszliśmy już tak wysoko! Powiadam ci, żaden z nas nie miałby już odwagi, wdrapywać się po raz drugi na tę skałę.

Byłem jeszcze dosyć przytomny, ażeby zrozumieć prawdę tych słów, z wysiłkiem więc niezmiernym wciągałem się dalej; napróżno jednak próbowałem uspokoić dokuczliwe pra-

gnienie myślą, że wkrótce dostanę się do wody, i pić będę do syta.

Weszliśmy nakoniec na wierzchołek drugiej skały, najwyższej z tych wszystkich, które w liniach równoległych ciągnęły się pomiędzy nami, a upragnioną doliną. Teraz cały ich szereg stanął przed nami otworem; na widok ten, osłabiony i zniechęcony, popadłem prawie w rozpacz. Nie nie było wiadać, prócz łomów skalistych, poprzedzielanych czarnymi otchłaniami! Gdybyśmy mogli z jednego wierzchołka tych stromych, lecz wązkich wyniosłości, przeskakiwać na drugi, łatwoby nam przyszło przebyć obszar ciągnący się przed nami; ale my musieliśmy zsuwać się w każdy parów i wdrapywać się na każdą wyniosłość z osobna. I Tobi nawet, jakkolwiek zdrowy, stracił na ten widok odwagę.

Nie przyglądaliśmy się przecież długo dzikiemu krajobrazowi; mnie ciągnął strumień płynący w dole. Nie zważając na niebezpieczeństwo, o którym dziś nie mogę pomyśleć bez drżenia, spuszczaaliśmy się w parów; głuchą ciszę przerywał tylko łoskot spadających odłamów skał, które spychaliśmy co chwila; nie troszczyliśmy się ani o grunt niepewny, ani o to, czy utrzymają nas korzenie i gałęzie, którychśmy się czepiali. Co do mnie, nie umiałem sobie zdać sprawy, czy przerażająca szybkość, z jaką się zsunąłem, była skutkiem mej własnej woli, czy też dziełem przypadku. W kilka minut stanęliśmy w parowie; przykląknę na wązkim, wystającym kawałku skały, i schyliłem się do strumienia. Mogę więc zaspokoić dręczące pragnienie! Zatrzymałem się chwilę, ażeby użyć tego uczucia, zanurzyłem wargi w płyn przezroczysty. Nie doznałbym przykrzejszego wrażenia, gdyby ananas w ustach moich raptem zamienił się w popiół! Kilka kropel zimnej wo-

dy ścięło lodem krew w mojem ciele, a paląca mnie gorączka zmieniła się w zimne dreszcze, które raz po raz wstrząsały mną, jak elektryczne uderzenia. Znikło pragnienie, a natomiast zbudził się nieprzewyciężony wstręt do wody. Zerwałem się, a na widok mokrych dokoła kamieni, i ciemnej wody strumienia, poczułem równie gwałtowną żądzę wydobyć się na słońce, jak przed chwilą pragnąłem dostać się do głębi wąwozu.

Po dwugodzinnym mozole stanęliśmy znów na wierzchołku skały; gdy spojrzałem w czarną otchłań, zaledwie mogłem sam sobie uwierzyć, żeśmy ją przebyli. Widok z téj nowej wyżyny nie był bardziej pocieszającym, niż poprzednie; wydało mi się teraz zupełnem niepodobieństwem, żebyśmy mogli przedrzeć się przez wszystkie te skały i otchłanie; rzekłem się już nawet myśli dostania się do leżącej poza niemi doliny. Jak się wydostać z ciężkiego położenia? Nie miałem na to rady. Wracać do Nukahiwy, nim okręt odpłynie? O tém, myśleć nawet nie chcieliśmy. Zresztą, wielkie pytanie, czybyśmy trafili napowrót do zatoki? Kto wie, czy błądząc tu i owdzie, nie poszliśmy w całkiem innym kierunku? Nie łatwo się téż zdecydować, krok za krokiem przebywać mozolną drogę, którąśmy już zostawili za sobą! Zaczęliśmy się znów spuszczać z wyżyny bez wytkniętego celu, machinalnie prawie, i przy schyłku dnia, zmordowani, bezsilni, staliśmy na dnie trzeciego parowu.

Usiedliśmy, a Tobi wydobył z za kaftana kosztowny pakiecik. Zjedliśmy w milczeniu małej kawałeczek, pozostały od śniadania, poczem wstaliśmy, ażeby przysposobić sobie schronienie do spoczynku nocnego, którego potrzebowaliśmy tak gwałtownie. Na szczęście miejsce to wygodniejszą nieco

obiecowało nam sypialnię, niż była ostatnia. Oczyszcziliśmy niewielki, lecz równy kawałek ziemi z rosnącą na nim trzciny, upletliśmy z niej budkę, w kształcie kosza, i pokryliśmy ją dokoła długimi, grubymi liśćmi, których nam dostarczyły drzewa pobliskie; zostawiliśmy tylko maleńki otwór, na wejście. Głębokie te parowy osłaniają wprawdzie od wiatru, ale są tak wilgotne i zimne, jak sobie nawet wystawić trudno w podobnym klimacie, a ponieważ nie mieliśmy prócz wełnianych kaftanów, staraliśmy się więc o ile możności zaopatrzyć nocną naszą kwaterę. Zrywaliśmy więc jak najwięcej liści, ażeby jeszcze lepiej okryć naszą chatkę, i urządzić sobie jak najwygodniejsze posłanie. Gdyby mi ból w nodze nie przeszkadzał, byłbym mógł spokojnie przespąć tę noc, bo i deszcz nawet nie padał; tymczasem zdrzymnąłem się tylko dwa lub trzy razy na krótki czas; Tobie spał obok mnie tak smacznie, jakby leżał na łożu holenderskiem.

Z rana zbudził mnie czysty dźwięczny głos mego towarzysza. Wydobyłem się z głębi liści, i wypełznąłem z budy. Zdziwiłem się jaką zmianę sprowadził wygodny spoczynek jednej nocy w powierzchowności mego przyjaciela. Był tak świeży i ożywiony, jak młody ptaszek. W ręku trzymał kawał miękkiej kory, i żuł ją, usiłując tym sposobem oszukać głód; zachęcał mnie, żebym również poszedł za jego przykładem. I ja czułem się nieco silniejszy, aniżeli wczoraj; trwoga mnie tylko nabawiała noga, która od czasu do czasu gwałtownie mnie bolała. Nie skarżyłem się jednak, nie chcąc psuć dobrego humoru mego towarzysza, powiedziałem mu tylko z uśmiechem, żeby się zajął przygotowaniem bankietu, a ja tymczasem poszedłem umyć się w strumieniu; potem jedliśmy, czyli raczej ssali pomaleńku kawałeczki chleba, które nam

przypadły z podziału, i naradzaliśmy się zarazem, jak dalej odbywać naszą podróż.

— Co począć? — mówiłem półgłosem.

— Zejść w dolinę, którąśmy wczoraj odkryli — odrzekł Tobie prędko i stanowczo. — Jakiż mamy wybór? Jeżeli pozostaniemy tutaj, z pewnością umrzemy z głodu obydwaj. Co się tyczy troski twojej o owych Typich, to głupstwo! Niepodobna, żeby ludzie mieszkający w dolinie tak rozkosznej nie byli dobrymi, prostodusznymi, a jeżeli ci się podoba skonać w jednej z tych otchłani, w takim razie ja sam zejść w dolinę.

— I jakże się tam dostaniemy? — zapytałem. — Czy na powrót wdrapywać się będziemy na skały, któreśmy przebyli, aż do miejsca wczorajszego naszego pobytu, a ztamtąd wykonywać *salto mortale* w dolinę?

— Na honor, nie pomyślałem o tém! — odrzekł Tobie. — Przepaściste otchłanie z obydwóch stron otaczają dolinę, nieprawdaz?

— Tak. Są one tak strome, jak boki liniowego okrętu, a sto razy wyższe.

Tobie spuścił głowę na piersi, i czas jakiś milczał, zamyślony głęboko. Nagle poskoczył, oczy mu jaśniały.

— Tak, tak! — zawołał. — Te strumienie bieżą wszystkie w jednym kierunku, i niezawodnie spływać muszą w dolinę, nim wpadną do morza. Idźmy tylko z biegiem tego strumienia, a wcześniej czy później zaprowadzi nas do miejsca pożądanego.

— Masz słuszość, Tobie! — zawołałem. — Masz słuszość! Musi nas zaprowadzić, i to niedługo, bo, patrz, jak gwałtowny ma spadek!

— To prawda! — mówił Tobie, nie posiadając się z radości, że potwierdziłem jego wniosek. — To rzecz jasna! A więc, dalej w drogę! Porzuć twoje myśli szalone o Typich, i ruszajmy do pięknej siedziby Happarów!

— Podług ciebie zatem, jest to koniecznie dolina Happarów! Daj Boże, żebyś się nie mylił! — odrzekłem potrząsając głową.

— Tak, i *Amen* na zakończenie tego wszystkiego! — zawołał Tobie, i pobiegł naprzód. — Tak, to są Happarowie! Co za pyszna dolina! Co za lasy i drzewa chlebowe! co za mnóstwo orzechów kokosowych! Chodź, przyjacielu, nie wahaj się, umieram z pragnienia, ażeby zaznajomić się z paradnemi temi owocami! Naprzód, naprzód! Nie troszcz się o skały! Zepchnij je z drogi, tak jak ja, a jutro, daję ci słowo, żyć będziemy, jak ptaki w konopiach! — I, jak szalony, pędził ze skały, nie myśląc nawet, że ja, w moim stanie, nie mogłem podążyć za nim. Opamiętał się jednak po kilku minutach, przystanął i czekał, aż doszedłem do niego.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Nadzwyczajna wędrówka.

Z początku droga była znośna; im dalej jednak, tém cięższą się stawała. Spadłe odłamy skał pokrywały koryto strumienia, i tamowały bieg wody, która okrażała je, szumiąc gniewnie i pieniać się, i tu i owdzie tworząc małe spadki; spadki te wlewały się w głębokie doły, albo śmiało pędząc przez kamienie, rozpryskiwały się na wszystkie strony. Parów był wązki, ściany prostopadłe, musieliśmy więc brnąć środkiem strumienia, potykając się co chwila o ukryte na dnie zawady. Najbardziej przeszkadzało nam mnóstwo karłowatych krzewów, rosły one prostopadle prawie do ścian parowu, a wiążąc się w masę fantastyczną, dosięgały powierzchni strumienia. Pod utworzonem tym sposobem niskim sklepieniem, trzeba było czołgać się na rękach i kolanach po mokrych kamieniach, albo brnąć przez kałuże; tak słabe dochodziło nas światło, że zaledwie mogliśmy rozróżnić najbliższe przedmioty. Niekiedy uderzaliśmy głową o wystający pień drzewa, a gdyśmy tarli bolącą część, padaliśmy na kamienie, i raniliśmy się wystającemi, ostremi kantami. Velzoni nie miał większych trudności do zwalczenia, kiedy się przedzierał przez egipskie

katakumby. Śmiało, niczém niezrażeni, szliśmy jednak na przód; wiedzieliśmy, że nie ma dla nas innéj nadziei ratunku.

Słońce zachodziło; zatrzymaliśmy się, ażeby wypocząć, i przygotować sobie nocleg. Postawiliśmy budkę podobną do wczorajszej, i wczłgaliśmy się do środka; tu zapomnimy na kilka godzin o naszych trudach i cierpieniach. Towarzysz mój spał, zdaje mi się, dosyć dobrze, ale ja, po bezsennéj nocy, nazajutrz nie byłem zdolny podjąć dalszych mozołów. Tobie, jako środek przeciw mojej chorobie, przepisał mi dozę zawartą w jednym z naszych węzełków. Nie mogłem się na to odważyć; Tobie nalegał uporeczywie: zjedliśmy więc zwyczajną naszą porcyą, i, milcząc ruszyliśmy w drogę. Mijał już dzień czwarty od ucieczki naszej z Nukahiwy; wzmagało się coraz bardziej cierpienie głodu; oszukiwaliśmy go, żując miękkie korzenie i korę z gałęzi; miało to smak przyjemny, ale żadnego nie dawało posiłku.

Wolno bardzo posuwaliśmy się spadzistém łożyskiem strumienia; do południa zrobiliśmy zaledwie pół mili drogi. Rankiem jeszcze słyszeliśmy wdali głuchy szum wodospadu; teraz wyraźniej zaczęliśmy go rozróżniać, i wkrótce stanęliśmy nad głęboką na sto stóp przepaścią, która rozciągnęła się przez całą szerokość parowu; dziki potok rzucał się w nią jednym, gwałtownym spadkiem. Z obu stron sterczały zwieszające się odłamy skał; nie było drogi, którąby można wyminąć otchłań.

— Cóż teraz pocniemy, Tobie? — zapytałem.

— Ha! — odpowiedział — ponieważ nie możemy iść w tył, musimy przeto ruszać naprzód!

— Święta prawda, kochany Tobie, ale jak?

— Skokiem śmiertelnym w dół, jeżeli nie przedstawi się żaden inny sposób! — odpowiedział bez namysłu. Ostrożnie na

czworakach posunął się nieco naprzód, i zajrzał w przepaść. Czekałem.

Gdy skończył przegląd, zapytałem, co o tém sądzi?

— No — mówił Tobie powolnie i z namysłem, mrugając oczami właściwym sobie sposobem: — w krótkich słowach zdam ci sprawę z mego przeglądu. W téj chwili nie wiem jeszcze, twoja czy moja szyja wprzódy będzie skrecona, ale można się założyć o jeden przeciwko stu, że zaszczyt ten spotka tego, kto pierwszy krok zrobi.

— Jest-to rzeczą niemożliwą? — wyrzekłem smutnie.

— Nie, przyjacielu, przeciwnie, rzecz to najłatwiejsza w świecie; najtrudniejsza odpowiedź jest tu na pytanie, co będzie z naszymi biednymi członkami, gdy się znajdziemy już w dole, i jaką potém przedsięwziąć nową metodę podróży? Jednak idź za mną; wskażę ci jedyną drogę, jaka nam pozostała.

Zaprowadził mnie nad brzeg przepaści, i pokazał na jej ścianie mnóstwo dziwacznych, olbrzymich korzeni; niektóre z nich były grube na trzy do czterech cali, i bardzo długie. Przewinawszy się przez szczeliny skał, wystawały z nich prostopadle; w miarę przedłużania się stawały się coraz cieńsze, i kończyły się ostro; możnaby je było wziąć za sople lodowe, zwieszające się nad otchłanią. Pokrywały całą prawie wzmiankowaną ścianę parowu, a w dole sięgały aż do wody. Wiele z nich pokryło się mchem; inne były zmurszałe i tępo zakończone, bo końce ich nadgniły; te które znajdowały się w bezpośredniem zetknięciu z wodospadem, oślizgły z wilgoci.

Szalony był to zamiar! Trzeba się było powierzyć owym zdračnym korzeniom; ześlizgując się z jednego na drugi, mieliśmy się dostać na dno przepaści.

— Czy gotów jesteś odważyć się na to? — pytał Tobi, patrząc na mnie wzrokiem badawczym.

— Jestem gotów! — odrzekłem. Widziałem, że tą jedy-
ną drogą możemy iść dalej. O powrocie oddawna już nie było
mowy pomiędzy nami.

Otrzymawszy moje przyzwolenie, Tobi, w milczeniu, po-
czołgał się pierwszy po mokrém nadbrzeżu ściany skalnej; do-
tarł do miejsca, z którego mógł dosięgnąć jednego z najwię-
kszych korzeni; uchwycił go, i pociągnął silnie; korzeń zadrgał
w jego ręku, a gdy go puścił, zawarczał w powietrzu, jak gru-
by drut silnie uderzony. Zadowolniony z rezultatu swój pró-
by, lekki mój towarzysz zręcznie spuścił się na korzeń, i na
sposób majtka, objawwszy nogami, zsunął się osiem do dziesię-
ciu stóp naprzód; ciężar jego ciała wprowadził korzeń w miarowy
ruch perpendykułu. Musiał się zatrzymać; jedną ręką uchw-
ciwszy się końca téj liny naturalnej, drugą próbował innych,
które znajdowały się w jego pobliżu; gdy znalazł korzeń, któ-
remu sądził, że może zaufać, spuścił się na niego, i znów tym-
że sposobem posunął się dalej w dół.

Jakkolwiek często widywałem mego towarzysza na okrę-
cie ze zręcznością kota wdzierającego się na liny, i spuszcza-
jącego się z nich, to przecież na ten widok serce głośno ude-
rzało mi w piersi, a gdy w końcu porównałem moją ciężką bu-
dowę ciała, i chorą nogę z jego lekką, ruchliwą postać, nie
miałem odwagi pójść za jego przykładem. Nie było jednak
rady, musiałem to zrobić. Żeby się nie dać opanować obawie,
natychmiast przystąpiłem do dzieła, i zsunąłem się na olbrzy-
mi korzeń wprost nad głową Tobiego. Skoro mnie tylko uj-
rzał, zawołał w zwykły sobie krótki sposób: „Towarzyszu,
bądź łaskaw nie spadać, dopóki ci nie ustąpię z drogi!“ Zwró-

cił się w bok, i zsunął się dalej w dół. Przez ten czas i ja puści-
łem korzeń, którego się trzymałem, i ześlizgnałem się na dwa
inne w pobliżu; więcćj bowiem ufałem mocy dwóch, niż jedne-
go. Jakoż godnie odpowiedziały memu zaufaniu. Kilka jednak
innych korzeni, które próbowałem przy końcu drugiej stacyi, zła-
mały się w moim ręku, i w kawałach z łoskotem spadły w wodę.
Jednocześnie zachwiały się te, na których zawieszony byłem
nad ziejącą przepaścią, i zakołysały się: za chwilę złamię się
pewnie! Przerażony, usiłowałem pochwycić jedyny gruby ko-
rzeń, znajdujący się najbliżej; napróżno, nie mogłem go do-
sięgnąć, parę cali dzieliło palce moje od niego. Kilkakrotnie
ponawiałem próbę—wkońcu, bezprzytomny prawie, na widok
straszego losu, który mi zagrażał, silnie odepchnąłem się no-
gą od skały, rozpaczliwie uchwyciłem korzeń, i padłem na nie-
go. Zachwiał się gwałtownie pod niespodzianym ciężarem; na
szczęście jednak, nie złamał się.

Zaszumiało mi w głowie na myśl o straszném niebezpie-
czeństwie, na jakie byłem wystawiony przed chwilą, i bezwie-
dnie prawie zamknąłem oczy, ażeby nie widzieć przerażającej
pod sobą przepaści. Na ten raz byłem uratowany, i w głębi
duszy wzniosłem dziękczynną do Boga modlitwę.

— Przewybornie! — zawołał Tobi z dołu. — Jesteś zrę-
czniejszy, aniżeli sądziłem: skaczesz z korzenia na korzeń, jak
młoda wiewiórka! Skoro się jednak nacieszysz tą jazdą, radzę
ci spuszczać się dalej.

— No, no, Tobi, cierpliwości! Dwa jeszcze, albo trzy ta-
kie przepyszne korzenie, jak ten, a stanę przy tobie.

Łatwą już była reszta mojej podróży w porównaniu z po-
czątkiem. Gęściej rosły korzenie, a w paru miejscach ster-
czące odłamy skał wielką mi były pomocą, i w kilka minut,

oddychając głęboko, stałem już na równym gruncie obok mego towarzysza.

Wynalazłem sobie inny kij, gdyż ten, który mi służył dotąd zostawiłem na górze, i poszliśmy dalej łożyskiem strumienia. Wkrótce posłyszeliśmy głuchy szum, wzmagał on się, w miarę, jak cichł łoskot wodospadu, który zostawiliśmy za sobą.

— Drugi wodospad! — zawołałem, przystając.

— To nic nie znaczy! — odrzekł Tobi. — Umiemy się już teraz z nimi obchodzić. Naprzód, przyjacielu!

Zdawało się, że niema nic, coby zdolne było przygnębić lub zachwiać tego ducha nieustraszonego. Cokolwiek zastąpiłoby mu drogę, Typi, czy Niagara, on wszystkiemu śmiało stawiałby czoło. Często, podziwiając go, dziękowałem Bogu, że mi dał takiego towarzysza ciężkiej mojej podróży.

Po godzinnym, mozolnym pochodzie, dosięgliśmy drugiego wodospadu. Brzeg tego parowu wyższy był jeszcze, niż pierwszy, i również z obu stron zamknięty stromemi ścianami skał; tylko że tu gdzieniegdzie znajdowały się wysoki, pokryte cienką warstwą ziemi, na której rosły rozmaite krzewy i drzewa: świetna ich zieloność mile odbijała od śnieżno-białych fal rozbijającego się o skały i zapienionego potoku. Tobi, przyjąwszy na siebie obowiązek pioniera, zaczął badać grunt, i wkrótce powrócił z szczęśliwą wiadomością, że z prawej strony dosyć bezpiecznie zejść będziemy mogli po odłamach skał. Wdrapaliśmy się więc na jedną z owych ścian skalnych; czekała nas jeszcze wyższa i jeszcze bardziej stroma skała; weszliśmy jednak na nią, wspierając się nawzajem. Ostrożnie wspinaliśmy się coraz wyżej, chwytając się korzeni krzewów, które wyskakiwały z każdej szczeliny. Droga nasza zwężała

się w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód; z trudnością mogliśmy się na niej utrzymać; mieliśmy nadzieję, że się rozszerzy od rogu skały, ale jakże przykre było nasze zdumienie, gdy droga ta nagle całkiem znikła przed naszymi oczami.

Tobi, jak zwykle, szedł naprzód; czekałem w milczeniu jaką znajdzie radę na ten nowy kłopot. Przeszło kilka minut, a on ani słowa nie przemówił, odezwałem się więc:

— I cóż pocniemy teraz, przyjacielu?

Odpowiedział mi spokojnie, że podług niego, byłoby najlepiej wydobyć się co najprędzej z tej zasadzki.

— O tém wiem, ale jakim sposobem?

— Mniej więcej takim — odrzekł, i w téjże chwili szybko zsunął się z pochyłości, i padł szczęśliwym tylko trafem, jak sądziłem wówczas, pomiędzy rozpostarte gałęzie pewnego rodzaju palmy; drzewo to, zagłębiwszy twarde korzenie wzdłuż jednego z wysoków, pień swój wzniosło w górę, i na dwadzieścia mniej więcej stóp poniżej wyżyny, która nas zatrzymała, gęste rozłożyło gałęzie. Pomimowolnie wstrzymałem oddech; zdawało mi się, że widzę już ciało mego towarzysza przelatujące przez gałęzie, i z głuchym łoskotem spadające w przepaść. Jakaż była moja radość, gdy Tobi podniósł się, wyciągnął nogi, zawikłane w połamanych gałęziach, i spoglądając ku mnie z zielonego swego siedliska, zawołał wesoło: — Naprzód, przyjacielu! Nie ma innego wyboru! — Potem cofnął się w gałęzie, zsunął się wzdłuż pnia, i w kilka chwil stanął, na piętnaście przynajmniej stóp podemną, na twardym wysoku skały, z którego wyrastało drzewo.

Co byłbym dał w téj chwili, żeby już być przy nim! Czyn, którego dokonał, graniczył, podług mnie, z cudownością:

zaledwie oczom wierzyć mogłem, patrząc na szeroką przestrzeń, jednym przebyta skokiem. Po raz drugi zabrzmiało mi w uszach zachęcające: „naprzód!“ mego towarzysza. Obawiając się, że całkiem utracę odwagę, jeżeli dłużej namyślać się będę, spojrzałem raz jeszcze w przepaść, ażeby zmierzyć kierunek, zamknąłem oczy, i, polecając duszę Bogu, rzuciłem się ze skały; po chwili, bez tchu, padłem na drzewo; gałęzie trzeszczały i łamały się podemną, a ja spadałem coraz niżej: wreszcie zatrzymał mnie jeden z silnych konarów. W kilka minut stałem już pod drzewem, i obmacywałem się dokoła, ażeby się przekonać, jakie kontuzye poniosłem przy tak szalonym skoku? Skończyło się na kilku, nie nieznaczących zadraśnięciach. Jakże gorąco dziękowałem Bogu. Resztę drogi, aż do stóp wodospadu, odbyliśmy bez wielkiego utrudzenia, i w pół godziny po przybyciu na miejsce spoczynku, zjedliśmy wieczrę, zbudowaliśmy chatę, i, upadając ze znużenia, wczółgaliśmy się w jej wnętrze.

Pomimo osłabienia i głodu, który nas pożerał, jakkolwiek zaden z nas nie mówił o tém, wlekliśmy się następnego poranku, ciężką i zawsze jeszcze niebezpieczną drogą, pocieszając się nadzieją, że wkrótce ujrzymy dolinę. Pod wieczór głośnieję dał się słyszeć ryk wodospadu, który od jakiegoś czasu, cichym, niskim basem, akompaniował muzyce mniejszych spadków, a o zachodzie słońca staliśmy nad brzegiem głębokiej na 300 stóp przepaści, przez którą potok hucząc, toczył swoje ciemne wody, i spływał w dolinę. Leżała więc przed nami upragniona owa dolina z uroczą swą zielenią, ale dzieliła nas od niej przepaść głęboka, niepodobna prawie do przebycia. Nie zrozpaczyliśmy przecież całkiem. Zaczynało się już zciemniać: postanowiliśmy przebyć noc w tém miejscu, i nazajutrz,

wzmocnieni snem i pozostałym chlebem, który obiecaliśmy sobie odrazu zjeść na śniadanie, zejść w dolinę, albo zginać w tej próbie.

Teraz jeszcze zimny dreszcz mnie przejmuję na wspomnienie miejsca, gdzieśmy noc przebyli. Na odłamie skały, zwieszonym w bok nieco od wodospadu, leżał ukośnie gruby pień drzewa, jednym końcem wsparty o skałę, drugim o ścianę przepaści. Oparliśmy o niego mnóstwo połamanych, suchych prętów, przykryliśmy je gałęzmi i liśćmi, i wsunęliśmy się pod ten dach. Była to noc okropna. Nieustanny huk wodospadu, wycie wiatru pośród gałęzi drzew, plusk dészczu i ciemność głęboka, sprawiały na mnie przykre, nad wszelki wyraz przysiębiające wrażenie, jakiego dotąd jeszcze nie doświadczyłem. Przemokły, zgłodniały, drżąc z zimna i gwałtownego bólu w nodze, zgiałem się pod ciężarem tych cierpień różnorodnych. Ponure myśli i straszne jakieś dręczyły mnie przecucia. Do tego jeszcze, towarzysz mój, który także spochemurniał, przez całą noc nie przemówił ani słowa.

W końcu przedzierać się zaczął pierwszy brzask dzienny. Podnieśliśmy się z nędznego legowiska, wyciągnęliśmy członki zeszywniałe, zjedliśmy resztkę chleba, i gotowaliśmy się do odbycia ostatniej stacyi naszej drogi. Przemileczę z jakimi musieliśmy walczyć przeszkodami, jak nieraz z trudem uniknęliśmy grożącej śmierci, gdyż opowiadałem już o tém kilkakrotnie. Dosyć, że po wielu trudach i niebezpieczeństwach, uszedłszy jednak kalectwa, stanęliśmy u wejścia czarującej doliny; znajdowaliśmy się w cieniu téjże samej prawie skały, z której wierzchołka, przed pięciu dniami, podziwialiśmy cudny, niespodzianie zjawiający się nam krajobraz.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Happarowie czy Typi?

Część doliny, na którą dostaliśmy się, wydawała się całkiem niezamieszkaną. Po obydwóch stronach rozłożyła się gęstwa nieprzebyta; nie dostrzegliśmy przecież ani jednego z tych drzew, na których owoce rachowaliśmy z taką pewnością; potrzeba posiłku gwałtownie czuć się nam dawała, nie zatrzymując się przeto, szliśmy z biegiem strumienia. Przez czas długi mieliśmy przed oczyma jeden i tenże sam krajobraz. Brzegi strumienia, najeżone gęstwiną, długo może ciągnąć się tak będą, a kto wie, czy z boku nie rosną drzewa owocowe? Prosiłem Tobiego, żeby przejrzał jedną stronę, podczas gdy ja zbadał drugą. Może znajdziemy przejście jakie wśród krzewów? może ścieżka, albo cokolwiekby innego wskażą nam, że ludzie są niedaleko.

Jakże przenikliwe spojrzenia rzucaliśmy w te cieniste zarośla: postępowaliśmy z wzrastającym niepokojem, co chwila mógł nas przeszyć oszczep, rzucony z zasadzki ręką dzikiego! Towarzysz mój zatrzymał się, i zwrócił moją uwagę na niewielki otwór pośród gałęzi. Wśliznęliśmy się wewnątrz, i spostrzegliśmy niewyraźną ścieżkę, prowadzącą do miejsca nieco przeczyszczonego, w którym spostrzegliśmy dużo drzew, zwanych

w mowie krajowców „Annui,” i wydających wyborne owoce. O, jakżeśmy biegli! Ja wszystkie siły zgromadziłem w nogi, Tobi pędził jak chart! Wkrótce ogołocił drzewo, na którym znajdowało się dwa czy trzy owoce, ale na nasze zmartwienie, ptaki przedziurawiły łupinę, i wydziobały owoc do połowy. Spożyliśmy resztę; ambrozja bogów nie więcejby nam smakowała.

Spoglądaliśmy dokoła, niepewni, w którą stronę skierować nasze kroki, gdyż znikła ścieżka, która nas tu zawiodła. Zwróciliśmy się do gaju pobliskiego; zaledwie uszliśmy kilkanaście kroków, gdy spostrzegłem na ziemi gałązkę drzewa chlebowego; podniosłem ją: była jeszcze zielona, i widać, że przed chwilą, zdarto z niej młodziutką, delikatną korę. Mokra była jeszcze i śliska, jakby tylko co rzucona. Milcząc pokazałem ją memu towarzyszowi; Tobi zmieszał się na widok tego niezaprzeczonego dowodu, że jesteśmy w pobliżu dzikich. Cokolwiek dalej leżała wiązeczka takichże gałęzi, związana łykiem. Zapewne krajowiec jaki, przestraszony naszym widokiem, rzucił te gałęzie, i pobiegł dać znać o nas swoim współziomkom. Happarowie czy Typi? Wracać w każdym razie było już zapóźno; zwolna więc szliśmy dalej, badawczo przeglądając drzewa wkoło siebie. Naraz, Tobi, który mnie poprzedzał, cofnął się gwałtownie, jakby go zmija ugryzła. Przykląkł na jedno kolano, i ręką dał mi znak, żebym się zatrzymał; drugą ręką uchylił zawadzającą mu gałąź, i patrzył na jakiś przedmiot z nateżoną uwagą.

Nie zważając na dany mi znak, szybko zbliżyłem się do niego, i ujrzałem dwie postacie, w części gęstemi zakryte liśćmi, nieporuszone, stały blisko siebie. Dostrzegli nas zapewne i skryli się pomiędzy gęściejsze drzewa; ażeby ujść na-

szęj uwagi. Zdecydowałem się w jednej chwili; rzuciłem kij, pochwyciłem paczkę, którąśmy z okretu zabrali, rozwinąłem perkal, a ujawszy go jedną ręką, drugą ułamałem zieloną gałązkę z pobliskiego krzaka: Tobiemu kazałem zrobić toż samo; przedarłem się później przez krzak, i szedłem prosto do dwóch drżących istot, potrząsając wzniesioną gałązką, jako godłem pokoju. Był to chłopiec i dziewczyna, oboje lekkiej, zręcznej budowy ciała, przepasani byli pewnym rodzajem fartucha z ciemnych liści drzewa chlebowego, zatkniętych wokoło szerokiego pasa z łyka. Stali, trzymając się za ręce, z głową naprzód podaną, prawą nogą wysuniętą, baczni na najbliższy szmer, sprawiony naszymi krokami, i gotowi, zdaje się, do ucieczki.

W miarę, jakieśmy się zbliżali, zwiększała się ich trwoga. Lękając się, żeby nie uciekli, zatrzymałem się, i dałem im znak, żeby się zbliżyli i wzięli przeznaczony dla nich podarek; nie poruszyli się jednak z miejsca. Wówczas wymówiłem kilka wyrazów w ich języku; nie myślałem, że mnie zrozumieją, chciałem im tylko pokazać przez to, że nie spadliśmy z obłoków. Zdawało się, że to budzi cokolwiek ich zaufanie. Postąpiłem przeto ku nim, w jednej ręce trzymając perkal, w drugiej gałązkę; cofali się zwolna. Wreszcie pozwolili zbliżyć się nam o tyle, że mogliśmy zarzucić im na ramiona ów perkal, starając się dać im do zrozumienia, że darujemy im to, i, że mamy dla nich najwyższą życzliwość.

Przestraszona para zatrzymała się, a my usiłowaliśmy wyrazić na migi to, co nam w tej chwili najwięcej było potrzebne. W tym celu Tobie dałem prawdziwe przedstawienie mimiczne: rozdzierał usta od ucha do ucha, palce pakował w gardło, gryzł zębami, jak gdyby co jadł, przewracał oczyma, tak,

że niezawodnie, biedne istoty wzięły nas za białych ludożerców, którzy mieli chęć przyrządzić sobie z nich ucztę. Zrozumieli nas w końcu, nie pośpieszyli jednak zadowolnić tej naszej gwałtownej potrzeby. Wtém deszcz lunął gęsty; daliśmy im do zrozumienia, żeby nas zaprowadzili pod dach. Przystali na to; nie pozbyli się przecież całkiem nieufności; szli przed nami z głową zwróconą w tył, obserwując każde nasze poruszenie, badając nawet pilnie wyraz naszej twarzy.

— Typi czy Happarowie, Tobie? — zapytałem, gdyśmy szli za nimi.

— Naturalnie że Happarowie! — odpowiedział z udaną pewnością.

— Zaraz zobaczymy! — zawołałem. Przystąpiłem do naszych przewodników, wymówiłem oba te imiona w tonie zapytania, i jednocześnie wskazałem na dolinę, pewny, że od razu ciekawość moja zostanie zadowolniona. Wciąż powtarzali za mną obydwa te wyrazy, na żaden z nich jednak nie kładąc szczególnego nacisku. Nie byłem mądry z ich odpowiedzi; rzadko spotkać przebieglejsze stworzenia od tych dwojga dzikich.

Coraz ciekawszy dowiedzieć się, jaki los nam przeznaczony, do wyrazu „Happar“ dodałem „mortaki“, co znaczy „dobry“. Spojrzeli na siebie; wzrok ich wyrażał zdziwienie; gdy powtórzyłem pytanie, szybko porozumieli się między sobą, i odpowiedzieli twierdząco.

Tobie nie posiadał się z radości, tém więcej, że dziecy często powtarzali swoją odpowiedź z szczególnym naciskiem, jak gdyby chcieli wlać w nas przekonanie, że powinniśmy być zupełnie spokojni, ponieważ znajdujemy się pośród Happarów.

Co do mnie, nie mogłem się pozbyć pewnej wątpliwości, starałem się jednak również okazywać uradowanym. Tobie żywymi pantominami okazywał swój wstępn do Typich, i nieograniczoną miłość do Happarów; nasi przewodnicy spoglądali na siebie zdziwieni, jakby nie rozumieli naszego postępowania. Biegli naprzód, my szliśmy za nimi. Nagle wydali dziwny okrzyk; odpowiedziano im z drugiej strony gaju, i po chwili, wyszliśmy na miejsce z rzadka już tylko porośnię drzewami, w końcu którego ujrzelśmy długą, niską chatę; stało przed nią kilka młodych dziewcząt. Skoro nas spostrzegły, z krzykiem pokryły się w pobliskich zaroślach, jak sarny przestraszone. W kilka minut potem cała dolina zabrzmiała głosami dzikich, którzy zbiegali się do nas ze wszystkich stron.

Nie większy byłby ruch i zamieszanie, gdyby cała armia nieprzyjacielska wkroczyła w ich posiadłości. Otoczył nas tłum liczny; ścisnęli nas tak, że nie mogliśmy prawie iść dalej. Nie mniejsza gromada otoczyła naszych przewodników, którzy z niezmierną gadatliwością zdawali się opowiadać wszystkie szczegóły dziwnego spotkania. Każdy wyraz zdawał zdumienie wyspiarzy; przyglądali się nam wzrokiem badawczym.

Wreszcie doszliśmy do wielkiego, ładnego zabudowania z trzciny bambusowej; zaproszono nas do wejścia; krajowcy utworzyli dwa szpalery, ażeby nas przepuścić. Weszliśmy bez ceremonii, i, zmordowani, rzuciliśmy się na maty, rozesłane na ziemi. W jednej chwili dom napełnił się ciekawymi; ci, którzy się nie mogli pomieścić, patrzyli na nas przez rozerwaną plecionkę.

Ściemniało się już; w półświatle mogliśmy jeszcze rozróżniać, wzruszone ciekawością i podziwieniem, twarze dzikich, utatuowane członki wojowników, i, tu i owdzie lżejsze po-

stacie młodych dziewcząt. Była to prawdziwa burza gadaniny, a jedynym jej przedmiotem, my byliśmy, naturalnie; nasi przewodnicy niemalże mieli pracę, nim zdołali zadowolnić pytania, spadające na nich ze wszystkich stron. Nie wyrówna giestykulacyi tych dzikich plemion, gdy obrabiają ważny jaki przedmiot; w tej chwili ożywieni byli w najwyższym stopniu: tańczyli, skakali i krzyczeli w sposób przeraźliwy.

W pobliżu naszego posłania przykucnęło osiem lub dziesięć poważnych postaci; byli to naczelnicy pokoleń; zachowywali się oni spokojniej od innych, siedzieli z utkwionym w nas surowym wzrokiem, co nas bardzo niepokoiło. Jeden szczególnie, jak się zdawało, najznaczniejszy z nich usiadł naprzeciwko mnie, i nieporuszenie patrzył na mnie marsowym wzrokiem; nie otworzył ust, nie odwrócił głowy ani na chwilę. Niepodobna było zbadać tajemniczego jego wzroku, on, natomiast, zdawał się czytać moje myśli.

Zmęczyło mnie długie to, milczące badanie; żeby je przerwać i pozyskać sobie przychylność wojownika, wyciągnąłem nieco tytoniu z za kaftana, i podałem mu. Odsunął spokojnie mój podarunek, i dał mi znak, żebym go schował napowrót. Wiedziałem z dawniejszego stosunku z krajowcami Nukahiwy i wyspy Tior, że kilkoma liśćmi betelu można kupić ich przychylność: czyż więc to postępowanie naczelnika było znakiem nieprzyjacielskiego usposobienia? Happar czy Typi? pytałem w duchu sam siebie.

Zadrzałem: w tej samej chwili dziwna owa postać powtórzyła mi toż samo zapytanie. Spojrzałem na Tobiego; przy słabym świetle stoczka dostrzegłem, że twarz jego pokryła się bladocią na to pełne wagi pytanie. Milczałem chwilę, potem, sam nie wiem dlaczego, odpowiedziałem: „Typi.“ Ciemna sta-

tua skinęła głową z zadowoleniem, i pomruknęła: „Mortaki!“ „Mortaki!“ zawołałem, nie wahając się dłużej. „Typi mortaki!“

Jakaż przemiana! Nieruchome dotąd postacie poskoczyły, klaskały w dłonie, i z krzykiem radości wciąż powtarzały dwa owe wyrazy, które, jak formuła czarodziejska wszystko przeprowadziły do porządku.

Uspokoili się wreszcie. Główny naczelnik przykucał znów przedemną, i nagle wpadając w wściekłość, mówił coś długo i szybko, a treść jego mowy łatwo było odgadnąć, gdyż „Happar“ często słyszeć się dawało. Tob i ja korzystaliśmy z każdej jego pauzy, i powtarzaliśmy czarodziejskie owe wyrazy, które jedynie zdolne były ugruntować dobry nasz stosunek z dzikimi.

Wyszumiała wściekłość naczelnika; znów stał się tak spokojny, jak przedtem. Kładąc rękę na piersi, powiedział mi, że się nazywa „Mehewi,“ i zażądał wiedzieć moje imię. Namyslałem się przez chwilę, bo wiedziałem, że prawdziwe moje imię trudne mu będzie do wymówienia: dałem mu wreszcie poznać, że nazywam się „Tom.“ Ale i tego nie mógł dobrze wymówić; nazywał mnie „Tommo, Tomma, Tommi,“ a nigdy „Tom.“ Samogłoska na końcu wyrazu była u nich konieczną potrzebą, utwierdziłem go więc w przekonaniu, że się nazywam „Tommo,“ i to imię pozostało mi przez cały czas pobytu na wyspie. Taż sama ceremonia odbyła się z Tobim; dźwięczne jego imię łatwiej wpadło w ucho naczelnikowi. Zamiana imion jest u tych prostych ludzi oświadczeniem przyjaźni; cieszyliśmy się przeto bardzo z tego obrotu rzeczy.

Siedząc na matach, jak królowie, dawaliśmy posłuchanie; obecni kolejno zbliżali się do nas, i wymieniali swoje imiona, przedstawiając się nam tym sposobem, i cofali się w naj-

pszym humorze. Po każdym wygłoszonem imieniu następował wybuch wesołego śmiechu; domysliłem się, że szanowne towarzystwo bawi się naszym kosztem, nadając sobie błazeńskie tytuły; szkoda, że owe dowcipy pozostały dla nas tajemnicą.

Trwało to wszystko nieomal godzinę; gdy zmniejszył się cokolwiek natłok krajowców, zwróciłem się do Mehewiego, i dałem mu poznać, że potrzebujemy gwałtownie posiłku i snu. Naczelnik przemówił słów kilka do jednego z tłumu, ten wybiegł natychmiast, i po kilku minutach powrócił, niosąc banie podługowatą pełną *poi-poi*, i kilka młodych orzechów kokosowych: zwierchnia powłoka była z nich zdjeta, i łupiny napół otworzone. Przytknęliśmy do ust te naturalne puhary, i chciwie polykaliśmy napój ożywczy. Następnie podano nam *poi-poi*, a jakkolwiek byłem głodny, namyslałem się przez chwilę, jak to jeść. Główny ten środek pożywienia mieszkańców wysp Markizów, przygotowują z owocu drzewa chlebowego; jest to lepka masa koloru żółtawego i ostrego smaku. Czas jakiś, zakłopotany, patrzyłem na tę potrawę, potem, bez dłuższych ceremonii, zanurzyłem rękę w miękką masę, i wyciągnąłem ją; *poi-poi* w długich pasach, zwieszało się przy każdym palcu. Wielką to sprawiło uciechę krajowcom. Masa ta była tak ciągła i elastyczna, że gdy chciałem ponieść rękę do ust, dynia podnosiła się za nią z maty. Nie lepiej udawało się Tobiemu. Na widok naszej niezręczności, całe zgromadzenie grzmiącym wybuchnęło śmiechem.

Ucichli wreszcie, naśmiawszy się dowoli; wówczas, Mehewi dawszy mi znak, żebym uważał, zanurzył w dynię palec wskazujący, zakręcił nim szybko i zręcznie, i wyciągnął oblepiony masą. Drugim, równie sztucznym ruchem, nie dopuścił *poi-poi* spaść na ziemię, włożył palec w usta, i wyjął go zu-

pełnie czystym. Starałem się naśladować go, lecz i to mi się nie udało.

Zgłodniały niewiele się troszczy o względy konwencyonalne, szczególnie na wyspie morza Południowego; Tobie więc i ja zjadaliśmy ową potrawę własnym naszym, niezgrabnym sposobem; zasmarowaliśmy lepka substancją całą twarz i ręce. Nie jest to potrawa nieprzyjemna, nawet dla Europejczyka; ja przynajmniej przywykłem do niej po kilku dniach, i stało się to najulubieńszym moim pokarmem. Podano nam jeszcze kilka innych potraw; niektóre z nich były wysmienite. Zakończyliśmy ucztę, wypiwszy dwa jeszcze orzechy kokosowe, poczem poczęstowano nas ozdobnie wyrzniętą fajką, która obchodziła wszystkich kolejną.

Podczas gdyśmy jedli, krajowcy przyglądali się nam z natężoną uwagą, uważali najmniejsze nasze poruszenie, i każda drobnostka była powodem do tysiąca uwag. Zdziwienie ich wzrosło do najwyższego stopnia, kiedy zaczęliśmy zdejmować mokre nasze odzienie. Twarze nasze, przez pół roku wystawione na promienie zwrotnikowego słońca, mocno były opalone, dzicy przeto nie mogli pojąć sprzeczności pomiędzy brunatnym naszym obliczem, a białością reszty ciała. Dotykali się naszej skóry, jak kupiec pięknej sztuki atlasu; niektórzy nawet, dla zbadania nas lepiej, posługiwali się powonieniem.

Zdawało się, że nigdy jeszcze nie widzieli białego, a jednak było to rzeczą niepodobną; później dopiero poznałem, z kąd pochodziło to ich przyjęcie. Okręty, nastraszone przerażającymi opowiadaniem o Typich, zdala mijają ich zatokę, a nieprzyjazne stosunki tego plemienia z innymi mieszkańcami dolin zamykają przed niemi tę część doliny, w której żeglarze europejscy zarzucają niekiedy kotwice. Przytrafia się, ale bar-

dzo rzadko, że jaki odważny kapitan zbliży się do ich zatoki z dwoma lub trzema uzbrojonymi łodziami, w towarzystwie tłómacza. Najbliżsi mieszkańcy morza spostrzegają okręt, nim jeszcze wpłynie na ich wodę, a ponieważ wiedzą, w jakim przybywa celu, głośnym okrzykiem zawiadamiają o tem sąsiadów. Tym, niejako głosowym telegrafem, rozchodzi się wieść aż do głębi doliny w zadziwiająco krótkim czasie. Ruch powstaje w całej dolinie; każdy, obciążony owocami, spieszy na brzeg morza. Tłómacz, którym jest zawsze krajowiec *Tabu* *), wyskakuje na ląd z towarami przeznaczonemi do handlu zamiennego; inne łodzie z całą załogą trzymają się zdala, gotowe, skoroby tylko dostrzegły niebezpieczeństwo, wypłynąć na otwarte morze. Gdy dokonany już został handel zamienny, jedna z łodzi, pod strażą musketów, przybija do lądu; szybko wrzucają w nią owoce, i żeglarze wyteżają wszystkie siły, ażeby jak najprędzej oddalić się z niebezpiecznego miejsca.

Stosunek zatem wyspiarzy z Europejczykami bardzo był ograniczony, nie zatem dziwnego, że przyglądali się nam z taką ciekawością, tém bardziej, że przyszliśmy do nich w sposób tak niezwykły. Prawdopodobnie my pierwsi z białych wdarliśmy się do środka ich państwa, a w dodatku, spadliśmy z gór, otaczających dolinę. Nie mogli sobie wytłómaczyć, co nas tu przywiodło, a my, nie znając ich języka, nie byliśmy w stanie opowiedzieć im powody dziwnej naszej wędrówki. Często pytali nas o to na migi, a odpowiedź nasza ograniczała się na

*) Zdarza się, że dwóch krajowców plemion nieprzyjaznych zawiązują pomiędzy sobą stosunek przyjazny. Takiemu wolno pod pewnemi ograniczeniami wchodzić na ziemię swego przyjaciela; nosi on nazwę „*tabu*,” to jest: nienaruszony, święty.

tém jedynie, że przyszlśmy z Nukahiwy. Zarzucali nas tysiączeni pytaniami; z nich tyle tylko mogliśmy zrozumieć, że chodziło tu o Francuzów, przeciwko którym zacieklą wrzeli nienawiścią. Napróžno dawaliśmy im poznać, że ich nie rozumiemy, i nie możemy odpowiedzieć: pytania sypały się bez końca. Niekiedy domyśliliśmy się znaczenia ich giestykulacyi, i staraliśmy się zadowolnić ich ciekawość: wówczas radość wyspiarzy nie miała granic; podwajali usiłowanie, ażeby tém jaśniej przedstawić nam swoje myśli. Było to jednak napróžno: dzicy spoglądali na nas z rozpaczą, byliśmy dla nich skrzynią zamkniętą, pełną nieoszacowanych skarbów, a nie mieli do niej klucza.

Okolo północy tłum rozszedł się powoli; pozostaliśmy z właściwymi mieszkańcami domu. Ci rozesłali nam świeże maty, okryli nas pewnego rodzaju kołdrami z tappa, pokładli się obok nas, i po krótkiej jeszcze gawędce, zasnęli snem twardym.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Wojownik i lekarz.

Wycieńczony trudami, Tobi usnął wkrótce; mnie ból nogi nie dozwolił wypocząć; całą noc dręczyły mnie myśli pełne trwogi i niepokoju. Znajdowaliśmy się więc w mocy straszliwych Typich, których samo nazwisko przed paru dniami dreszczem mnie przejmowało. Wprawdzie dotąd nie doświadczyliśmy od nich nic złego: przeciwnie, przyjęli nas bardzo gościnnie; ale niestały i zdradliwy charakter dzikich wszedł przecież w przysłowie! Czyż nie było prawdopodobnem, że wyspiarze ukrywali wrogie zamiary pod tą pozorną uprzejmością, i że gościnność ich była tylko złudnym wstępem do krwawego czynu? Nie mogłem się pozbyć tych ponurych myśli, leżąc bezsenno na matach, otoczony tymi, którzy budzili we mnie ów niepokój.

Nad ranem usnąłem w końcu snem niespokojnym. Straszne jakieś dręczyło mnie marzenie: zbudziłem się raptownie, i ujrzałem pewną liczbę ciekawych twarzy, pochylonych nademną. Był już biały dzień; w izbie znajdowało się pełno młodych kobiet, fantastycznie przystrojonych kwiatami. Usiadłem; nie cofnęły się: przyglądały mi się z tém większym zajęciem, a w oczach ich malowała się dziecinna radość i ciekawość.

Tobi ocknął się także; kobiety obsiadły nas dokoła na matach, i formalny odbywały przegląd naszych postaci od głowy aż do stóp. Mnie wprowadziło to w pewne zakłopotanie: Tobie gniewał się i złościł. Zresztą młode owe damy okazywały się bardzo usłuzne: spędzały z nas owady, które twarz nam obsiadały, i częstowały różnemi przysmakami. Na chorą moją nogę spoglądały z politowaniem.

Gdy już dowoli nacieszyły się nami, ustąpiły miejsca mężczyznom, którzy tłumnie przybywali; trwało to aż do południa. Gdy liczba odwiedzających zmniejszać się zaczęła, jakiś, pysznie wyglądający rycerz wszedł do izby; uchylić się musiał w niskich drzwiach, gdyż wysoki pióropusz zdobił głowę jego.

Spostrzegłem odrazu, że był to mąż wielkiego znaczenia, gdyż obecni spoglądali na niego z najwyższem uszanowaniem, i rozstapili się natychmiast. Pyszne pióra z ogona jakiegoś ptaka strefy zwrotnikowej, zmieszane z piórami koguciami, tworzyły na głowie jego wielkie, sterczące półkole, którego dolne końce osadzone były w małych kulkach, ułożonych na czole w kształcie półksiężyca. Szyję otaczało kilka sznurów kłów dzika, wygładzonych, jak kość słoniowa; nawleczone były w ten sposób, że największe spadały mu na piersi. W uszach miał zawieszane zęby wielkogłowa; otwory ich, w których zatknięte były świeże liście, zwracały się do przodu; na drugim ich końcu znajdowały się wyrżnięte dziwaczne desenie i emblematy. Koleczki te barbarzyńskie zgięte za uchem, i ostro zakończone, podobne były do rogów obfitości. Biodra wojownika otaczał szeroki, nafałdowany pas ciemnej barwy, z tyłu i z przodu zakończony pękiem chwastów. Oryginalny ten strój uzupełniały naramienniki i nagolenniki z kędzierzawych włosów

ludzkich. W prawej ręce trzymał piękny, na piętnaście stóp długi oszczep z jasnego drzewa, w jednym końcu spiczasto zakończony, w drugim zakończony płasko, jak rękojeść wiosła. U pasa zawiesił bogato ozdobioną fajkę; cienka trzcina pomalowana była na czerwono, a około trzciny i przy główce fajki powiewały frendzle z najcieńszej materyi tappa.

Najgodniejszym uwagi w stroju tego wojownika było sztuczne jego utatuowanie. Najrozmaitsze proste i krzywe linie i figury pokrywały ciało jego pięknej budowy. Mnóstwo tych osobliwych, skomplikowanych linii można porównać z deseniem, używanym na wyroby perkalowe. Najbardziej zwracał uwagę rysunek na twarzy: dwie szerokie kresy, od środka wygolonej głowy, ciągnęły się przez powieki, aż pod uszy, gdzie się zbiegały z inną kresą, idącą w prostej linii od warg; tworzyło to podstawę trójkąta.

Wojownik usiadł w pewnym od nas oddaleniu, podczas, gdy inni dzieci, z pewnym oczekiwaniem, spoglądali to na nas, to na dumnego rycerza. Przyglądałem mu się uważnie; rysy jego wydały mi się znajome. Gdy całkiem zwrócił się do mnie twarzą, uderzył mnie wzrok, który wczoraj cały wieczór na mnie spoczywał; poznałem teraz, pomimo zmiany powierzchownej, naczelnika Mehewi. Przemówiłem do niego: zbliżył się do mnie natychmiast, powitał bardzo serdecznie; cieszyło go niezmiernie wrażenie, jakie zrobił na mnie strój jego paradny. Postanowiłem zniewolić sobie tego człowieka, który widocznie, wielkie miał znaczenie, i przeważny wpływ mógł wyrzucić na nasz los. On również nie odrzucał moich zabiegów; obchodził się ze mną i z moim towarzyszem bardzo przyjacielsko. Położył się obok nas na macie, i wszelkiemi sposobami usiłował dać nam poznać swoją dla nas przychyłność.

Niepomierne drażniło go to, że nie mógł z nami rozmawiać; pragnął widocznie dowiedzieć się coś o osobliwościach ziemi, z której pochodziliśmy.

Gdy spostrzegł nogę moją napuchniętą, zaczął ją badać z wielką uwagą; po chwili wysłał chłopca z jakimś rozkazem. Chłopiec powrócił niedługo, a za nim podążała sędziwa jakaś postać, którąby można było wziąć za samego Hippokratesa. Głowa jego była tak łysa i gładka, jak wypoliturowana łupina orzecha kokosowego: długa, srebrna broda spadała aż do pasa z kory drzewnej. Na skroniach miał przepaskę uplecioną z liści, spuszczonej ponad oczami, ażeby uchronić słaby wzrok od zbytńskiego światła. Podpierał się długą, cienką laską, podobną do laski czarnoksiężkiej, z jaką sztukmistrz zwykł się ukazywać na scenie; w drugiej ręce trzymał wachlarz, świeżo upleciony z zielonych młodych liści kokosowych. Szerokie okrycie z tapa, związane na ramieniu, otaczało pochyloną jego postać, i dodawało jej uroczystej powagi.

Mehewi powitał starca, wskazał mu, żeby usiadł pomiędzy nami, odkrył moją nogę, i kazał mu ją zbadać. Lekarz popatrzył badawczo na mnie, na Tobiego, i przystąpił do dzieła. Po dokładnym zbadaniu cierpiącej części, wziął się do kuracji. Sądził zapewne, że noga moja zupełnie pozbawiona czucia, gdyż zaczął ją szczypać i walić z całej siły. Ryczałem z bólu. Na takie lekarstwo i ja sam mógłbym się być zdobyć: usiłowałem wyrwać się z jego rąk, ale nie łatwa to była sprawa z przeklętym doktorem; tak mocno trzymał nieszczęśliwą moją nogę, jak gdyby to było coś, czego szukał już oddawna, i, mrucząc jakieś zakłęcie, przeprowadzał w dalszym ciągu swój środek leczniczy, który mógłby mnie być zrobić kaleką na całe życie. Mehewi trzymał mnie w żelaznych swoich obje-

ciach, jak matka dziecko, któremu ząb wyrrywają, i zachęcał niefortunnego doktora do dalszego działania.

Bezprzytomny z bólu, krzyczałem, jak opętany. Tobie wymowną giestykulacją starał się poruszyć obydwoh, żeby mnie puścili. Ktoby go widział, jakie robił miny, jakie przybierał pozy, wziąłby go za żyjącego, wcielonego alfabet.

Czy mój zły duch usłuchał prośb i przedstawień Tobiego, czy też zmęczył się poprostu, dosyć że zaprzestał swojej operacji; Mehewi puścił mnie również: padłem napół żywy. Moja nieszczęśliwa noga była jak beefsteak, zbity przez silną kucharkę. Lekarz, gdy nieco odpoczął, wyjął z woreczka, zawieszzonego u pasa, jakieś zioła, rozmięczył je w wodzie, i przyłożył do nogi rozpalonej; pochylony, szeptał jakąś formułę, a może rozmawiał ze złym duchem, który siedział w mojej nodze. Ostatecznie obwiązał ją bandażami z liści, i zostawił mnie nareszcie w pokoju, za co niezmiernie byłem mu wdzięczny.

Wkrótce potem podniósł się Mehewi; nim odszedł, mówił rozkazującym tonem do jednego z krajowców, którego nazywał Kory-Kory; następnie zwrócił się do mnie, i powiedział mi, co jednak później dopiero zrozumiałem z postępowania Kory-Kory, że wyłącznym zajęciem będzie tego człowieka, pielęgnować mnie, i być mi na posługi. Z całą powagą mówił do mnie kwadrans przynajmniej, jak gdybym każde słowo jego rozumiał. Komiczne robiło to na nas wrażenie. Toż samo często robili później i inni krajowcy.

Mehewi i lekarz wyszli około zachodu słońca, i znów zostaliśmy sami z mieszkańcami domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Nasz dom i jego mieszkańcy.

Dom, w którym byliśmy trzymami, jakby zakładnicy, wznosił się z boku doliny, przy spadku bogatęj w zieloność wyniosłości; podwalina jego była gruba na blisko osiem stóp; krajowcy nazywali ją *pi-pi*. Z przodu wązki przedsionek trzeina osłonięty, tworzył rodzaj werendy. Rusztowanie jego składało się z prostopadle postawionych prętów bambusowych; przerzynały je belki poprzeczne, łykiem powiązane. Ściana tylna wyłożona powiązanemi gałęzmi kokosowego drzewa, których liście sztucznie były splecione, wznosiła się o pięć stóp ponad *pi-pi*, a z tego najwyższego punktu pochyło spuszczał się dach, pokryty liśćmi palmy jodłowej; spiczaste ich końce zbiegały się z sobą. Przednia ściana domu i dwie boczne tworzyły pewien rodzaj krat z lekkich, ozdobnych trzein; powietrze miało zatem przystęp z trzech stron, a całość wybornie chroniła od deszczu. Malownicza ta budowla długości miała może jedenaście łokci, i tyleż prawie szerokości. Trzy ściany jęj, jakby odrutowane, nadawały jęj pozór olbrzymiej klatki.

Wchodząc, przychyliwszy się nieco, przez jeden z przodowych, wązkich otworów, miało się przed sobą w prostej linii, dwa, doskonale wygładzone pnie kokosowe, które zajmowały

całą długość mieszkania; jeden z nich dotykał ściany tylnej, drugi stał o trzy łokcie od pierwszego, w tymże samym kierunku. Przestrzeń pośrodku tych dwóch pni, wysłana matami w rozmaite pstre desenie, służyła za ogólne miejsce spoczynku dla mieszkańców, i oddawała też samą przysługę, co dywan u narodów wschodnich. Tu spali w nocy, tu siedzieli większą część dnia w błogim spoczynku, oparci o boki wspaniałych pni. Reszta podłogi wyłożona była dużemi, gładkiemi kamieniami, z których składało się *pi-pi*. U pułapu mnóstwo zawieszonych było paczek, zawiniętych w gruby wyrób z *tappa*. Zawierały one ubrania świąteczne i inne kosztowności, wchodzące w skład garderoby, a każda z nich łatwo mogła być spuszczone i podciągnięta w górę, za pomocą sznura, umocowanego przy jednej ze ścian. Przy tylnej ścianie ustawione były symetrycznie oszczepy, dziiryty i inne narzędzia wojenne.

Na przodzie domu, w pewnym rodzaju werendy, stała niewielka budka; służyła ona za spiżarnię i skład różnych sprzętów domowych. Na kilka łokci od *pi-pi* znajdowała się duża szopa z gałęzi kokosowych; przyrządzano tam *poi-poi*, i odbywano wszelkie kuchenne roboty.

Wszystkie domy w dolinie w tenże sam sposób były zbudowane; trudno wymyśleć urządzenia właściwszego i bardziej zastosowanego do klimatu kraju i sposobu życia wyspiarzy. Było-to mieszkanie chłodne, pełne świeżego powietrza, zabezpieczone od wilgoci i w wzorowej utrzymane czystości.

A teraz, opisując mieszkańców, pierwszeństwo oddać muszę mojemu wiernemu kamerdynerowi, Kory-Kory, którego niezmordowanej troskliwości, po Bogu, winien jestem życie. Miał lat dwadzieścia pięć, wysokiego był wzrostu, silny i do-

brze zbudowany, ale szczególną, szkaradną nadał sobie powierzechowność. Głowa jego starannie była wygolona, z wyjątkiem dwóch plam okrągłych, wielkości talara, na tylniej czaszce; pozostawione te włosy, nadzwyczaj długie, splecione były w dwa twarde warkocze, jak rogi sterczące do góry. Włosy z brody wyrywał za pomocą korzenia, z górnej tylko wargi zwieszały się dwa grube wąsy, odpowiadające dwom takim samym promieniom zostawionym na podbródku. Twarz jego, obdarzona z natury ujmującym wyrazem, oszpecona była trzema szerokimi kresami; podobne do gościńca, który biegnie prosto, nie zważając na przeszkody, linie te przechodziły przez nos, aż do kątów ocznych, a w dole przerzynały prawie wargi. Jedna ciągnęła się prosto od oka, druga przez środek nosa, trzecia szła od ust od jednego ucha do drugiego. Twarz jego, tak przyozdobiona, przypominała owych nieszczęśliwych, którzy wyglądają tęsknie z za krat więziennych, a całe ciało z rysunkami ptaków, ryb i najdziwniejszych kształtów zwierząt, robiło wrażenie ilustrowanej książki zoologicznej.

Ojciec Kory-Kory był olbrzymiego wzrostu, niegdyś posiadać miał siłę nadzwyczajną; ale wysoka postać pochyliła się teraz pod ciężarem lat, jakkolwiek zdawało się, że starzec ów nie podlegał nigdy żadnej chorobie. Marcheyo, takie było jego imię, usunął się już od współudziału we wszelkich sprawach publicznych, i zapełniał większą część czasu budowaniem niewielkiej szopy naprzeciwko domu; pracował nad tem przez całe cztery miesiące mojego tam pobytu, a postępy tej pracy bardzo były nieznaczne. Przyszło mi na myśl, że starzec już zdziecinniał, a posądzenie to okazywało się w części uzasadnione. Nosił np. w uszach koleczyki z zębów jakiegoś morskiego potwora, otóż, najmniej pięćdziesiąt razy na dzień

z szopy swojej wracał do domu, z całą powagą wyjmował koleczyki, i wkładał je napowrót. Zresztą, był to starzec dobroduszny, i obejmujący wszystkich uczuciem prawdziwie ojcowskim.

Matka Kory-Kory, stara Tinor, była bardzo zręczną i czynną kobietą. Nie umiała wprawdzie piec tortów i pasztetów, ale wiedziała wybornie, jak przyrządzać *koku*, *amar* *), poi-poi, i inne pożywne pokarmy. Bezustannie krzątała się po domu, dziewczętom rozdawała roboty, niezawsze przecież przez nie spełniane, zaglądała w każdy kąt, przerzucała paki stariej tappa, lub przedstawiała i porządkowała naczynia z suchych dyń. Niekiedy można ją było widzieć pochyloną nad wielką drewnianą niecką, z nadzwyczajnym zajęciem gniotącą ciasto poi-poi; z taką siłą wywijala pałką kamienną, jakby chciała rozbić nieckę. Innym razem biegała po dolinie, wyszukując osobliwego rodzaju liści, i zadyszana, spocona, wracała do domu, dźwigając tak olbrzymią wiązkę tych liści, że kilka naszych bobiet załedwieby jej poradziło. Była-to, naprawdę, jedyna osoba w całej dolinie, która pędziła życie w pracy rzeczywistej i pożytecznej, jakkolwiek nie zmuszona do tego koniecznością; czynna jej, widać, natura potrzebowała zajęcia. Przytém najlepsze miała serce; mną szczególniej tkliwie się zajmowała, i, jak matka dziecku ukochanemu, często wetknęła mi w rękę jaki przysmak.

*) Dwie te potrawy bywają przyrządzane sztucznie, jak poi-poi z owocu drzewa chlebowego. Pierwsza jest-to rodzaj puddingu, oblanego gęstym, jakby śmietankowym sosem. Wyborny-to przysmak, i śmiało mógłby ozdobić stół królewski; druga, jest ciastem pieczonem, koloru ambry.

Oprócz wymienionych już osób, do składu rodziny, do której zostaliśmy wcieleni, należało trzech młodych mężczyzn; ci łowili ryby, wydrażali łódki, wygładzali swoje ozdoby, albo przepędzali czas paląc fajkę i włócząc się beczynnie. Kilka młodych dziewcząt uzupełniało koło domowników. Zajęcie ich ograniczało się na wyrabianiu cienkiej materii tappa, ale przez większą część czasu chodziły od domu do domu, i gawędziły ze swemi znajomemi.

Wszyscy mieszkańcy naszego domu byli pięknej budowy ciała, i rysów twarzy szlachetnych, ujmujących. Nie mogłem się nadziwić niezwykłej sile fizycznej i piękności krajowców. Mieszkańcy Markizów mają wszystkie cechy rasy kaukazkiej, i to ich wyróżnia od mieszkańców innych wysp morza Południowego; pomiędzy jednak wyspiarzami Nukahivy a doliny Typi wielka jeszcze była różnica na korzyść tych ostatnich. Każdy z nich mógłby służyć za model rzeźbiarzowi. Mężczyźni w ogóle są wysokiego wzrostu: rzadko który nie dochodzi sześciu stóp; kobiety natomiast niezwykle małe, ale również kształtne, a w całej ich postaci, w twarzy szczególnie, rozlany jakiś powab niewymowny.

Uderzała mnie tylko wielka różnica w kolorze skóry. U mężczyzn spostrzegłem rozmaite odcienia barwy brunatnej: u kobiet panował ogólnie kolor jasno-oliwkowy. Niektóre miały skórę ciemno-zieloną, inne mocno brunatną; wiele było także barwy złotawej, a niemała znajdowała się liczba dziewcząt tak białych, jak Niemki lub Angielki, z lekkim zaledwie odcieniem brunatnym. Odmiany te są w części naturalne, w części spowodowane sokiem korzenia papa, którym kobiety codziennie ciało nacierają. Dziewczeta, które używają tego soku, nie wystawiają się nigdy na promienie słońca,

a łatwo mogą ich uniknąć, gdyż cała prawie dolina ocieniona jest drzewami o gęstych, rozłożystych gałęziach: można więc przejść od domu do domu, nie zbaczając nawet z prostej drogi dla uchronienia się palącego słońca. Sok korzenia papa jest jasno-zielony, z czasem więc nadaje też barwę całej skórze. W ogóle wszyscy wyspiarze namaszczają się: jedni mniej, drudzy więcej; kobiety używają do tego soku korzenia „aker“ albo „papa;“ mężczyźni przekładają olej orzecha kokosowego. Temu zwyczajowi, jak również częstym kąpielom przypisać w części należy nadzwyczajną gładkość i czystość ich ciała.

Kobiety nie są również wolne od tatuowania, które tam nie tylko służy za ozdobę, ale jest pewnym rodzajem aktu religijnego. Robią to one jednak bardzo oględnie, szczególnie młode dziewczyny. U jednej na przykład z naszego domu, całe malowidło ograniczało się na trzech punktach wielkości lepka szpilki, na każdej wardze, i na dwóch równoległych liniach na łopatkach, długich na trzy cale, o pół cala oddalonych od siebie; pomiędzy temi liniami znajdowały się lekko narysowane dziwne jakieś figury.

Krajowcy obojęj płci, w dzień zwykły, nie inaczej się ubierali, jak owi młodzi ludzie, których spotkaliśmy przy wejściu do doliny. Gdy jednak dziewczeta naszego domu szły na przechadzkę w zarośla, lub w odwiedzinę do swoich znajomych, przywdziewały białą tunikę z tappa, która od pasa sięgała poniżej kolan, a jeżeli dalszą miały odbyć drogę, mniej ocienioną drzewami, okrywały się szerokim płaszczem z tappa; płaszcz ten przytrzymany był węzłem na ramieniu, i spływał wkoło ich postaci w malowniczych zwojach. Lubiły również

bardzo stroić się w liście. W dni uroczyste szczególnież zwykłym ich strojem był naszyjnik z pięknych białych kwiatów, wieniec na włosach i pączki kwiatów w uszach. Ręce i nogi również często zdobiły kwiatami. Flora była ich jedynym, a niewyczerpanym jubilerem.

Czas jednak wrócić do dalszego mego opowiadania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Okropna noc.

Gdy Mehewi oddalił się, jakem to powiedział w przedostatnim rozdziale, Kory-Kory natychmiast rozpoczął swą służbę. Przyniósł nam rozmaite potrawy, i uporeczywie obstawiał przytém, żeby mnie karmić, jak dziecko. Postawił przedemną dynię pełną *koku*, umył ręce, następnie robił kulki z téj masy, i wsuwał mi je w usta. Zrazu stawiałem opór, ale takiego narobił krzyku, że w końcu poddałem się cierpliwie téj wstrętnej operacyi. Tobi jadł sam.

Po skończonej uczcie, służący mój rozesłał maty, prosił, żebym się położył, przykrył mnie wielką koldrą z tappa, i, patrząc na mnie przyjaźnie, zawołał:

— Dużo, dużo jeść; ach! dobrze spać!

Nie myślałem sprzeciwiać się temu rozporządzeniu. Kilka już nocy strawiłem bezsennie, ból w nodze zmniejszył się cokolwiek, miałem więc nadzieję, że dobrze spać będę. Tak się też stało; spałem bez przebudzenia się. Nazajutrz czułem się znacznie wzmocniony. Kory-Kory zaproponował mi, żebym się wykąpał w rzece: przystałem na to chętnie, jakkolwiek obawiałem się, żeby ruch znów mi bólu nie wywołał. Niepotrzebnie jednak troszczyłem się o to, gdyż zaledwie wyszliśmy

przed dom, Kory-Kory wskoczył na podwalinę, i za pomocą głośnych wykrzykników i mimiki, dał mi poznać, że mam mu się na grzbiet. Zjawienie się nasze na werendzie ściągnęło mnóstwo ciekawych, po większej części chłopców i dziewcząt; szli za nami, wydając okrzyki radości, gdy dobry Kory-Kory niósł mnie na plecach. Wkrótce stanęliśmy nad rzeką, oddaloną o dwieście blisko łokci. Kory-Kory wniósł mnie w łożysko: woda sięgała mu już po biodra; wówczas posadził mnie na czarnej skale, wystającej o kilka cali nad powierzchnię wody; złożyłem na niej swoje odzienie, i zamurzyłem się w wodzie; kąpiel orzeźwiła mnie znakomicie.

Po południu odwiedził nas znów Mehewi, i okazywał się równie serdecznym jak przedtém. Posiedziawszy z godzinę, podniósł się z maty, i prosił nas, żebyśmy z nim poszli. Wskazałem na moją chorą nogę, Mehewi wskazał na Kory-Kory. Wierny mój sługa wziął mnie znów na plecy; Tobi nam towarzyszył; udaliśmy się za naczelnikiem.

Droga, którąśmy przebywali, uwydatniała lenistwo i niedołęztwo krajowców. W całej dolinie najwięcej była ona uczęszczana: kilka innych ścieżek schodziło się z tym niejako gościńcem, a przecież nie zrobiono nic dla jej ulepszenia; leżały na niej odłamy skał, pnie drzew, przecinały ją strome wyniosłości, głębokie parowy, kamieniste łożyska strumieni, i drzewa, pod których zwieszającymi się konarami, zaledwie w pochylonej postawie przejść było można.

Znaczną już przebyliśmy przestrzeń; widziałem, że Kory-Kory ledwie dyszy pod swoim ciężarem; spuściłem się zatem z jego ramion, i podpierając się oszczepem Mehewiego, dalej szedłem pieszo. Nasz pochód niedługo już trwał; wszedłszy na odosobnioną stromą wyniosłość, stanęliśmy nagle u celu podró-

ży. Tu były gaje tabu, scena niejednej długiej uroczystości, niejednego krwawego obrządku. Pośród rozłożystych gałęzi drzewa chlebowego panował uroczysty jakiś mrok, półcień, jak w kościele katedralnym. Tu i owdzie wznosiły się, napoły liściem zakryte ołtarze bożków, z ogromnych, wygładzonych, czarnych odłamów skał, wysokich na dwanaście lub piętnaście stóp; nad niemi panowała, prostej budowy, otwarta świątynia, otoczona niskim plotem trzcinowym, po za którym można było rozpoznać po rozmaitych stopniach zgnilizny, jak dawno składane były ofiary z owoców drzewa chlebowego, orzechów kokosowych i zwierząt. Nieuprzątnięte szczątki leżały rozrzucone na całej przestrzeni.

W środku zabudowania było święte miejsce Hulah-Hulah, przeznaczone na fantastyczne obrządki religijne. Budowa ta wznosiła się na obszerném pi-pi, w kształcie podłużnego czworoboku; w każdym kącie tego czworoboku znajdował się ołtarz tarasowato ułożony, a na ołtarzach stały rzędami szkaradne, drewniane posążki bóstw. Oba boki wypełniały budki bambusowe z otworami na czworobok. Na środku placu rosły olbrzymie drzewa i ponury cień rzucały dokoła, a o pnie ich oparte, wznosiły się lekkie rusztowania, rodzaj kazalnicy, z których kapłani przemawiali do zgromadzonych. Do tych miejsc świętych żadna kobieta nie miała przystępu pod karą śmierci; nie wolno jej było nawet stąpić na ziemię, gdzie cień padał tych zabudowań.

Do miejsca tego, w którym dziwna jakaś panowała cisza, wchodziło się przez rodzaj przedsionka, osłoniętego dachem liściastym; przed tém wejściem, na równinie długiej na sto łokci, zasadzone były rzędami ogromne drzewa kokosowe. Na przeciwko ukazywało się obszerne zabudowanie: to — mieszkania

kapłanów i dozorców gaju świętego. W pobliżu wznosił się drugi znaczny gmach, na takiej samej podwalinie, jak wszystkie inne, długi na dwieście stóp przynajmniej, a szeroki ledwie na dwadzieścia. Cała przednia strona tej budowli stała otworem, tylko od jednego końca do drugiego ciągnęła się wązka werenda, utworzona przez ogrodzenie trzcinowe na brzegu pi-pi. Wewnątrz podłoga wysłana była matami; maty owe przedziały wzdłuż pokładzone pnie orzecha kokosowego, a na ten cel wybierano najprostsze i najrówniejsze drzewa. Do tego właśnie zabudowania, zwanego „Ti“ w języku krajowców, zaprowadził nas Mehewi. Dotąd towarzyszyły nam gromady wyspiarzy obojęd płci; skorośmy się jednak zbliżyli do budynku, kobiety zatrzymały się, bo, jak już mówiłem, przystęp do tych miejsc wzbroniony im był pod karą śmierci.

U wejścia zdziwił mnie widok sześciu muszkietów, opartych o ścianę bambusową; przy lufie każdego z nich wisiał woreczek z grubego płótna, prochem napełniony. Obok tej broni palnej leżały w wielkiej liczbie, prostego wyrobu oszczepy, dziiryty i maczugi.

— Musi to być — rzekłem do Tobiego — zbrojownia całego pokolenia.

Posuwając się dalej, spostrześliśmy pięciu wstrętnych starców; czas i tatuowanie zatarły w nich prawie podobieństwo nawet człowieka. Tatuowanie u wojowników tej wyspy ustaje wtenczas dopiero, gdy wszystkie kresy i figury zleją się z sobą; następuje to w późnej zaledwie starości; to właśnie nadało ciałom owych starców jednostajną, brudno-zieloną barwę, gdyż miejsca tatuowane, przybierają ten kolor z postępem lat. Skóra na nich, jak u nosorożca, zwieszała się w długich fałdach; głowy były zupełnie łyse, twarze głębokimi pokryte zmar-

szczkami; brody śladu nawet nie pozostało. Zdawało się, że strupieszale te postacie utraciły już zupełnie władzę w dolnych swych kończynach; w odrętwieniu, siedzieli na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, których palce szeroko od siebie odstawały. Najmniejszej nie zwrócili na nas uwagi; zaledwie zdawali się wiedzieć o naszej obecności. Mehewi kazał nam usiąść na matach, a Kory-Kory mruczał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Po kilku chwilach wszedł chłopiec, niosąc poi-poi na drewnianym talerzu, i ja znów musiałem się pozwolić karmić niezmordowanemu memu kamerdynerowi. Rozmaite potrawy następowały jedna po drugiej, a Mehewi nie tylko nas zapraszał, ale i sam dobrym służył nam przykładem. Po uczcie zapalono fajkę, która przechodziła z ust do ust. Narkotyk nikoty-ny, cisza nieprzerwana, zapadająca już ciemność, zaczęły usypiać Tobiego i mnie; Mehewi i Kory-Kory zdawali się również drzemać obok nas.

Była już północ, o ile mogłem zmiarkować, gdy się przebudziłem; podniosłem się napół; głęboka otaczała nas ciemność. Tobi spał jeszcze, ale dwaj nasi towarzysze gdzieś znikli. Głuchą ciszę przerywał tylko ciężki oddech starców, którzy w niewielkim siedzieli od nas oddaleniu. Prócz nich i nas, nie było nikogo, o ile mogłem sądzić. Zaniepokojony, zbudziłem mego towarzysza, i gdyśmy cicho rozmawiali o tym niespodziewanym oddaleniu się obydwóch wyspiarzy, nagle z gaju ciemnego zabłysły płomienie, oświeciły drzewa, stojące dookoła, a samą swoją sprzecznością, bardziej jeszcze powiększyły ciemność dookoła nas. Wkrótce postacie jakieś poruszać się zaczęły przed ogniskiem; inne tańczyły i skakały, jak duchy złowrogie.

— Co to znaczy, Tobie? — zapytałem mego towarzysza, przejęty trwogą śmiertelną.

— Nic innego prawdopodobnie, tylko rozniecają ogień.

— Ogień! — zawołałem, a serce biło mi młotem.

— I pocóż ten ogień?

— Rozniecają ogień, ażeby nas na nim upiec! I z czegoż innego radowaliby się tak ludożercy?

— Ach, Tobie, porzuć te żarty! Nie czas na nie! Coś nam grozi: wierzą mi!

— Żarty! — zawołał Tobie niechętnie. — Zkąd wiesz, że ja żartuję? W jakimże celu paśli nas tak przez te trzy dni? Pomyśl tylko o twoim Kory-Kory! Czyż nie wpychał ci gałek w gardło, jak to zwykle robią z drobiem, nim go zabijają? Tak, tak! Tej nocy będziemy zjedzeni, a ten ogień rozpalają na to, żeby nas upiec!

Słowa te nie mogły mi przywrócić spokoju; drżałem na myśl, że w samej rzeczy znajdujemy się w mocy dzikiego plemienia, i że przypuszczenie mego towarzysza mogło być bardzo prawdopodobne.

— Otóż masz! Nie powiedziałem? Idą już po nas! — zawołał Tobie gwałtownie. Czterej krajowcy, których postacie rysowały się wyraźnie na jasnym tle, weszli na podwalinę, i zbliżali się do nas; szli bez szmeru, tajemniczo prześlizgiwali się przez ciemność, która nas otaczała. Wielki Boże! Zimny pot oblał mi czoło! Zdrętwiały z przestachu, czekałem swego przeznaczenia.

Nagle przerwał ciszę znany nam głos Mehewiego, a przyjacielski dźwięk tego głosu, rozwiął mój strach odrazu. „Tommo, Tobie, ki-ki“ (jeść). Nie mówił do nas wprzód, dopóki się nie przekonał, czy śpimy. Zdawał się zdziwiony, ujrzawszy nas siedzących.

— Ki-ki! naprawdę? — zawołał Tobie gniewnie. — Przecież nas przedtem upieczecie? A toż znów co? — dodał, gdy inny dziki ukazał się z wielkim drewnianym talerzem, który postawił przy Mehewim. Sądząc po zapachu, talerz ten napelniony był mięsem pieczonem.

— Prawdopodobnie dziecko upieczone! Cokolwiekby to jednak było, nie z tego jeść nie będę! Byłbym głupcem, gdybym się pozwolił paść nawet w nocy, po to jedynie, aby gromada dzikich dobrą miała ze mnie pieczeń! Nie! Zamiary ich są jasne, jak słońce! Jestem zdecydowany zrobić z siebie wiązkę skóry i kości: wówczas, smacznego apetytu! Ależ Tomie, nie będziesz przecie jadł pociemku tego przedmiotu! Alboż wiesz, co to jest!

— Spróbuję — odrzekłem, żując kawałek jakiegoś mięsa, które mi Kory-Kory wsunął w usta. — Wyborne, mówię ci; ma smak cielęciny.

— To dziecko pieczone! — krzyczał Tobie w najwyższym uniesieniu. — Cielęcina! Na całej wyspie nie było cielęciny, dopóki ty tu nie przyszedł! Powiadam ci, że to, co połykasz, jest ciałem zabitego Happarą!

Zwróciłem się do Mehewiego, i dałem mu poznać, że zyczę sobie światła. Przyniesiono stoczek; z gorączkową ciekawością zajrzałem do naczynia, i poznałem pokrajane mięso prosięcia.

— Puaki! — zawołał Kory-Kory, patrząc z apetytem na pieczone, a wyraz ten, wymówiony w chwili tak krytycznej, na zawsze pozostał mi w pamięci.

Nazajutrz rano gościnny Mehewi znów nakarmił nas obficie; chcieliśmy już odejść, ale naczelnik zawołał: „Abo, abo!“ (czekać, czekać!) Usiedliśmy. Mehewi z pomocą nieodstępne-

go Kory-Kory, wydawał jakieś rozkazy przed domem pewnej liczbie krajowców. Wkrótce dał nam znak, żebyśmy wstali; spostrzeegliśmy, że umyślił nam dać pewien rodzaj straży honorowej, która miała nas przeprowadzić do domu Marcheja. Najprzód postępowało dwóch poważnych starców; obydwaj nieśli oszczepy; na ostrzach tychże powiewały chorągiewki z białej tappa. Za nimi szło kilkunastu młodzieńców, niosących naczynia z dyni, pełne poi-poi; dalej czterech silnych mężów, na wysokich do dwudziestu stóp przynajmniej, kijach bambusowych, dźwigało wielkie kosze, napełnione zielonym owocem drzewa chlebowego; za nimi gromada chłopców niosła pęki dojrzałych bananów i kosze orzechów kokosowych, z których zdjęta była zwierzchnia zielona skórka. Orszak zakończył otyły mężczyzna; niósł on na głowie talerz drewniany, w którym, przykryte liśćmi drzewa chlebowego, znajdowały się szczątki nocnej naszej uczty. Bawił mnie ten pochód oryginalny; cel jego był przecież widoczny: Mehewi lękał się prawdopodobnie, że goście jego nie dosyć obfitą mają żywność, chciał więc zaopatrzyć spiżarnię starego Marcheja.

Skoro tylko, wszedłszy na podwalinę, zawiesiłem się na plecach Kory-Kory, otoczył nas orszak. Gdy wyruszyliśmy, krajowcy rozpoczęli pewien rodzaj *recitativa*, które, z rozmaitemi zmianami, przeciągali przez całą drogę. Przyłączyły się do orszaku gromady dziewcząt, a głośnie ich okrzyki radości, zagłuszały prawie śpiew mężczyzn. Stanęliśmy przed domem Marcheja; mieszkańcy wybiegli, ażeby nas przyjąć; złożono dary Mehewiego, a stary wojownik częstował wszystkich z serdeczną gościnnością.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Przygoda Tobiego z Happarami.

Ubiegł tydzień pośród scen podobnych, całkiem dla nas nowych. Krajowcy obchodzili się z nami z uprzejmością pełną uszanowania, bacznici na każde nasze skinienie. Co ich do tego skłaniało? Było to dla nas zagadką. Zbyt dobrze znaliśmy zmienny charakter dzikich, ażeby ufać tym nadzwyczajnym oznakom przyjaźni, i pragnęliśmy jak najprędzej wydostać się z doliny. Czy mogłem jednak przedsięwziąć taką drogę z moją bezwładną prawie nogą? Ziola, które mi przykładano, łagodziły wprawdzie ból, lecz złemu nie zaradzały; przeciwnie, coraz było gorzej. Głęboki ogarnął mnie niepokój. Myślałem o lekarzach francuskiej floty, która zapewne stała jeszcze na kotwicy w zatoce Nukahiwa. Prosiłem Tobiego, żeby się starał dostać się do Nukahiwy, i, jeżeliby żadnym sposobem nie mógł mnie tam przewieźć w łódce francuskiej, to, żeby mi przesłał przynajmniej jaki środek zaradczy.

Tobi słuchał mnie w milczeniu; sądził, że Francuzi żadnym sposobem nie zechcą wysłać uzbrojonej łodzi do zatoki Typi, bo przez to mogliby wywołać nieprzyjazne stosunki z dzikimi tej doliny, czego dotąd starannie unikali. „A jeżeliby się nawet zdecydowali,” dodawał, „sprawiliby tym sposobem

straszny rozruch u Typich, którego my z pewnością padlibyśmy ofiarą.“ Sam jeden udać się tam łodem, i wrócić napowrót, na to nie mógł się odważyć; lękał się wciąż nagłej zmiany względem nas ze strony krajowców, i pragnął jak najprędzej na zawsze opuścić dolinę. Nie myślał jednak zostawić mnie samego w tak smutném położeniu: dodawał mi więc odwagi; wyzdrowieje może niedługo, a wówczas razem wrócimy do Nukahiwy. Nie podzielałem téj jego nadziei, i wciąż prosiłem go tak usilnie, że postanowił wreszcie spróbować.

Daliśmy poznać zamiary nasze krajowcom; gwałtowny stawili temu opór. Rozpacz mnie ogarniała! Niepodobna będzie otrzymać ich przyzwolenia! Oburzała ich myśl, że jeden z nas ma ich opuścić. Kory-Kory szczególnie wydawał się niezmiernie tém zmartwiony.

Żywą giestykulacją dawał nam poznać wstręt swój do nieucywiznowanych mieszkańców Nukahiwy, i zdziwienie nadzwyczajne, że, poznawszy światłych krajowców Typi, możemy przypuścić nawet myśl, żeby choć na czas krótki rozłączyć się z nimi! W odpowiedzi pokazywałem mu chorą moją nogę, i dawałem mu do zrozumienia, że wyzdrowiałbym w krótkim czasie, gdyby pozwolili memu przyjacielowi przynieść mi środki zaradcze. Zgodzili się wreszcie na moje przedstawienia.

Następnego poranku Tobi miał iść, a z nim jeden z domowych dla pokazania mu najkrótszej drogi do Nukahiwy, gdzie stanie przed zachodem słońca.

Zaledwie rozwidniać się zaczęło, wszystko było już w ruchu w naszym domu. Jeden z młodzieży wszedł na orzech kosowy, zrywał świeże orzechy, i zrzucał je na ziemię; stary Marchejo obdzierał z nich skórkę zieloną, i przywiązywał do krótkiego kija. Miały one służyć Tobiemu do pokrzepiania się

w drodze. Gdy już wszystko przygotowane było do podróży, pożegnałem mego towarzysza z wielkiem wzruszeniem. Przyrzekł powrócić za trzy dni najdalej, upominał, żebym przez ten czas nie tracił odwagi, i wkrótce znikł mi z oczu w towarzystwie starego Marcheja. Ciężko mi było w duszy; wróciłem do domu, i z rozpaczą rzuciłem się na maty. Po dwóch godzinach wrócił stary wojownik, i dał mi poznać, że przeprowadził mego przyjaciela przez znaczną przestrzeń, i że dalej Tobi poszedł już sam wskazaną drogą.

W godzinie południowej, w której krajowcy zwykli się przesypiać, leżałem na macie, otoczony śpiącymi domownikami. Nagle uderzyły moje ucho krzyki pomieszanych głosów; zdawały się wychodzić z oddalonego zarośla. Krzyki te zbliżały się coraz bardziej, i wkrótce rozległy się w dolinie. Zerwali się śpiący, i wybiegli, ażeby się dowiedzieć o przyczynie rozruchu. Kory-Kory, który wyskoczył najpierwszy, wrócił bez tchu prawie; gwałtowne wzruszenie malowało się w całej jego postaci. Z wykrzykników jego i giestykulacyi zrozumiałem tylko, że Tobi podpadł jakiemuś nieszczęściu. Przestraszony, wybiegłem z domu, i ujrzałem tłum ludzi, wychodzących z zarośli; krzyki i skargi rozlegały się dokoła. Dziewczeta wznosiły ręce do góry, i wołały: „Biada! biada! Tobi już nie żyje!“

Rozstał się tłum; dwóch ludzi niesło martwe ciało mego towarzysza. Twarz, szyja i piersi krwią były zbroczone, która skapywała jeszcze z rany za skronią. Pośród krzyków i wyrzekań cisnącego się ludu, wniesiono go do izby i złożono na matkach. Odsuwając krajowców, z śmiertelnym w duszy niepokojem pochylilem się nad nim, przyłożyłem rękę do jego piersi; serce biło jeszcze. Uradowany, pochwyciłem naczynie z wodą, i prysnąłem mu na twarz; obmyłem potem krew z twarzy,

i zbadałem ranę. Była długa na trzy blisko cale. Kieszonkowym nożykiem obciąłem zlepione włosy, i obmyłem ranę.

Po kilku chwilach Tobi otworzył oczy, lecz znów je zamknął, nie wydawszy nawet głosu. Kory-Kory, który klęczał przy mnie, lekko nacierał mu członki dłonią; dziewczyna, stojąc u głowy zemdlonego, wachlarzem z liścia odświeżała powietrze: ja, zimną wodą maczałem mu czoło i usta. Wkrótce przyjaciel mój dał znów znak życia; udało mi się wlać mu w usta kilka kropel wody z łupiny orzecha kokosowego.

Nadeszła stara Tinor z pękiem ziół, które zebrała naprędce, i prosiła, żebym sok z tych ziół wcisnął w ranę. Zrobiłem to, poczem zostawiłem chorego w zupełnym spokoju. Po kilka razy otwierał usta, lecz nalegałem usilnie, żeby jeszcze nie mówił. Po dwóch jednak lub trzech godzinach, usiadł, i tak przyszedł do sił, że mógł mi powiedzieć, co go spotkało.

— Wyszedszy z domu z Marchejem — zaczął swoje opowiadanie — przebyliśmy w poprzek dolinę, i weszliśmy na przeciwległą wyżynę. Po drugiej stronie tej wyżyny, powiedział mi mój przewodnik, leży dolina Happarów, a wzdłuż grzbietu, około górnego krańca doliny, prowadzi droga do Nukahiwy. Marchejo siedł jeszcze ze mną kawałek w dół, poczem zatrzymał się, i dał mi do zrozumienia, że nie może zbliżyć się do ziemi nieprzyjaciół swego plemienia. Jeszcze raz wskazał mi w jakim mam iść kierunku, pożegnał mnie, i wrócił spiesznie na górę.

Uradowany, że znajduję się tak blisko Happarów, puściłem się pod górę, i wkrótce stanąłem na wierzchołku. Z wyniosłości tej mogłem widzieć obie nieprzyjacielskie doliny. Usiadłem, i orzeźwiłem się mlekiem orzecha kokosowego. Odpocząwszy, puściłem się wzdłuż grzbietu góry; nagle ujrzałem przed

sobą trzech wyspiarzy; szli z doliny Happarów; każdy z nich uzbrojony był ciężkim oszczepem, a jeden wyglądał na naczelnika. Śpiewnym tonem mówili coś do mnie, nie mogłem ich jednak zrozumieć: dali mi znak, żebym się wrócił. Ja, nie przeczuwając nic złego, podążyłem ku nim; byłem już tylko o dwa łokcie od najbliższego, gdy ten zaczął coś mówić, wskazując gniewnie na dolinę Typi, z szybkością błyskawicy zakręcił oszczepem naokoło głowy, i rzucił go na mnie. Upadłem: cios zadał mi tę oto ranę, i pozbawił mnie przytomności.

Gdy otworzyłem oczy, trzech dzicy stali niedaleko, gwałtowną jakąś prowadząc sprzeczkę. Pierwszą myślą moją było, uciekać; chciałem się podnieść: upadłem, i stoczyłem się z niewielkiej, pokrytej trawą pochyłości. Wstrząśnienie to przywróciło mi przytomność; wstałem, i puściłem się w dół ścieżką, którą przed chwilą piałem się w górę. Nie potrzebowałem oglądać się; krzyki, które słyszałem poza sobą, mówiły mi wyraźnie, że nieprzyjacielem ścigają mnie zacięcie. Pędzony ich wyciem przeraźliwem, nie zważając na ranę, chociaż krew oczy mi zalewała, biegłem z góry z szybkością wiatru. Przebyłem już trzy części pochyłości: umilkł krzyk dzikich, gdy nagle rozległo się straszne wycie, i w tejże chwili przeleciał oszczep, i utkwiał w drzewie tuż przy mnie. Powtórzyło się wycie, i drugi i trzeci oszczep zawarczał w powietrzu o kilka stóp odemnie; obydwie zaryły się w ziemię w prostej linii przedemną. Dzicy ryczeli z wściekłości, że nie trafili do celu, bali się jednak prawdopodobnie wejść dalej na dolinę Typich, i zaprzestali mnie ścigać. Widziałem jak wrócili, podniósłszy swoje oszczepy i ja zbiegałem dalej z góry, jak tylko mogłem najprędzej. Wściekły ich napad pochodził zapewne ztąd, że widzieli mnie idącego z Marchejem, a może już dlatego sa-

mego uważali mnie za nieprzyjaciela, że wyszedłem z doliny Typi.

Dopóki groziło mi niebezpieczeństwo, nie myślałem o ranie, dopiero, gdy dzieci ścigać mnie przestali, ból czuć mi się dał gwałtownie. Do tego, uciekając, zgubiłem kapelusz, i słońce paliło mi głowę. Dostałem zawrotu, byłem bliski omdlenia; lecz obawa, że upadnę w miejscu, gdzie żadnego ratunku mieć nie będę, utrzymywała mnie przy siłach; chwytając się, szedłem dalej, i stanąłem wreszcie w dolinie. Teraz opuściły mnie siły: upadłem, i nie już nie wiedziałem o sobie; obudziłem się dopiero tu, na tych matach, i ujrzałem ciebie, kiedyś klęczał pochylony nademną z bańką wody.

Dowiedziałem się później, że Tobie, na szczęście, padł właśnie w miejscu, z którego krajowcy zwykli brać drzewo do opału. Kilku z nich znajdowało się tam w tej chwili; spostrzegli go padającego na ziemię, dali znak alarmu, podnieśli zemdlonego, i próbowali ocucić wodą strumienia; napróżno jednak; przynieśli go więc do domu.

Smutna ta przygoda rozwiesiła czarną chmurę nad naszymi zamiarami. Dała nam poznać, że jesteśmy zamknięci dookoła wrogimi plemionami, przez których ziemie, nie będziemy mogli przejść bezkarnie, chcąc się dostać do Nukahiwy. Jedna tylko pozostała nam droga: morze, oblewające niższy krańiec doliny. Nasi przyjaciele, Typi, nie omieszkali skorzystać z przygody Tobiego, zestawiając gościnność i dobroć, z jaką nas przyjęli, z prawdziwie nieprzyjacielskim obejściem się sąsiadów; starali się szczególnie przekonać nas dowodnie, że Happarowie są ludożercami; siebie atoli całkiem oczyszczali z tego zarzutu. Zwracali przytę naszą uwagę na uroczą piękność swęj ziemi rodzinnej, na niezmierną obfitość prze-

pysznych jęj owoców, i wynosili pod tym względem swoją dolinę ponad wszystkie inne.

Kory-Kory osobiwie, najgoręcej ze wszystkich usiłował utwierdzić nas w tém przekonaniu, i udawało mu się dać się nam cokolwiek zrozumieć, tém bardziej, że poznaliśmy już trochę ich mowę. Żebyśmy go łatwiej pojęli, wypowiadał, jak można najkrócej swoje myśli. „Happarowie szkaradny naród: pożerają dużo, dużo ludzi; ach! okropność!“—wołał. Słowa te rozjaśniał jeszcze żywą giestykulacją, wybiegał przed dom, i z miną pełną wstętu, wskazywał na dolinę Happarów, wracał pędem, i zlekka chwytał zębami moje ramię, ażeby nam dać zrozumieć, że ludzie, którzy tam mieszkają, niczego bardziej nie pragną, jak, żeby nas zjeść.

Przekonawszy się, żeśmy go dokładnie pojęli, zwracał się do innego przedmiotu. „Ach!“—wołał, „Typi szczęśliwi! dużo, dużo drzewa chlebowego, dużo wody, dużo, dużo poi-poi, dużo, dużo koku; ach! dużo, dużo jeść; ach! dużo, dużo, dużo!“ Do tego dodawał objaśnienia za pomocą znaków i giestykulacyi; rozumieliśmy go tęg wybornie.

W końcu jednak, Kory-Kory, jak prawdziwy mówca, dał się unieść swemu przedmiotowi, wpadł w zapal krasomówski, rozprawiał tak długo i głośno, że ani jednego wyrazu pochwycić nie byliśmy w stanie; wymowa jego nabawiła mnie strasznego bólu głowy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Zniknięcie Tobiego.

Tobi wyzdrowiał w krótkim czasie; rana jego goiła się z niezwykłą szybkością pod działaniem ziół leczniczych, których mu dostarczała dobra Tinor. Tymczasem stan mojej nogi nie poprawiał się; pozbawiony wszelkiej pomocy lekarskiej, zważyłem już zupełnie o swoim wyzdrowieniu; ponure ogarnęły mnie myśli. Jednego dnia, gdy, smutny, leżałem na matach, wrócił Tobi, który wyszedł był przed godziną, i powiedział mi w radosnym wzruszeniu, żebym był dobrej myśli, gdyż sądzi z tego, co się dzieje pomiędzy dzikimi, że łodzie zbliżają się do zatoki.

Wiadomość ta oddziaływała na mnie, jak czar! Może też nadszedł dzień naszego uwolnienia! Wywlokłem się, jak mogłem najprędzej przed dom, i przekonałem się naocznie, że zaszło coś niezwykłego. Wyraz „boti“ powtarzany był przez wszystkie usta. Od strony morza słyszeć się dawało jakieś nawoływanie, z razu słabo i niewyraźnie, stopniowo coraz bliżej i głośniej, wreszcie wyraźnie podane dalej przez wyspiarza, który, o kilka łokci od nas, siedział na drzewie kokosowym. Był to głosowy telegraf krajowców, za pomocą którego, w kilka minut wiadomość dostawała się od wybrzeża morskiego aż do

najdalej położonego mieszkania, a więc przebiegała przestrzeń czterogodzinną. Z zadziwiającą szło to szybkością.

Pomiędzy krajowcami zapanował ruch niezwykle. Ożywiali się za każdym nowym okrzykiem, i z podwojonym pośpiechem zbierali owoce, które chcieli sprzedać oczekiwany przybyszom. Jedni obdzierali zieloną skórkę z orzechów kokosowych; inni, siedząc w konarach, zrzucali owoce drzewa chlebowego towarzyszom swoim, stojącym na dole, którzy je zbierali i znosili na jedną gromadę; drudzy spieszenie pletli kosze z liści, ażeby w nich złożyć owoce. Tu jeden z naczelników, starym gałganem z tappa czyścił swój oszczep, układał fałdy pasa, tam młoda dziewczyna stroiła się w kwiaty, podczas, gdy inni, jak to się wszędzie zdarza w podobnych okolicznościach, biegali tu i owdzie, nic nie robiąc, przeszkadzając tylko drugim.

Nie widzieliśmy jeszcze nigdy wyspiarzy tak ożywionych i tak zajętych; dowodziło nam to jasno, że statki europejskie bardzo rzadko zbliżały się do ich zatoki. Bolałem niezmiernie, że, przez chorą moją nogę, nie mogłem korzystać z tej okoliczności, tak jakbym chciał; wiele może upłynie czasu, nim nadarzy się podobnie dobra sposobność do wydostania się ztąd. Prosiłem Kory-Kory, żeby mnie zaniósł na brzeg, odmówił mi jednak, i nie chciał nawet pozwolić nam wyjść z obrębu zabudowań domostwa. Zdawało się, że postępowanie jego względem mnie nakazane mu było przez jakąś władzę wyższą; ztem wszystkiem zawsze obchodził się ze mną po przyjacielsku. Inni krajowcy również sprzeciwiali się naszemu życzeniu, a moje prośby natarczywe zdawały się ich zasmucać i dziwić.

Tobi był zdecydowany iść z krajowcami, skoro tylko wyruszą, umyślnie więc nie uprzykrzał im się tak jak ja; przed-

stawiał mi, że to próżne marzenie, żebym mógł na czas jeszcze zdążyć do brzegu, i próbować ucieczki.

— Czy nie widzisz — mówił mi — że dżicy sami są w obawie, że się spóźnią? Puściłbym się w drogę bez straty czasu, obawiam się jednak, że, gdy dżicy spostrzegą, że i ja również gorąco tego pragnę, nie pozwolą mi iść, i przepadną wszystkie nasze nadzieje. Staraj się być spokojnym, tym sposobem uśpiś ich podejrzenia; pozwolą mi iść z sobą do morza, sądząc, że robię to, powodowany prostą jedynie ciekawością. Jeżeliby mi się udało dostać się do łodzi, przedstawię w jakimś zostawiłem cię położeniu, a wówczas może się dadzą przedsięwziąć środki dla ułatwienia nam ucieczki.

Nie było co na to odpowiedzieć: słuszną robił uwagę. Gdy krajowcy ukończyli swoje przygotowania, czekałem, obojętnie na pozór, ale z największym w duszy niepokojem, czy Tobie dopnie swego celu. Skoro tylko spostrzegli, że zamysł mam pozostać, nie sprzeciwiali się jego życzeniu, i, co mnie bardzo zdziwiło, z radosnym nawet okrzykiem wzięli go z sobą.

Puścili się wszyscy drogą ku morzu. Gorąco uściśnąłem rękę Tobiego; dałem mu słomiany mój kapelusz, ażeby głowę zranioną mógł ochronić od promieni słonecznych. On również pożegnał mnie serdecznie, i święcie przyrzekł powrócić, skoro tylko łódzie odpłyną; po chwili znikł na zakręcie pobliskiego zarośla.

Jakkolwiek w smutnym pozostałem usposobieniu, zajęła mnie jednak ożywiona scena, która przedstawiała się moim oczom. Krajowcy, obładowani rozmaitemi przedmiotami, jeden za drugim gęstym szeregiem postępowali wąską ścieżką. Jeden mocował się długo ze sporym wieprzakiem, którego prowadził na postronku z łyka, a nie mogąc sobie poradzić z upar-

tém stworzeniem, wziął je na ręce, i niósł, nie zważając, że zwierzę kwiczało i biło go ryjem w pierś obnażoną. Dalej postępowało dwóch wyspiarzy, którychby można było wziąć za wysłańców Mojżesza, niosących grono winne z ziemi obiecanej. Jeden o kilka łokci poprzedał drugiego; na długim dragu, wspartym na ich ramionach, nieśli ogromny pęk bananów, kołyszących się w tę i ową stronę. Inny pędził z koszem orzechów kokosowych, a z obawy, żeby nie przybyć zapóźno, nie podnosił nawet owoców, które gubił po drodze. Wkrótce ostatni znikł w zaroślach, a nawoływania i krzyki idących w pierwszym szeregu, ucichały powoli w oddaleniu. Nasza część doliny wyludniona była prawie z mieszkańców; pozostali tylko: Kory-Kory, ojciec jego, i kilkoro starych ludzi.

Okolo zachodu słońca, krajowcy wracali z nad brzegu morza w małych gromadkach; upatrywałem pomiędzy nimi mego towarzysza; minęli mnie wszyscy, a jego nie było. Myślałem, że powróci z domowymi, uspokoiłem się, i czekałem cierpliwie. W końcu ujrzałem starą Tinor, w towarzystwie młodych ludzi i dziewcząt, którzy mieszkali w domu Marcheja, ale nie było pomiędzy nimi Tobiego. Straszny ogarnął mnie niepokój; usiłowałem dowiedzieć się, co się z nim stało. Natarczywe moje pytania, widocznie zakłopotwały wyspiarzy. W odpowiedziach swoich zbijali się nawzajem: jeden zapewniał mnie, że Tobie powróci niedługo, drugi mówił, że nie o nim nie wie, trzeci, obarczając go obelżywymi wyrazami, utrzymywał, że wykradł się, i nigdy już nie wróci. Zdawało mi się, że chcąc ukryć tym sposobem straszne jakieś nieszczęście, obawiając się, żeby mnie wiadomość ta nie zgnębiła do reszty.

Pomiędzy dziewczętami domowymi była jedna, imieniem Fayaway, w której rysach szlachetnych malowało się wiele

roзумu, uczucia i łagodności. Z pośród wszystkich krajowców, ona jedna zdawała się pojmować, jak nam boleśnie być musi zdala od ojczyzny i przyjaciół; mnie osobliwie, jako choremu, żywe okazywała współczucie. Z całej jej postawy serdeczna przemawiała litość; ile razy weszła do izby, zbliżała się natychmiast do miejsca, w którym leżałem, i wznosząc lekko jedną rękę w górę, z wyrazem pełnym współczucia, mówiła cichym, rzewnym głosem: „O! biedny, biedny Tommo!“ I, smutna, siadała obok mnie. Do tej dziewczyny, w której uczciwość i rozum wierzyłem najmocniej, zwróciłem się teraz, ażeby się dowiedzieć, co się stało z moim towarzyszem. Zmieszało ją i zasmuciło moje zapytanie. Spoglądała na stojących dokoła, jakby nie wiedziała, co ma mi odpowiedzieć. Ulegając wreszcie moim prośbom, powiedziała mi, że Tobie oddalił się, ale przyrzekł, że powróci za trzy dni. Z początku oskarżałem go, że mnie opuścił zdradliwie, gdy jednak uspokoiłem się nieco, wyrzucałem sobie, że go posądzałem o postępek tak nikczemny, i pocieszałem się myślą, że skorzystał ze sposobności, i udał się do Nukahiwy, ażeby ztamtąd przedsięwziąć kroki do mego uwolnienia. W każdym razie, myślałem, powróci z lekarstwem, a gdy ja wyzdrowieję, łatwiej znajdziemy sposób wydobycia się ztąd. Pocieszając się temi myślami, poszedłem spać spokojniejszy tego wieczora, niż zwykle.

Dzień następny przeszedł, a nikt nie wspomniał o Tobim; krajowcy starannie wymijali ten przedmiot rozmowy. Obudziło to znów moje podejrzenie. Nadeszła noc; odetchnałem lżej, że i drugi dzień już przeminął; jutro Tobie powróci. Nadszedł dzień, i przeszedł, a towarzysz mój nie zjawił się. Zapewne, myślałem, on liczy trzy dni od chwili odejścia; jutro przyjdzie. Ale i ten dzień minął na próżnym oczekiwaniu. Nie wątpiłem

jeszcze; może go co zatrzymało? Czekaj na łódź w Nukahiwie; wróci za dwa lub trzy dni najpóźniej. Napróżno wyglądałem go z dnia na dzień: opuściła mnie nadzieja; rozpacz zawładnęła moją duszą. Tak, on myślał tylko o sobie! Uciekł, i nie go nie obchodzi, jaki los spotka nieszczęsnego jego towarzysza! Jakimże byłem głupcem, przypuszczając, żeby ktoś dobrowolnie wracał do doliny, i wystawiał się na niebezpieczeństwo, uniknąwszy go szczęśliwie! Niekiedy znów przychodziło mi na myśl, że Tobie siedzi może uwięziony w innej stronie doliny, albo, może dzieć ludożercy zamordowali go, i wyprawili sobie szatańską ucztę z jego ciała! W tém strasznym przypuszczeniu utwierdzało mnie poniekąd ich zakłopotanie, gdy zapytywałem o mego towarzysza, i owa sprzeczność w odpowiedziach. Gorzko wyrzucałem sobie, że przez własny nierozsądek podpadłem strasznemu losowi, o którym nie wątpiłem już, że mnie czeka, a który spotkał już zapewne mego przyjaciela.

Zagadkowe było dla mnie postępowanie wyspiarzy. I teraz jeszcze starannie unikali wzmianki nawet o straconym dla mnie towarzyszku, a jeżeli częstemi memi pytaniami zmusiłem ich wspomnieć o nim, mówili jednomyślnie, że to niewdzięcznik, niegodny! Opuścił swego przyjaciela, i uciekł do obrzydłej Nukahiwy! Względem mnie, od chwili zniknięcia Tobiego podwoili jeszcze uprzejmość; większej czci, nie mogliby mi okazywać, choćbym był istotą nadludzką. Kory-Kory nie odstępował mnie ani na chwilę, chyba wtenczas tylko, gdy wychodził spełnić jakie moje życzenie. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem, poczciwy chłopak, z całą cierpliwością, bez skrzywienia się, zanosił mnie do rzeki, ażeby mnie orzeźwić kąpielą. Po każdej kąpeli wieczornej, nacierał mi całe ciało pachnącym olejkiem, w języku krajowców zwanym „aka“, a wyciskany

z pewnego rodzaju złotego korzenia. W chłodniejszych godzinach wieczornych dobry Kory-Kory wyprowadzał mnie przed dom na pi-pi, a gdy usiadłem, żeby mnie uchronić od owadów, których mnóstwo gromadziło się niekiedy, okrywał pewnym rodzajem płaszcza z tappa. Gdy mnie tak usadowił wygodnie, zapalał fajkę, podawał mi ją, i siadał obok mnie.

Niemniej gorliwie starali się domownicy i podniebieniu memu należyty oddawać honor. Bezustannie zapraszali mnie do jedzenia, a kiedy, nasyciwszy się, odsuwałem dalsze pokarmy, sądzili, że potrzeba mi silniejszych środków dla podniecenia apetytu. Stary Marchejo, z brzaskiem dnia, spieszył nad brzeg morza, ażeby nazbierać rozmaitych rzadkich ziół morskich; niektóre z nich uchodzą za wielki przysmak u krajowców. Cały dzień zszedł mu nieraz na tём zajęciu; wracał o schyłku dnia, niosąc kilka łupin orzecha kokosowego, napełnionych temi roślinami. Zabierał się do przyrządzenia tój potrawy z powagą wytrawnego kucharza, jakkolwiek cała tajemnica polegała na nalaniu wodą tych ziół śluzowatych. Gdy podał mi pierwszy raz ową morską sałatę, sądziłem, że musi to być jakaś osobliwa potrawa, skoro tyle pracy zadał sobie, aby mi ją przyrządzić; ale zaledwie wziąłem w usta ten przysmak, natychmiast wypluć go musiałem z wielkiem zdziwieniem i zmartwieniem starego wojownika. Prawdą więc jest, że częstokroć rzadkość tylko jakiego przedmiotu, nadaje mu wartość w oczach ludzi.

Z tём wszystkiem, uprzejmość i usłużność mieszkańców doliny, a w szczególności moich domowników, na chwilę zaledwie rozerwać zdołały ciężki mój smutek. Pogłębiała mnie nietylko niepewność o losie Tobiego, i myśl, że jestem niewolnikiem, ale najbardziej martwił mnie stan mojej nogi. Zioła

lecnicze dobrej Tinor, rady starego doktora i troskliwe pielęgnowanie wiernego Kory-Kory, pozostały bez skutku; przeciwnie choroba wzmagala się coraz bardziej. Byłem prawie kaleką, a od czasu do czasu gwałtowny dokuczał mi ból. Troski te i cierpienia zwróciły mnie do tego, o czém już od niejakiiego czasu zapomniałem: nauczyły mnie znów modlić się, i wielką znalazłem pociechę w obcowaniu z Tym, którego oko ojcowskie czuwało nademną nawet na tój oddalonej wyspie. Dobro to, do którego zwróciło mnie smutne moje położenie, pozostanie mi już na życie całe; w cierpieniach nie bardziej nie pokrzepia, jak ufność w Bogu; w szczęściu, nie milszego, jak modlitwa dziękczynna za odebrane dobrodziejstwa.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Obcy człowiek zjawia się w dolinie.

Upływał tydzień za tygodniem, a obejście się ze mną krajowców zawsze było jednakowe. Powoli straciłem rachubę czasu; coraz bardziej usuwał się odemnie świat, w którym żyłem poprzednio, i z poddaniem się myślałem, że może wkrótce umrę na tej wyspie. Nagle zagoiła się rana na mojej nodze: opuchlizna znikła, ból ustał, mogłem mieć nadzieję, że męka moja skończy się niedługo, że wyzdrowieję. Skoro tylko mogłem chodzić po zachwycającej dolinie, a towarzyszyły mi zawsze roje wesołych krajowców, odwaga wstąpiła do mojej piersi. Ufając Bogu, który dotąd pomagał mi tak cudownie, starałem się pozbyć niepokojących myśli, co do mojej przyszłości, i używałem dobrej chwili obecnej.

Gdy jednego popołudnia leżałem w domu, usłyszałem wielki hałas na dworze. Przywykłem już do głośnego wołania, które wciąż prawie rozlegało się w dolinie, mało zwracałem na to uwagi; nagle wpadł do izby stary Marchejo, niezwykle ożywiony, i zawołał: „Marnu idzie!” Stary mój przyjaciel spodziewał się zapewne, że wiadomość ta niemałe zrobi na mnie wrażenie, widząc jednak, że leżę dosyć spokojnie, wybiegł równie szybko, jak był wpadł przed chwilą. Hałas zbliżał

się, i zewsząd słyszeć się dawało wołanie: „Marnu! Marnu!” Marnu? myślałem sobie; tego imienia jeszcze nie słyszałem. Prawdopodobnie, jeden to z pierwszych naczelników, który dotąd nie mówił jeszcze ze mną, i przychodzi złożyć mi wizytę. Krajowcy popsuli mnie zbyt okazywanym szacunkiem: zrobiłem się próżny, i postanowiłem ukarać tego pana Marnu zimnym przyjęciem, za dotychczasowe niedbalstwo względem mojej osoby.

Nakoniec tłum, radośnie wzruszony, ukazał się przed naszym domem z zapowiedzianym gościem. Mógł on mieć najwyżej lat dwadzieścia pięć; wzrostu był wysokiego, kształtów harmonijnych; twarz owalna, gładka, bez brody, piękne i regularne rysy, cała ta postać przypominała mi starożytny posąg Apollina. Ale zamiast marmurowego spokoju posągu, wrzało w nim życie gorące, jakie tylko rozwinąć się może pod błogim wpływem przyrody wysp morza Południowego. Kędzierzawe, ciemne włosy młodzieńca, zwijały się w obfite loki, żywością jego wprawiane w ruch bezustanny. Twarz wcale nie była tatuowana, resztę jednak ciała pokrywały najfantastyczniejsze figury, ale rysunki te nie były rzucone bezmyślnie, bez żadnego z sobą związku, przeciwnie, zdawały się zrobione podług planu z góry powziętego. Szczególniej utatuowanie pleców zwróciło moją uwagę. W samej rzeczy sztukmistrz niezwykłą pokazał tu zręczność: wzdłuż grzbietu bardzo wiernie narysowany był cienki, śpiczasto zakończony pień drzewa „artu,” z powabnymi swemi, rozłożystemi gałęzmi, uginającymi się pod ciężarem obfitych liści. Przywiodło mi to na myśl krzew winny z rozciągniętymi i opartymi o mur latoroślami. Na piersiach, ramionach i goleniach widać było nieskończoną ilość najrozmaitszych figur, które jednak, w myśl sztukmistrza, miały po-

między sobą pewien związek. Tło całego malowidła było bladobłękitne; wyglądało to oryginalnie przy skórze jasno-oliwkowej, ale nieźle. Pas z białej tappa, szeroki zaledwie na dwa cale, ale od którego z przodu i z tyłu gęste spuszczały się chwasty, stanowił całe ubranie wyspiarza.

Gość wszedł otoczony krajowcami; w prawej ręce trzymał oszczep bogato ozdobiony, pod lewem ramieniem niósł zwinięty rulon tappa. Zachowywał się, jak podróżny, który wie o tém, że zbliża się do dobrej gospody. Co chwila zwracał się z zupełną swobodą i wesołością do towarzyszącego mu tłumu, i na pytania ich odpowiadał humorystycznie, co pobudzało krajowców do głośnych wybuchów śmiechu.

Tak bardzo różnił się wzięciem i powierzchownością od innych wyspiarzy z ogoloną głową i utatuowaną twarzą, których dotąd spotykałem, że, zdziwiony, wstałem pomimowolnie, i giestem prosiłem go, żeby usiadł obok mnie na macie. Ale, nie zważając na moje grzeczne przyjęcie, zdając się nawet nie spostrzegać méj obecności, minął mnie, i rzucił się na maty w drugim końcu izby. Tak niezwykle tu dla mnie lekceważenie mojej osoby zdziwiło mnie w najwyższym stopniu i rozgniewało, ale wzniciło zarazem chęć dowiedzenia się, kto jest ten obcy, przyjmowany z taką radością, i pochłaniający ogólną uwagę.

Tinor postawiła przed nim poi-poi; zajaśniało z apetytem, nie przestając mówić krótkim, urywkowym sposobem; każde jego słowo chciwie było chwytnie i powtarzane. Niezwyczajne uszanowanie, jakie mu okazywali krajowcy, i zupełne mnie zaniedbanie, zraniło moją miłość własną. Tomo runął ze szczytu swéj chwały, pomyślałem. Oby ten gość poszedł sobie jak najprędzej.

Marnu zaspokoivszy głód, i pociągnąwszy parę razy fajki, rozpoczął mowę, której zgromadzeni słuchali z nateżoną uwagą. Z często powtarzającego się wyrazu Nukahiwa i Franni (Francuz), również jak z niektórych innych nieobcych już dla mnie, wnosilem, że opowiada o świeżo zaszłych wypadkach w sąsiednich zatokach. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem powziął te wiadomości, jeżeli nie przyszedł z Nukahiwy? a jeżeli był mieszkańcem Nukahiwy, to jakimże cudem doznał tak przyjaznego przyjęcia od Typich?

Nigdy jeszcze nie dało mi się słyszeć tak porywającej biegłości w wymowie naturalnej, jak w ustach Marnu. Zręczne, pełne wdzięku pozy, jakie przybierał, żywa giestykulacya, a nadewszystko ogień tryskający z jego oczu w połączeniu z właściwą, wciąż zmieniającą się intonacją, robiły wrażenie, z którego byłby dumny najwytrawniejszy nawet mówca. Już-to siadał na macie, wsparłszy głowę na rękę, i opowiadał spokojnie o zaczepkach Francuzów, o ich wycieczkach w celu nieprzyjacielskim do sąsiednich przystani: Happar, Puerka, Nukahiwa i Tior; już-to zrywał się, rzucał się z zaciśniętymi pięściami, z rozognioną twarzą, miotał tysiące przekleństw. Potém przybierał postawę pełną godności, i upominał Typich, żeby nie ścierpieli tych cudzoziemców; z tryumfem przywodził im na pamięć, że postrach ich imienia powstrzymywał dotąd wszelki na nich napad, wyszydzał z pogardliwym uśmiechem odwagę nieprzyjaciół, którzy, mając sześć wojennych łodzi i setki zbrojnych wojowników, nie śmieli dotąd zaczepić nagich mieszkańców doliny. Słowa jego wywierały na słuchaczy wpływ elektryczny. Wszyscy, drżąc na całym ciele, patrzyli na niego zaiskrzonymi oczyma, jak gdyby słuchali głosu proroka.

Ukończywszy ognistą swą mowę, Marnu rzucił się znów na maty; wywoływał z tłumu po imieniu pojedyncze osoby, i zwracał do nich swoje dowcipy, które ogólną pobudzały wesołość. Dla każdego, nie wyjmując i kobiet, miał jakieś słówko w zapasie, szybko, z humorystyczną jakąś zaczepką, zwracał się od jednego do drugiego, a każdemu jego odezwaniu się towarzyszył śmiech głośny.

W końcu zauważyłem, że mówił o mnie, pomimo, że umyślnie nie wymieniał mego imienia, i nie spojrzał nawet w stronę, gdzie siedziałem. Nagle wstał; szedł powoli, rozmawiając jeszcze z krajowcami, i widocznie unikając mojego wzroku, i usiadł w pobliżu. Zdziwiło mnie to; po chwili zwrócił się do mnie szybko, i ruchem niezmiernie uprzejmym podał mi prawą rękę. Naturalnie, odplaciłem mu równą grzecznością, a zaledwie zetknęły się nasze ręce, pochylił się ku mnie, i rzekł ciszej, dźwięcznym swoim głosem, łamaną angielszczyzną: „Jak wy się mieć? Jak dawno wy w tej dolinie? Podobać się wam dolina?”

Gdyby mnie nagle przeszły trzy osczepy Happarów, nie struchlałbym więcej, jak na dźwięk tych trzech prostych pytań. Przez chwilę zaniemiałem ze zdziwienia; później coś mu odpowiedziałem, sam nie wiem co. Skoro tylko przyszedłem do siebie, wpadło mi na myśl, że może od tego człowieka dowiem się o losie Tobiego, gdyż wciąż posądzałem, że umyślnie ukrywają przedemną, co się stało z moim towarzyszem. Powiedział mi, że nic o nim nie wie. Na pytanie moje, z kąd przyszedł, odrzekł, że z Nukahiwy, a gdym mu wyjawiał moje zdziwienie, przez chwilę popatrzał na mnie w milczeniu, jakby go bawiła ta dla mnie niespodzianka. Potem zawołał z ży-

wością: „Ach, ja tabu; ja isć Nukahiwa; ja isć Tior; ja isć Typi; ja isć wszędzie; nikt nie zrobić mi złego; ja tabu!”

Chciałem się dowiedzieć, jakim sposobem nauczył się po angielsku. Zrazu wymijał moje pytania, później jednak powiedział mi, że, chłopcem jeszcze będąc, wzięty został na morze przez kapitana angielskiego kupieckiego okrętu, że zostawał tam lat trzy, a część tego czasu przebył w Sydney; gdy przecież okręt zawinął do Nukahiwy, kapitan na prośbę jego pozwolił mu wrócić do ziemi rodzinnej. Zapytałem go, dlaczego tak stronił odemnie z początku? Zanim mi odpowiedział, chciał wiedzieć, co ja z tego powodu o nim myślałem? „Miałem cię za wielkiego naczelnika,” odrzekłem, „który już tylu widział białych ludzi, że na biédnego majtką uwagi nawet nie zwraca.” Pochlebilo mu to wysokie moje o nim wyobrażenie, i dał mi do zrozumienia, że umyślnie zachował się tak względem mnie, żeby mi później tém miłszą sprawić niespodziankę.

Ciekawy był dowiedzieć się, jakim sposobem dostałem się na dolinę Typi; słuchał mnie z wielką uwagą, gdy przyszło jednak do zniknięcia Tobiego, zwrócił rozmowę na inny przedmiot; widocznie mówić o tém nie chciał; nie wierzyłem mu więc, pomimo ponowionych zapewnień, że nic nie wie o moim towarzyszu. Powróciło znów podejrzenie, że ukrywają przedemną straszną tajemnicę, a razem z tém podejrzeniem, w duszy mojej nanowo zbudziła się trwoga o własną moją, okropną przyszłość. Może ten obcy, który zdawał się wywierać tak wielki wpływ na krajowców, przemówi za mną, i pod swoją opieką uprowadzi mnie do Nukahiwy. Zaledwie jednak wyjawilem mu tę myśl, oświadczył mi stanowczo, że to rzecz niemożliwa, że Typi za nic w świecie nie puszcza mnie od siebie. Byłem więc pilnie strzeżonym niewolnikiem! Jakkolwiek uprzy-

jemniano mi tę niewolę, z pewnością przecież liczyć mogłem, że koniec jój będzie straszny. Wszakżeż i z Tobim obchodzono się również przyjaźnie!

Pchany śmiertelną obawą, natarczywie ponowiłem moją prośbę; Marnu zapewniał, że myśl moja wykonać się nie da. Błagałem go, żeby mi powiedział przynajmniej, w jakim celu Typi tak uporczywie zatrzymują mnie u siebie? Gość przybrał znów minę tajemniczą, jak wówczas, gdy go pytałem o mego towarzysza. Trwoga i niepokój z każdą chwilą wzrastały w mój duszy. Zaklinałem go, żeby przynajmniej spróbował wydobyć mnie z tego więzienia. Marnu wzbraniał się uporczywie; w końcu uległ, i zaczął mówić z kilku naczelnikami, którzy rozmowę naszą, równie jak wszyscy obecni, z największą śledzili bacznością. Wstawiennictwo to przyjęte było z najwyższem niezadowoleniem. Obydwóch nas obrzucono gradem obelżywych wyrazów; gniewne spojrzenia zwracały się na nas ze wszystkich stron. Marnu, żałując swego kroku, usiłował wszelkimi sposobami naprawić złe, uspokoić tłum wzburzony; wkrótce udało mu się to o tyle, że uciszać się zaczął wrzask, który powstał na jego propozycyą. Powiedział mi, że nie może się mieszać w domowe sprawy Typich, inaczej „tabu“ utraci moc swoją, postąpią z nim jak z nieprzyjacielem.

Mehewi przerwał mu gniewnie; rozkazał tonem stanowczym, żeby natychmiast przestał ze mną mówić, i oddalił się odemnie. Marnu zerwał się szybko, naprędce rzucił mi tylko słów parę, a mianowicie, żebym więcej już do niego nie mówił, i, jeżeli miłe mi życie i wolność, żebym ani jednym wyrazem nie wspominał krajowcom o swoim uwolnieniu. Na powtórny, groźny rozkaz naczelnika, odszedł odemnie. Dzicy, gniewem płonącemi oczyma spoglądali to na mnie, to na Marnu;



mieli silne podejrzenie, żeśmy się umawiali w obcym dla nich języku, jakim sposobem oszukać ich czujność.

Widać było z tego wszystkiego, że Marnu dobrze mi radził, dlatego też, jakkolwiek ciężko mi było na sercu, przemówiłem przyjaźnie do Mehewiego, ażeby, o ile możności, zatrzeć przykre wrażenie, wywołane prośbą moją przez pośrednictwo przybysza. Ale niełatwo było ułagodzić gniewnego naczelnika; popatrzał na mnie ponurym wzrokiem, i całém swoim wzięciem starał się okazać mi swą niechęć.

W drugim końcu izby Marnu usiłował swojemi dowcipami rozweselić zgromadzonych, lecz nie udawało mu się to tak, jak pierwój; powstał więc, z zamiarem oddalenia się. Nikt nie próbował go zatrzymać; pochwycił przeto swój rulon tappa i oszczep, skierował się do wyjścia, na pożegnanie skinął ręką milczącemu tłumowi, rzucił na mnie wzrokiem litości i wyrzutu zarazem, i puścił się ścieżką ku zarośłom. Patrzyłem za nim, dopóki nie znikł mi z oczu. Ciężki ogarnął mnie smutek. Przekonany byłem mocniej, niż kiedykolwiek, że nigdy już nie wyjdę z téj doliny.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Dolina Typi i sposób życia jej mieszkańców.

Pogoda nigdy nie służy mieszkańcom Typi za przedmiot rozmowy, gdyż, można powiedzieć, że nie zmienia się tam prawie. W porze deszczów częste bywają wprawdzie ulewy, ale przechodzą szybko i odświeżają powietrze. Krajowiec z rana nie potrzebuje badać stanu nieba, ani zważać, z której strony wiatr wieje: zawsze jest pewnym pięknego dnia, a chmury, deszcz zapowiadające, wita z radością. Nie znają tam pogody lub niepogody, które u nas wywołują wykrzykniki radości, lub niezadowolenia: bezustanne panuje tu lato i dni słoneczne następują po sobie bez przerwy; cały rok jest w dolinie naszym miesiącem Czerwcem. Przepyszny ten klimat w połączeniu z niezmiernie żyzną ziemią doprowadza na wyspach Markizach orzech kokosowy do najdoskonalszego rozwoju; dochodzi on częstokroć stu stóp wysokości, i obficie okrywa się kwiatem. Również wspaniałe drzewo chlebowe, które na wyspach Sandwich spotyka się rzadko i w gorszym nierównie gatunku, na wyspach Taiti nie wydaje takiego mnóstwa owoców, żeby mogły służyć mieszkańcom za główne pożywienie; na Markizach dorasta olbrzymiej wielkości, i rodzi nieskończoną ilość owo-

ców. Amar i poi-poi, wyrabiane z owocu drzewa chlebowego, przechowują się długo, i są głównym środkiem pożywienia.

Nieprzyjemny widok w dolinie Typi sprawiał mi pewien rodzaj wielkich psów, podobnych z postaci do szczurów; skóra ich gładka, lśniąca, jednokolorowa, wielki tłusty brzuch wstrętne czynią wrażenie. Jakiego też, zdaniem Buffona lub Cuviera, są pochodzenia brzydkie te zwierzęta? bo, że te wyspy nie są ich ojczyzną, tego byłem pewny. I one zdawały się wiedzieć o tém, że są tu obce; miały, jakby zawstydzoną minę, i lękliwie kryły się zawsze w najciemniejsze kąty. Raz proponowałem Mehewiemu polowanie na te szkaradne stworzenia. Słuchał mnie cierpliwie, ale, gdym skończył, potrząsnął głową, i powiedział mi w zaufaniu, że są „tabu.“

Pomiędzy niewielu zwierzętami, znajdującymi się w dolinie Typi, szczególną uwagę moją zwracał pewien rodzaj pięknych, złotawych jaszczurek. Długie są około pięciu cali od głowy do ogona, budowa ich niezmiernie harmonijna. Piękne te zwierzątka gromadami wygrzewały się zawsze na dachach domów, goniły się swawolnie w trawie, połyskując złotemi bokami, lub też wbiegały na wysokie, pochyle pnie kokosowe, i zbiegały z nich z błyskawiczną szybkością. Zupełnie były oswojone, nie lękały się ludzi. Jeżeli kiedy podczas upału dziennego usiadłem na ziemi w cieniu drzewa, oblażył mnie dokoła. Gdy którą z nich zrzuciłem z ręki, skoczyła mi we włosy, a gdym ją chciał odstraszyć, szczypiąc lekko w nogę, to tuliła się do ręki, która jej ból zadawała.

Ptaki również są bardzo oswojone; nie uciekał żaden, za zbliżeniem się mojem: siedział spokojnie na gałązce, i patrzył na mnie; dopiero, gdy go już prawie dotykałem ręką, powoli podnosił skrzydełka, i spokojnie wzlatywał, nie z bojaźni, ale

raczej, żeby mi z drogi ustąpić. Tam możnaby swobodnie łapać ptaki za pomocą soli, gdyby sól nie była taką rzadkością w dolinie. Jest ich niezmierne mnóstwo, a w ich przepyszném upierzeniu wszystkie odbijają barwy: purpurowa i błękitna, karmazynowa i biała, czarna i złota; dziobki ich już to czerwone jak krew, już to czarne jak węgiel, lub białe jak kość słoniowa. Oczy mają jasne i pełne połysku. Ale, niestety! nie słysząc tu wesołego świergotu: piękne te stworzonka skazane są na wieczne milczenie; w dolinie całej niema ani jednego śpiewającego ptaka.

Bardzo jest tam mało dzikich zwierząt i gadów; góry i wewnętrzne części wyspy są to pustynie, których ciszy uroczystej nie przerwie ryk drapieżnego zwierzęcia; maleńkie zaledwie ślady napotkać tam można życia zwierzęcego. I od skrzydlatych ludożerców, mianowicie muskitów, które mi tak bardzo dokuczyły na wyspach Sandwichskich i Towarzyskich, wolne są prawie całkiem Markizy; w czasie mego tam pobytu, kiedyniekiedy zaledwie pokazywały się zjadliwe owady, a i te, jakkolwiek uprzykrzone, nie gryzły jednak, nie męczyły, jak muskity.

Na jednej z uroczystości narodowych, która zgromadziła wszystkich mieszkańców doliny Typi, mogłem obliczyć w przybliżeniu, jak wielka jest jej ludność; zdaje się, że nie przechodzi dwóch tysięcy, a i tu, tak samo, jak na wielu innych wyspach południowych, przemaga połowa męzka. Jest to ilość doskonale zastosowana do rozległości doliny, dłuższej na półczwartęj, a szerokiej na pół godziny drogi.

Niema tu wiosek, domy tylko, szczególnież w górnym krańcu porzrucane na całej powierzchni, daleko jeden od drugiego. Pobudowane są już to w cieniu zarośli, już to wzdłuż

brzegów wijących się rzek, a ściany ich bambusowe złotej barwy, i białe z palmowych liści dachy, tworzą miłą dla oka sprzeczność z zielonością, zewsząd je otaczającą. Ulic nie napotkać w całej dolinie, ścieżki wiją się tylko w zaroślach, i tworzą prawdziwy labirynt.

Dziwiła mnie bezustanna pogoda na wszystkich twarzach, ów humor swobodny, który ani na chwilę nie opuszczał mieszkańców tego zakątka. Główną podstawą tego humoru było zapewne zdrowie i siły ciała. Wprawdzie u wielu mężczyzn widne były blizny ran odniesionych w bitwie; byli i tacy, którym brakowało palca, ręki, a nawet całego ramienia, ale podczas pobytu mego w tém miejscu, pomimo, że do wszystkich zachodziłem domów, jednego tylko widziałem chorego. Do tego dodać należy, że tu nieznane są owe wzruszenia i niepokoje, które człowiekowi cywilizacyi zabierają spokój i myśl swobodną. Niema tam weksli zaprotestowanych, długów honorowych, krawców i szewców, którzy koniecznie domagają się zapłaty, adwokatów ani procesów; niema ubogich i żebraków, niema dumnych, twardego serca nababów: jedném słowem, niema pieniędzy!

Ustawy społeczne Typich bardzo są proste. Naczelnikom, których godność przechodziła dziedzicznie z ojca na syna, chętnie oddawano cześć należną; ale pretensye ich do wyższości bardzo były ograniczone, władza niezmiernie łagodna, a stosunek z innymi krajowcami najzupełniej swobodny i niewymuszony. Miejsce praw zastępowało własne każdego poczucie obowiązku i ustalone zwyczaje narodowe. Nie dało mi się słyszeć ani dostrzedz sądów, policyi, więzień, a pomimo to, wszystko szło tam w największym ładzie i porządku. Nie znają tam wcale zamków i ryglów, śpią przy otwartych drzwiach.

Ząb wielkogłowa, przyozdobiony symbolicznymi znakami jest najkosztowniejszym strojem Kaluny; wyżej ona go ceni, aniżeli my drogie kamienie, a przecież wisi w izdebce dziewczęcia na sznurze z łyka: dom stoi otworem, a mieszkańcy poszli do rzeki kąpać się. Sztucznie wypolerowany, ozdobnie rznęty oszczep należy do Wormuna; jest on nierównie piękniejszy od oszczepu starego Marcheja, i stanowi najdroższą własność swego posiadacza: pomimo to, widziałem go, jak stał przez wiele dni w zaroślach oparty o drzewo kokosowe, a właściciel znalazł go, gdy mu był potrzebny.

Domy i znajdujące się w nich przedmioty, jako to: maty, zawiniątka, odzienie, ozdoby, broń, naczynia i zapasy żywności są szanowane, jako własność prywatna; zdaje mi się, że ziemia i jej płody należały do ogółu, bo często uważałem, że mieszkańcy zupełnie innej części doliny zrywali owoce z grupy drzew, rosnących w pobliżu naszego domu. Wspólność ta dawała się widzieć wyraźnie, szczególnie przy połowie ryb. Cztery razy w czasie mego pobytu w dolinie Typi, zbierali się młodzi ludzie, i szli na połów. Do zajęcia tego obierano zawsze czas pełni księżyca. Bawili zazwyczaj dwa dni i dwie nocy, domyślałem się więc, że puszczali się na otwarte morze, nieco dalej poza zatokę. Wszyscy oczekiwali ich powrotu z radosną niecierpliwością, gdyż w ogóle mieszkańcy wysp morza Południowego są namiętymi amatorami ryb. Pozerają je surowe z łuską, ośmi, skrzelami i wnętrznościami; chwytają rybę za ogon, kładą głowę w usta, i zwierzątko znika z nadzwyczajną szybkością. Skoro tylko telegraf głosowy zapowie powrót rybaków, mężczyźni ze wszystkich stron biegną ku wybrzeżu, inni pozostają w pobliżu Ti, ażeby porobić stosowne przygotowania do przyjęcia i działu połowu. Przynoszą wreszcie

ryby w ogromnych pękach zawiniętych w liście; każdy pęk dwóch mężczyzn dźwiga na drągu. Raz byłem świadkiem tego zajmującego dla mnie widoku. Wszystkie wiązki złożono rzędem pod werendą zabudowania, i rozwinięto je. Ryby wszystkie były małe, większa część wielkości śledzia, i rozmaitej barwy. Osmą mniej więcej część zostawiono dla domu; resztę podzielono w wiele mniejszych paczek, i natychmiast odesłano w różnych kierunkach, w najbardziej nawet oddalone części doliny. Gdy paczki te przybyły na miejsce swego przeznaczenia, znów je otwierano, i w równych częściach rozsyłano do pojedynczych domów tej dzielnicy. Tak więc wszystkim bez wyjątku jednocześnie dostała się ulubiona potrawa, i radość wielka panowała w całej dolinie.

Prawdziwie zadziwiająco wydawała mi się niczem niezakłócona zgoda we wszystkich ważniejszych czynnościach. Jakoby jedna myśl przewodniczyła wszystkim; rzadko dojrzeć się dawała jakaś drobna różnica zdań. Przez cały ciąg mego pobytu w dolinie, z wyjątkiem jednego tylko wypadku, który później opowiem, nigdy nie byłem świadkiem kłótni, ani sprzeczki najłżejszej. Cała ludność żyła z sobą jak jedna rodzina, połączona węzłami serdecznego przywiązania. Nie uwydatniała się też tutaj miłość rodzinna, złała się bowiem niejako w miłość ogółu, i trudno było rozpoznać rzeczywisty związek krwi, bo wszyscy byli uważani jako bracia i siostry.

Jednostajność życia mieszkańców doliny Typi przerywa tylko od czasu do czasu wyprawa wojenna lub ogólna uroczystość narodowa; wciąż panuje tu wesołość i spokój niezamącony, i kreśląc przebieg jednego dnia, daje się zarazem opis całego ich życia.

Gdy słońce złotemi swemi promieniami obrzuciło górę Happarów, w towarzystwie nieodstępного Kory-Kory i wszystkich mieszkańców domu, szliśmy do rzeki. Zastawaliśmy już tam wszystkich pobliskich sąsiadów, i kąpaliśmy się razem z nimi. Chłodne ranne powietrze i świeża woda orzeźwiały ciało i duszę; poświęciwszy pół godziny kąpieli, wracaliśmy do domu; po drodze Marchejo i Tinor zbierali suche drewna, niektórzy z młodych ludzi zrywali orzechy kokosowe, a Kory-Kory starał się mnie rozweselać przez rozmaite figle i skoki.

Po powrocie siadaliśmy do śniadania; krajowcy zachowywali apetyt na czas późniejszy, z rana lekko się posilali. I ja zjadałem tylko nieco poi-poi, a Kory-Kory, jak zwykle, był moją łyżką. Do téj potrawy przydawano zawsze już to suszony owoc chlebowy, ciasto amarowe, już to koku, banany lub inne smaczne i pożywne owoce. Na zakończenie śniadania piliśmy mleko młodych orzechów kokosowych. Krajowcy jedząc, siedzieli na matach w postawie pół-leżącej, i gawędzili wesoło.

Po śniadaniu zapalano fajki; mnie podawano moją własną: podarek Mehewiego. Dziwili się niezmiernie wyspiarze, widząc, że wypalam cztery lub pięć fajek jedna po drugiej, każdy bowiem z nich, pociągnąwszy dwa lub trzy razy, czekał cierpliwie, aż fajka obejdzie kolój, i do niego powróci. Gdy dwie lub trzy fajki obeszły koło, towarzystwo zaczynało się powoli rozchodzić; stary Marchejo szedł pracować w dalszym ciągu nad budową swéj chaty; Tinor przeglądała zwoje tappa, lub téż, zawsze czynna, plotła maty z trawy; dziewczęta namaszczały się wonnemi olejkami, czesały się lub przeglądały swe stroje. Młodzieńcy i wojownicy brali do ręki swoje oszczepy, maczugi, muszle, służące im jako broń wojenna, wiosła, i, ostro zakończonemi kawałkami muszli, wyrzynali na nich

najrozmaitsze figury, zdobili je, szczególniej muszle wojenne, chwastami z trawy plecionej i pęczkami włosów ludzkich. Inni, zaraz po śniadaniu, rzucali się znów na maty, i zasypiali tak smacznie, jak gdyby przez tydzień przynajmniej oka nawet nie zmrużyli. Niektórzy udawali się w zarośla, aby nazbierać owoców, trawy szerokiej i liści, gdyż dwa te ostatnie przedmioty wciąż były potrzebne, i na rozmaite służyły użytki.

Dziewczęta szły także do lasu dla uzbierania kwiatów; inne niosły do rzeki naczynia z dyni i łupiny orzechów kokosowych, i wygładzały je, trąc w wodzie gładkimi kamieniami. Jednem słowem zawsze jakoś umieli czas sobie zapełnić.

Ja również w najrozmaitszy sposób przepędzałem przedpołudnie; to zaglądałem do chat, pewny wszędzie serdecznego przyjęcia, to zwiedzałem zarośla, wybierając miejsca cieniste, a zawsze towarzyszył mi Kory-Kory i otaczały gromady wesołych krajowców. Gdy się zmęczyłem, lub nie miałem chęci włóczyć się dłużej, wówczas przyjmowałem jedno z licznych zaproszeń, wchodziłem do gościnnego domostwa, wyciągałem się na macie, i przepędzałem czas już to przyglądając się zajęciu otaczających, już to biorąc udział w ich zatrudnieniach. Ile razy mi się to zdarzyło, dzieci wpadali w zachwyt, a każdy ubiegał się o zaszczyt, żeby mnie czegoś nauczyć.

Za nadejściem pory obiadowej ściągali się domownicy, i najgłębsza cisza zalegała dolinę; wszyscy leżeli pogrążeni w głębokim śnie; trwało to półtoręj godziny, a niekiedy i dłużej. Przespawszy się znów zapalali fajki, a tymczasem robiono już przygotowania do obiadu. Ja, od czasu polepszenia się mego zdrowia, jadałem zawsze w *Ti* z Mehewim i innymi naczelnikami, którzy byli mi bardzo radzi, i przyjmowali, jak tylko mogli najwspaniałej. Pomiedzy innemi przysmakami, Me-

hewi kazał podawać codziennie, widocznie dla uczczenia mnie, pieczone prosię. Lubiłem bardzo przebywać w tej siedzibie głównego naczelnika, czyli raczej króla Mehewi. Żadna kobieta nie miała tam przystępu, wojownicy przeto oddawali się swobodnej wesołości. Niekiedy zgromadzała się wielka liczba wesołej, gadatliwej starszyny. Godzinami całymi siedzieli na matach, gawędzili, palili fajki, jedli poi-poi lub spali.

Często musiałem na żądanie Mehewiego i jego przyjaciół śpiewać piosenkę, którą napróżno usiłowali naśladować; słuchali jej zawsze z równym zachwytem, gdyż krajowcy mają wprowadzić rodzaj *recitativa*, ale właściwy śpiew nieznany im zupełnie. Wiele radości sprawiało im także boksowanie, które uważali za sztukę wojenną, białym tylko właściwą. Żaden krajowiec nie chciał stanąć ze mną do walki, musiałem się więc bić z cieniem, i naturalnie, zawsze go zwyciężałem. Niekiedy w zapędzie, rozdając zapalczywe ciosy na prawo i na lewo, wpadałem w tłum widzów, i niewymowny sprawiałem między nimi popłoch; rozpraszali się na wszystkie strony, z wielką uciechą Mehewiego, naczelników i całego zgromadzenia.

Przepędziwszy większą część popołudnia w tej miłej ustroni, o chłodzie wieczornym odbywałem często z moim Kory-Kory przejażdżkę wodną po niewielkiem jeziorze, albo kąpałem się w rzece z innymi krajowcami, których o tej godzinie zawsze zastać tam było można. Gdy cienie nocy rozkładać się zaczynały, każdy wracał pod dach swego domostwa, zapalano świecę *) i czas przechodził na gawędzie lub opowiadaniu roz-

*) Dziwnego rodzaju są świece mieszkańców tej doliny. Przywiązują do łyka drzewnego jądra pewnego rodzaju orzecha, podobne-

maitych historii; dziewczęta niekiedy tańczyły przed domem przy świetle księżyca. Regularnie co wieczór gromadzili się wszyscy mieszkańcy, i siedząc na matach wypowiadali chórem pewien rodzaj monotonnego *recitativa*, przyczem każdy trzymał w ręku dwa kijki, i akompaniował sobie, uderzając zwolna jeden o drugi. Trwało to godzinę przynajmniej; na mnie śpiew ten przykre sprawiał wrażenie. Trudno mi było dojść, czy to była rozrywka, czy też obrządek religijny; może wspólna modlitwa wieczorna.

Potem kładli się wszyscy na matach, i zasypiali na czas krótki; przebudziwszy się, nanowo zapalali świecę, i zasiadali do trzeciego posiłku, składającego się już teraz tylko z poi-poi. Następnie fajka obeszła kolej, a po fajce zabierano się do wielkiej czynności, to jest, do snu nocnego. Sen u mieszkańców wysp Markizów, możnaby nazwać wielką sprawą życia, gdyż znacznie większą część czasu przepędzają w jego objęciach, a dla wielu z nich życie nie jest niczem innem, tylko często przerywaną drzemką.

go do naszych dzikich kasztanów, a zwanego „amer” w mowie krajowców. Świece te długie są często osiem do dziesięciu stóp, i tak giętkie, że jeden koniec jest zwykle zwinięty, gdy drugi się pali. Jądro wydaje wahający się, błękitnawy płomyk, i pali się przez 10 minut. Gdy jedno spłonie, zapala się drugie, najbliższe, a popiół pierwszego strząsają w przygotowaną na to łupinę orzecha kokosowego. Pomysłowe te świece bezustannej wymagają uwagi, i muszą być trzymane w ręku. Osoba, która bierze na siebie ten obowiązek, rachuje czas po ilości spalonych jąder, a pewną ma pod tym względem wskazówkę, gdyż potrzebuje tylko policzyć płatki tappa, poprzyklepane między orzechami.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Przerażające odkrycia.

Raz przechodziłem koło gęstych zarośli z nieodstępnym moim towarzyszem; dziwny jakiś szmer zwrócił moją uwagę: wszedłem w gęstwinę, i ujrzałem po raz pierwszy, jak się odbywa dzieło tatuowania. Na ziemi leżał człowiek wznak, i widocznie siłił się, żeby zachować spokój zupełny, pomimo to przecież, kurczące się od czasu do czasu mięśnie twarzy, wskazywały wyraźnie, że cierpiał ból gwałtowny. Męczyciel, pochylony nad nim, pracował jak rzeźbiarz dłutem i klepał. W jednej ręce trzymał krótki, cienki pręcik, zakończony zębem ludojada, i pobijał go pewnym rodzajem młotka drewnianego; tym sposobem robił na skórze nacięcia, i napszczał je farbą, w której maczał narzędzie. Płyn, mieszany na soku roślinnego i popiołu, stał na ziemi w łupinie orzecha kokosowego. Na brudnym gałganie tappa rozpostarte były rozmaite, grubsze i cieńsze narzędzia z kości i drzewa, służące do tatuowania.

Mistrz, który założył tu swą pracownię, tak był zatopiony w swém dziele, że nie spostrzegł z razu naszego zbliżenia się, przez chwilę więc mogłem swobodnie przyglądać się jego pracy. Spostrzegł mnie nareszcie, i był pewny, że ja szukam go

właśnie, ażeby również korzystać z jego sztuki; pochwycił mnie uradowany, i chciał natychmiast przystąpić do dzieła. Jakież było jego zdziwienie, gdy mu dałem do zrozumienia, że się myli. Po chwili jednak ochłonął; nie mógł uwierzyć moim zapewnieniom: porwał narzędzia, i tuż przy twarzy mojej kreślić zaczął linie idealne, obmyślając już naprzód, jak pięknie mnie przyozdobi; z uczuciem prawdziwego artysty, co chwila głosnemi wykrzyknikami objawiał swą radość i podziw. Przestraszony myślą, że tak szkaradnie mogę być oszpecony, usiłowałem wydobyć się z rąk tego potwora, tém bardziej, że Kory-Kory, podzielał jego zdanie, i nalegał gorąco, żebym uczynił zadosyć życzeniom Kaky. Opierałem się całą siłą: sztukmistrz wpadł prawie w rozpacz, tak pragnął uwiecznić swój talent na białej skórze. Wreszcie gniew i strach dodał mi siły: wyrwałem się, i uciekałem co tchu do domu Marcheja, ścigany przez wzburzonego artystę, który pędził za mną ze swemi instrumentami. Kory-Kory w końcu zastąpił mu drogę, i przeszkodził dalszemu pogoni.

Wypadek ten otworzył mi oczy na nowe, grożące mi niebezpieczeństwo; lękałem się, że w nieszczęśliwej jakiejś godzinie zostanę tak oszpecony, że nie będę się mógł już pokazać w świecie cywilizowanym, chociażby się zdarzyła ku temu sposobność. Troska ta zwiększyła się jeszcze, gdy w parę dni potem, niezawodnie za poduszczeniem sztukmistrza, Mehewi i inni naczelnicy wyjawili swoje życzenie, żebym się dał tatuować. Dałem poznać Mehewiemu nieprzełamany mój wstręt do tego, i wpadłem w takie oburzenie, że naczelnik patrzył na mnie w najwyższym zdumieniu. Widocznie przechodziło to jego pojęcie, jak rozsądny człowiek opierać się może tak cudownemu przyozdobieniu. Po jakimś czasie znów próbował

mnie zachęcić; spochmurniał, widząc nieprzeparty mój upór. Po raz trzeci ponowił swoje żądanie z wielkim naciskiem; widziałem już, niestety! że nie uniknę swego losu; chcąc zatem uratować twarz przynajmniej, oświadczyłem, że gotów jestem dać sobie porysować ramiona. Mehewi bardzo był uradowany; winshawał sobie, że wykręcę się tym sposobem, gdy nagle dał mi do zrozumienia, że naturalnie, najprzód twarz moja podlega musi operacyi. Byłem w rozpacz. Widziałem jasno, że tylko zupełna ruina mego oblicza, do czego przeważnie dążył sztukmistrz, zadowolni Mehewiego i innych naczelników. Jedyną było mi pociechą, że zostawiono mi wybór modelu. Zapewniał mnie Mehewi, że wolno mi będzie, na wzór mego służącego, kazać sobie narysować trzy kresy prostopadłe, albo poprzeczne, albo, jeżeli chcę zostać prawdziwym dworzaninem, mogę pomalować twarz podług modelu najwyższego naczelnika, a zatem mogę nosić emblemat wolnych mularzy, w postaci pełnego znaczenia trójkąta. Z oburzeniem odrzuciłem obydwie te wzory; naczelnik, widząc rozpaczliwy mój wstręt do téj ozdoby, przestał wreszcie nalegać.

Nie była to jednak sprawa skończona. Kilkakrotnie jeszcze spotykałem strasznego rzeźbiarza w różnych częściach doliny, a skoro tylko mnie spostrzegł, pędził ku mnie i ponawiał swoje próby nad moją twarzą dłutem i młotkiem; paliło go pragnienie popisania się ze swoją sztuką na mojej skórze. Jakąż karykaturę zrobiłby ze mnie! Inni krajowcy również nie dawali mi pokoju; nie przeszedł dzień, żeby mi nie dokuczyli swemi namowami; życie mi się przykrzyło, wszelkie piękności doliny straciły dla mnie powab, i obudziło się w duszy mojej większe jeszcze pragnienie wydobywania się ztąd jak najprędzej.

Do téj obawy bezustannéj przyłączyło się jeszcze drugie złe: noga moja nagle wróciła znów do dawnego stanu; groźniejsze nawet, niż przedtém objawiały się symptomy. Teraz byłem już przekonany, że nie wrócę do zdrowia bez pomocy lekarskiej. Tak blisko, po drugiej stronie gór, które mnie otaczały, mogłem znaleźć tę pomoc, a przecież była mi wzbronioną. Myśl ta przygnębiała mnie niewymownie. Męczeństwo moje zdwoiły jeszcze dwa straszne odkrycia, które zrobiłem w tym czasie.

Wspominałem już, że w domu Marcheja, zawieszane były u pułapu jakieś paczki owinięte w tappa. Większą część tych pak widziałem w rękach domowników, i w mojej obecności przeglądane były zawarte w nich przedmioty. Trzy jednak paczki, wiszące nad moją matą, dziwnym kształtem zwracały nieraz moją uwagę. Prosiłem niekiedy Kory-Kory, żeby mi pokazał, co w nich jest, ale odmawiał stanowczo, jakkolwiek usłużny w każdym innym razie. Dnia jednego niespodzianie wróciłem z Ti; nagle ukazanie się moje wielki sprawiło zamęt. Wszyscy siedzieli na matach; jednym rzutem oka dostrzegłem, że właśnie spuszczone były owe trzy tajemnicze paczki. Jawne pomieszanie dzikich na mój widok, nie zwiastowało mi nic dobrego, i obudziło we mnie chęć odkrycia tak pilnie strzeżonej tajemnicy. Pomimo, że Marchejo i Kory-Kory usiłowali mnie zatrzymać, przedarłem się do środka, i ujrzałem trzy głowy ludzkie, które spieszenie zawijano napowrót.

Jedną szczególniej widziałem wyraźnie; doskonale była uwędzona i miała pozór suchej, twardej głowy mumii. Dwa długie sploty zwinięte były na środku; tak zapewne układał je za życia właściciel téj głowy. Dwa rzędy błyszczących zębów, w jamach ocznych owalne kawałki muszli perłowej,

w których środku czarne porobiono punkciki, tém straszniejszy nadawały jej wyraz. Dwa z tych wstrętnych trofeów były głowami krajowców, ale trzecia, dostrzegłem z przerażeniem, była głową człowieka białego. Szybko usunęli ją z mych oczu, jednym jednak spojrzeniem przekonałem się, że się nie mylił. Wielki Boże! jakież przerażające myśli owładnęły moją duszę! Może to była głowa Tobiego! Miałem chęć rozerwać tę paczkę, ażeby raz już przekonać się dowodnie; ale nim oprzytomniałem, zawinięcia podciągnięte w górę, wisały znów nad moją głową. Otoczyli mnie krajowcy, i hałaśliwie starali się przekonać, że to były głowy zabitych w boju Happarów. Jawne to kłamstwo zwiększyło jeszcze mój przestach, i uspokoiłem się dopiero cokolwiek, gdy przypomniałem sobie, że widziałem też same paczki jeszcze przed zniknięciem Tobiego.

Pomimo to okropne owo odkrycie śmiertelną napełniło mnie trwogą. Bez wątpienia widziałem głowę jakiegoś niešťczęśliwego, którego dzicy zabili podczas pełnej niebezpieczeństwa wymiany towarów. Myślałem ze drzeniem, jaki los spotkał jego ciało. Czy i mnie takież sam czekał koniec? Umrę więc tak jak on, zostanę pożartym, a głowę moją zawieszą na pamiątkę tej uczty! Wyobraźnia biegła w przyszłość straszliwą, starałem się jednak ukryć te myśli w obec krajowców.

Nie wierzyłem wprawdzie zapewnieniom Typich, że nigdy nie jedzą mięsa ludzkiego; przez czas jednak trzymiesięcznego mego pobytu w dolinie, nic nie dostrzegłem, coby mnie wprowadziło na ślad tego wstrętnego zwyczaju: sądziłem więc, że to przytrafia się bardzo rzadko, i że nie będę może świadkiem tego widoku. Ale, niestety! zawiodła mnie wkrótce i ta nadzieja.

W tydzień może po owém odkryciu, znajdowałem się w Ti, gdy nagle rozległy się krzyki: „Happar! Happar!“ Krajowcy pochwycili oszczepy, i wybiegli pędem; znakomitsi naczelnicy uzbroili się w owe muszkiety, oparte o ścianę, i znikli wszyscy w zaroślach. Inni krajowcy przebiegali koło zabudowania, i przerzynając dolinę, spieszyli ku góróm Happar.

Nagle usłyszałem głośny wystrzał z muszkietu, a po nim dzikie wycie. Kobiety, zgromadzone w zaroślach, podniosły straszny, długi krzyk. Był to przy mnie drugi napad Happarów na dolinę Typi. Pierwszym razem, bój trwał kilka godzin, a słyszałem cztery tylko wystrzały z muszkietu; przypomniało mi to sposób, w jaki sułtan Soliman, przy oblężeniu Byzancyum posługiwał się ciężką swą artyleryą; teraz doszło mego ucha przeszło piętnaście wystrzałów. Poprzednio Typi odparli wprawdzie nieprzyjaciół, ale nie przynieśli z sobą żadnych trofeów wojennych: teraz powrócili z łupami. Gdy bój ucichł, w godzinę lub dwie, dolina zabrzmiała śpiewami tryumfalnemi; zwiastowały one powrót wojowników. Stanałem z moim stróżem koło ogrodzenia pi-pi, i czekałem; gromada krajowców, dzikie wydając okrzyki, wychyliła się z zarośli. W środku postępowało czterech mężów, oddalonych od siebie na osiem do dziesięciu stóp; na ramionach nieśli długie drągi, na których, przymocowane łykiem, wisały trzy jakieś długie, wazkie przedmioty, starannie obwinięte w świeżo zerwane gałęzie bambusowe i liście palmy. Na tych przedmiotach, równie jak i na nagiem ciele dźwigających je wojowników, widne były tu i owdzie szerokie plamy krwi. Jeden z dwóch naprzód idących, miał głęboką ranę na ogolonęj głowie; jasnej barwy tatuowanie na jego ciele pokryło się krwią i kurzem, dziko przewracał pałającemi od gorączki oczyma: cała jego posta-

wa zdradzała ból gwałtowny; znać było, że zbierał wszystkie siły, żeby nie upaść pod ciężarem. Podtrzymywała go ambicja i niepomiarowa siła woli, szedł dalej, a tłum dokoła dodawał mu odwagi radosnymi okrzykami. Trzej inni lekkie ponieśli rany na rękach i na piersiach, i usiłowali chępliwie zwrócić na nie uwagę. Kory-Kory powiedział mi, że ci czterej mężowie odznaczyli się w boju, przyznano im więc zaszczyt niesienia ciał zabitych nieprzyjaciół.

Mehewi szedł obok tych bohaterów. W jednej ręce nioś muskiet, przy którym wisiał woreczek płócienny z prochem, w drugiej krótki oszczep, na który spoglądał z radością. Oszczep ten wyrwał sławnemu jakiemuś Happarowi: nieprzyjaciół stehórzył tym razem i uciekał haniebnie, a Mehewi ścigał go aż za góry. Pochód zbliżał się już do Ti, gdy nagle wojownik z zranioną głową, a był nim jeden z naczelników imieniem Namoni, zachwiał się, potoczył, i upadł; nim się to jednak stało, przyskoczył szybko inny krajowiec, i pochwycił drąg z ramion upadającego.

Tymczasem tłum, krzycząc i potrząsając oszczepami, z których niejeden był uszkodzony i połamany, zbliżył się do miejsca, gdzie się znajdowałem. Stanęli przed Ti; niezmiernie ciekawy byłem widzieć, co dalej będzie, ale mój służący, który się był oddalił na chwilę, przybiegł spiesźnie, i powiedział mi, żebym wracał z nim do domu Marcheja. Opierałem się; Kory-Kory nastawał gwałtownie z wielkim moim zdziwieniem. Nie usłuchałem go przecież, i usunąłem się od niego. Nagle ciężka jakaś dłoń spoczęła na moim ramieniu: odwróciłem się, i spostrzegłem olbrzymią postać naczelnika Momo, który wysunął się z tłumy, i szedł do nas na pi-pi. Rozdarty oszczepem policzek, nadał szkaradnej jego, utatuowanej twarzy,

przedtem jeszcze pozbawionej jednego oka, wstrętniejszy i straszniejszy niż zwykle wyraz. Milcząc, gniewnie wskazał ręką na ścieżkę, prowadzącą do domu Marcheja; jednocześnie Kory-Kory nadstawił mi plecy. Nie przyjąłem jego pomocy, powiedziałem jednak, że jestem gotów oddalić się, i z wolna okrążać zacząłem ogrodzenie, rozmyślając, co spowodować mogło podobne ze mną postępowanie. Zapewne dzicy wyprawiają sobie straszną ucztę, i nie chcą, żebym był świadkiem tego niehumanitarnego obrządku. Zszedłem z pi-pi, i oddaliłem się z moim towarzyszem; na ten raz Kory-Kory nie okazywał mi jak zawsze litości; przeciwnie, bez względu na moją chorą nogę, wciąż naglił do pośpiechu. Przechodząc przez tłum Ti otaczający, spojrzałem z trwożną ciekawością na trzy paki, złożone już na ziemi.

Nazajutrz, zaledwie słońce wzniosło się w górę, odgłos bębnow *) rozległ się w dolinie, jak gdyby olbrzymia wkroczyła do niej armia. Bębnienie to słyszałem tylko podczas wielkiej u nich uroczystości, nie wątpiłem przeto, że dzicy wyprawiają sobie ową straszną ucztę. Mieszkańcy naszego domu, z wyjątkiem Marcheja, Tinor i Kory-Kory, przywdziali świąteczny strój, i poszli w kierunku gajów tabu. Jakkolwiek wiedziałem naprzód, że odmówną otrzymam odpowiedź, zaproponowałem jednak mojemu stróżowi zwykłą, ranną przechadzkę do Ti. Kory-Kory słyszeć nawet o tém nie chciał: odmówił stanowczo; ponowiłem moje żądanie z pewnym uporem; powiedział mi, że za nic na to nie pozwoli, i, żeby mnie odwrócić

*) Bębny te złożone były w twierdzy Hulaj-Hulaj. Wydrażony pień drzewa obciążają skórą ludojada, a młodzieńcy z całej siły uderzają dłonią w tę skórę.

od téj myśli, przypomniał mi kąpiel. Poszliśmy do rzeki. Za powrotem ujrzałem, zdziwiony, wszystkich domowych spokojnie siedzących na matach, chociaż bębny huczały jeszcze przed gajami tabu.

Kory-Kory pozwolił mi wprawdzie użyć tego dnia przechadzki, ale skierował się w stronę przeciwną Ti; ile razy spojrzałem nawet w stronę owego zabudowania, towarzyszył mi mój wołał natychmiast: „tabu! tabu!“ pomimo, że Ti oddalone było o pół godziny drogi przynajmniej, i zasłonięte drzewami i krzewami. Wstępowaliśmy do wielu domów; wszędzie krajowcy leżeli spokojnie, lub zajmowali się lekką jaką pracą, jakby nic nie zaszło nadzwyczajnego, ale nie spotkałem ani jednego naczelnika lub wojownika. Pytałem się wielu, czemu nie należą do uroczystości? Odpowiedzieli mi, że tylko naczelnicy biorą w niej udział, i żeby mi to jaśniej dać zrozumieć, wymieniali imiona całej starszyny. Jednym słowem, wszystko utwierdzało mnie w podejrzeniu, co do rodzaju uczty wyprawianej w téj chwili. Słyszałem często podczas mego pobytu w Nukahiwie, że do tego rodzaju obrządku nie należy nigdy całe plemię tylko naczelnicy i kapłani; wszystko więc składało się na to, żeby podejrzenie moje zamienić w pewność. Huk bębna rozlegał się cały dzień, i niewysłowione budził we mnie przerażenie.

Cicho było następnego poranku: żaden niezwykle gwar słyszeć się nie dał: skończona już zapewne uczta barbarzyńska. Ciekawy dowiedzieć się, czy w Ti, lub jego zabudowaniach nie pozostał jaki ślad pewną dający wskazówkę, zaproponowałem, żebyśmy tam poszli. Kory-Kory, zamiast odpowiedzi, wskazał palcem na słońce, które tylko co się podniosło, potem na horyzont, co miało znaczyć, że aż do południa

wzbroniony nam przystęp do tego miejsca. Zaraz po południu udaliśmy się do gajów tabu; trwożliwie spoglądałem dokoła, gdyśmy tam weszli, chcąc się dopatrzeć śladu wczorajszego bankietu, ale wszystko w zwykłym było porządku. Mehewi i inni naczelnicy siedzieli na matach, i przyjęli mnie bardzo uprzejmie i przyjacielsko. Ani jednym słowem nie wspomnieli o wypadkach dni ostatnich; ja, naturalnie, również nie naruszałem téj kwestyi.

Niedługo zabawiwszy, pożegnałem się; przechodząc wzdłuż ogrodzenia pi-pi, spostrzegłem dziwny jakiś statek drewniany, znacznej wielkości, kształtu łódki; przykryty był wiekiem drewnianym i opleciony trzcina bambusową. Za ostatniej bytności mojej w Ti nie widziałem tego naczynia, przyszło mi więc na myśl, że musi ono mieć jakiś związek z ucztą wczorajszą, i szybko uniosłem nieco wieko — zajrzałem wewnątrz. Spostrzegli to naczelnicy, i zakrzyknęli jednocześnie: „Tabu! tabu!“ Ale dostateczny mi był jeden rzut oka. Wzrok mój padł na rozrzucone członki świeżego ludzkiego szkieletu; gdzieś niegdzie mięso wisiało jeszcze przy kościach. Kory-Kory szedł naprzód; usłyszawszy wołanie naczelników, zwrócił się nagle, i mógł jeszcze widzieć przerażenie malujące się na mojej twarzy. Poskoczył ku mnie, i zawołał, wskazując na naczynie: „Puaki! Puaki!“ (świnia!) Udając, że mu wierzę, powtórzyłem kilkakrotnie ten wyraz. Inni dzicy, czy to zwiedzeni mojem zachowaniem się, czy też nie chcąc pokazywać gniewu o to, co się już stało, i czemu zaradzić nie byli w stanie, pominęli jakoś ten wypadek. Jak najspieszniej oddaliłem się z tego miejsca strasznego.

Nie spałem téj nocy. Jak najdokładniej przekonałem się więc o przerażającej prawdzie! W jakże okropnym znajdowałem się położeniu! Ratować się ucieczką? Rzecz niemożliwa!

Ani na chwilę nie zostawiano mnie samego, wtenczas nawet, gdy przechodziłem z jednego domu do drugiego. Niemalą także była mi zawadą chora moja noga. Myślałem o Marnu: czy on nie pomoże mi wyrwać się z niewoli? Ale czyż zjawi się kiedy jeszcze w dolinie? a jeżeli przyjdzie, czy pozwoli mi z nim mówić? Potém przyszli mi na myśl Francuzi, którzy zapewne niebawem ukaza się w zatoce Typi. Gdyby postawili w dolinie jaki oddział wojska, dzicy nie zdołaliby ukryć przed nimi mojej obecności. Lecz zkadże nadzieja, że ludożercy oszczędzą mnie do tego czasu? Bóg tylko mógł mnie ratować! Jemu w gorącej modlitwie oddałem się z ciałem i duszą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Drugie odwiedziny Marnu.

„Marnu, Marnu idzie!“ rozległo się upragnione przezemnie wołanie, w dziesięć dni może po wyżej opowiedzianych zdarzeniach. Postanowiłem ostatnią zrobić próbę, ułożyć z przybyszem choćby rozpaczliwy plan ucieczki. Oby tylko chciał mi dopomódz! Przyszła mi na myśl ostatnia, surowo i gwałtownie przerwana rozmowa nasza; gdy wszedł do domu, wyczekiwałem z obawą, jak też będzie przyjęty? Nad moje spodziewanie powitano go z najżywszą radością; usiadł swobodnie obok mnie, przemówił kilka słów przyjaznych, i zwrócił się do krajowców. Tym razem nie przynosił żadnych ważnych wiadomości; powiedział mi, że przyszedł z Pujaka, swojej ojczyzny, i, że dziś jeszcze myśli wrócić do domu.

Gdybym mógł pod jego opieką schronić się do téj doliny! Ztamtań, wodą, łatwoby mi było dostać się do Nukahiwy. Powiedziałem mu to w kilku wyrazach, i pytałem, jakby to można uskutecznić? Ale Marnu odpowiedział mi łamanym angielskim językiem: „Typi nie dać wam nigdzie iść! Dlaczego wy nie chcecie tu zostać? Dużo spać, jeść dużo! O, Typi bardzo dobre miejsce! Jeżeli się wam nie podoba ta dolina, poco

wy tu przyjść? Czy wy nie słyszeć o Typich? Biali ludzie bać się Typich, i nigdy tu nie przychodzić!“

Słowa te przygnębiły mnie jeszcze bardziej; opowiedziałem mu powtórnie, jakim sposobem dostałem się tutaj: wystawiłem mu cierpienie moje, ażeby wzbudzić jego współczucie; słuchał mnie niecierpliwie, i przerwał gwałtownie: „Ja nie chcę was słuchać dłużej, Typi popaść w wściekłość, zabić was i mnie. Czy wy nie widzieć, że oni nie chcą, żeby wy mówić do mnie? Jak wy będziecie wyzdrowieć, oni was zabić, zjeść, waszą głowę powiesić tam, jak wojowników Happarów! Teraz wy słuchać, ale nic nie mówić. Ja wkrótce będę pójść, wy patrzeć, dokąd ja będę pójść, ach! wtenczas jednej nocy, wszyscy Typi spać, wy uciec, wy przyjść do Pujaka. Ja mówić z Pujaka, oni wam nie zrobić źle, ach! wtenczas ja was w mojej łódce przewieźć do Nukahiwa, a wy nigdy już nie uciekać z okrętu!“ Powstał, i wdał się w rozmowę z kilku naczelnikami, którzy weszli do chaty.

Próżno byłbym usiłował zawiązać znów rozmowę, przerwana tak stanowczo; chwyciłem się chciwie rzuconej mi myśli, i postanowiłem wykonać ją najprędzej, jak można. Gdy Mar-nu wychodził, wyprowadziłem go przed dom z innymi krajowcami, ażeby zauważyć, którą pójdzie ścieżką. Nim zesko-czył z pi-pi, podał mi rękę, spojrzał na mnie znacząco, i zawo-łał: „Teraz wy patrzeć, jeżeli wy zrobić, co ja mówił, ach! wtenczas wy zrobić dobrze: jeżeli wy tak nie zrobić, ach! wtenczas wy umrzeć!“ Skinął krajowcom oszczepem na po-żegnanie, i ruszył ścieżką ku drodze dosyć przestronnej, wio-dącej koło gór granicznych od ziemi Happarów; wkrótce znikł mi z oczu.

Miałem przeto w ręku plan ucieczki, ale jak go wprowa-dzić w wykonanie? Nawet podczas snu, otaczali mnie kra-jowcy, i najłżejsze moje poruszenie zdawało się budzić ich baczność. Pomimo to, stanowczo przedsięwziąłem spróbować. Nie znając drogi i z chorą moją nogą, musiałbym o dwie go-dziny przynajmniej uprzedzić pogoń: w nocy więc tylko mo-głem zrobić tę próbę.

Do domu Marcheja wchodziło się przez wązki otwór, zo-stawiony w ogrodzeniu. Otwór ten zasuwano, idąc na spoczy-nek, pewnym rodzajem ciężkich drzwi z cienkich okraglaków. Jeżeli kto wychodził, łoskot tych drzwi przebudzał uśpionych. Przeszkodę ową zamyslałem usunąć następnym sposobem: umyśliłem wstać w nocy, usunąć drzwi, wyjść i niby napić się wody z naczynia, które zawsze stało w jednym rogu pi-pi; po-tém wrócić, zostawić drzwi nieco uchylone, spokojnie położyć się na macie, i czekać dopóki znów wszyscy nie zasną; liczy-łem na lenistwo krajowców; pewnie żadnemu nie będzie się chciało wstać, żeby drzwi zasunąć: tym przeto sposobem będę mógł wysliznąć się, i puścić się drogą do doliny Pujaka.

Odbyłem próbę pierwszej zaraz nocy po odwiedzinach Mar-nu. Około dwunastej podniosłem się, i usunąłem drzwi. Zbu-dzili się krajowcy, jak to przewidziałem, a niektórzy zapytali mnie: „Dokąd idziesz, Tomo?“ — „Wody!“ odrzekłem lako-nicznie, i pochwyciłem naczynie z dyni. Pokładli się znów, a ja wróciłem na moją matę, oczekując w niepokoju skutku méj próby. Zdawało się, że napowrót wszyscy usnęli; gdy zu-pełna zapanowała cisza, chciałem wstać, gdy nagle posłysza-łem szmer lekki; ciemna jakaś postać zbliżyła się do otworu, zasunęła drzwi i cicho wróciła na swoje posłanie. Był to ciężki dla mnie cios; nie mogłem już téj nocy nowój przedsięwziąć

próby, żeby nie obudzić podejrzenia. Kilka razy jeszcze ponawiałem swój wybieg, ale zawsze na próżno; w końcu Kory-Kory co wieczór stawiał przy mnie naczynie z wodą. Nie zaprzestałem jednak swoich usiłowań, ponawiałem je pod różnymi pozorami, ale teraz służący mój wstawał razem ze mną: nie spuszczał mnie z oka ani na chwilę. Musiałem uspokoić się na czas jakiś, uśpić wzniecone podejrzenie, i czekać pory sposobniejszej. Pocieszałem się nadzieją, że może przecież uda mi się ucieczka.

Niedługo po odwiedzinach Marnu, choroba mojej nogi wzmogła się tak, że z trudnością mogłem chodzić, wspierając się nawet na oszczepie, i Kory-Kory, jak przedtém, codziennie zanosić mnie musiał do rzeki. Godzinami całemi leżałem na macie w najgorętszej porze dnia, a gdy wszyscy naokoło spali spokojnie, ja, z ciężkim sercem, rozmyślałem o straszném mém położeniu, z którego nie widziałem już wyjścia. Choćby mnie nawet nie spotkała straszna, gwałtowna śmierć, to może przyjdzie mi pozostać na zawsze na téj wyspie, zdala od stosunków z światem cywilizowanym, zdala od ojczyzny, krewnych i przyjaciół, którzy oplakują pewnie mój los, i wtenczas, gdy mnie już nie będzie, oczekiwać będą powrotu mojego! Myśli te coraz głębszym przejmowały mnie smutkiem.

Żywo stoją mi jeszcze w pamięci przedmioty, na których wzrok mój spoczywał w tych długich dniach cierpienia. Na moją prośbę słano mi zawsze maty naprzeciwko otworu wchodowego: o kilkanaście kroków stała chata z gałęzi, którą budował Marchejo; patrzyłem na każde poruszenie dziwnego starca. W gorących godzinach południa, gdy inni spoczywali, on pracował w ciszy; usiadłszy w cieniu, splatał liście orzecha kokosowego, lub darł w wąskie pasy i zwijał łyko, którym wią-

zał dach swojej chatki. Często, gdy widział zwrócone na siebie tęskne moje spojrzenie, przerywał robotę, wznosił rękę z wyrazem głębokiej litości, wolno zbliżał się do domu, i wchodził na palcach, ażeby nie przebudzić śpiących. Siadał przy mnie, a wzięwszy mi z ręki wachlarz, poruszał nim łagodnie, patrząc mi w twarz badawczo.

Z drugiej strony pi-pi przed domem stały w trójkąt trzy przepyszne drzewa chlebowe. Dziś jeszcze wśród gwaru i ruchu dumnego i wielkiego miasta, zdaje mi się często, że widzę owe drzewa wysmukłe, na których wzrok mój spoczywał w godzinach samotnego rozmyślenia, i słyszę cichy szmer ich gałęzi, lekkim poruszanych wiatrem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Oswobodzenie.

Tak upłynęło trzy tygodnie od ostatnich odwiedzin Marnu; już cztery miesiące znajdowałem się w dolinie, gdy dnia jednego, w ciszy południowej, nagle ukazał się we drzwiach jednooki naczelnik Momo, i pochyliwszy się ku mnie, powiedział: „Tobi przybył!“ Gwałtowna burza uczuć powstała w mej duszy! Zapominając o dręczącym mnie bólu, poskoczyłem, i wołać zacząłem na mego stróża, który spał obok. Wszyscy pozrywali się z mat, powiedziano im, o co idzie, i po chwili Kory-Kory dźwigał mnie w kierunku Ti, otoczony wzruszonym tłumem.

Ze wszystkiego, co Momo przez drogę opowiadał krajowcom, mogłem tylko zrozumieć, że od tak dawna już zaginiony mój towarzysz, zawinął przed chwilą do odnogi. Prosiłem, żeby mnie natychmiast zanieśli na brzeg morza, lękałem się bowiem, żeby jaka nieprzyjemna okoliczność nie przeszkodziła zejściu się naszemu. Nie chcieli zrobić tego otaczający mnie krajowcy, i spieszyli do mieszkania głównego naczelnika. Gdyśmy się zbliżyli do zabudowania, Mehewi i inni naczelnicy ukazyli się na werendzie, i wołali, żebyśmy tam przyszli. Dałem im do zrozumienia, że chcę być zanieiony nad morze na spotkanie Tobiego. Mehewi sprzeciwił się temu, i skinął, żeby

Kory-Kory wniósł mnie do domu. Opór byłby próżny, i po kilku chwilach znajdowałem się w Ti, otoczony krajowcami, którzy hałaśliwie rozprawiali o świeżej nowinie. Imię Tobiego wciąż było wywoływane z wielkim podziwem. Zdawało się zresztą, że wąpili jeszcze w rzeczywistość jego powrotu, a za każdym nowym poselstwem od strony morza, wzrastał gwar i ruch.

Odchodząc prawie od zmysłów ze wzruszenia, błagałem Mehewiego, żeby mi pozwolił iść na spotkanie przyjaciela. Czy Tobi przybył, czy nie, miałem jakieś przecucie, że dziś rozstrzygnie się mój los. Bezustannie nalegałem na Mehewiego. Patrzył na mnie wzrokiem surowym, badawczym. Wreszcie, jakby pomimowolnie skłonił się do mojego życzenia.

W towarzystwie pięćdziesięciu może krajowców puściłem się w drogę. Przesiadałem się wciąż z jednego grzbietu na drugi: podróż szła szybko, a ja ciągle jeszcze wołałem o pośpiech. Nie wolno mi się było zbliżyć do morza w ciągu całego pobytu mego w dolinie, myśl więc o morzu łączyła się u mnie zawsze z myślą ucieczki. Tobi także, jeżeli opuścił mnie dobrowolnie, musiał ująć morzem; i ja zbliżałem się do morza: najżywsza nadzieja obudziła się w mej duszy. Widocznie łódź jakaś zawinęła do zatoki, mogło więc być bardzo, że i przyjaciel mój znajdował się na niej. Z każdego wzgórza, na któreśmy weszli, rozglądałem się bacznie, czy go nie ujrzę.

Towarzysze moi biegli szybko; często schylać się musiałem, ażeby się nie zaczepić o wystające gałęzie; odbyliśmy w krótkim stosunkowo czasie dwugodzinną prawie drogę, gdyśmy spotkali gromadę krajowców, składającą się z dwudziestu może ludzi. Towarzyszący mi przystanęli, i żywą roz-

poczęli z nimi rozmowę. Niecierpliwiła mnie ta zwłoka; prosiłem człowieka, który mnie niósł, żeby szedł dalej, nie zważając na swych towarzyszy. Wtém przybiegł Kory-Kory, i powiedział mi w trzech słowach, że wieść o powrocie Tobiego była fałszywą. Jak piorun uderzyło to we mnie. Nie byłem wprawdzie całkiem nieprzygotowany na tę wiadomość, ale pragnąłem, żeby błąd nie wykrył się, nim staniemy na wybrzeżu. Wiedziałem już naprzód, jak postąpią krajowcy. Przyzwolili na prośby moje dlatego tylko, żebym prędzej mógł powitać dawno niewidzianego przyjaciela, teraz przeto niezawodnie zmuszać mnie będą do powrotu.

Sprawdziła się moja obawa. Pomimo mego oporu, zanieśli mnie do najbliższego domu, i kazali mi usiąść na matach. Ci, którzy szli ze mną odłączyli się, i pobiegli w kierunku morza. Pozostali, a byli pomiędzy nimi: Marchejo, Momo, Kory-Kory i Tinor, zgromadzili się przed domem, i zdawali się chcieć oczekiwać powrotu pierwszych. Umocniło mnie to w przekonaniu, że jacyś cudzoziemcy, może moi ziomkowie, zawinęli do zatoki. Nie zważając zatem na zapewnienia krajowców, że żadnej łodzi niema w przystani, zerwałem się, i usiłowałem wydostać się przez drzwi. Natychmiast stanęło w nich kilku ludzi; nakazali mi usiąść napowrót, a gniewny wzrok dzikich przypomnieli mi, że nic nie zrobię przemocą, że prędzej może prośbą wymódlę coś zdołam. Zwróciłem się do naczelnika Momo, jedyne, jaki się tu znajdował, i zaklinałem go, ukrywając swój cel prawdziwy, żeby mi pozwolił powitać przyjaciela mego przy morzu. Byłem głuchy na powtórne jego zapewnienie, że niema Tobiego, i wciąż, za pomocą giestykulacyi, powtarzałem swe prośby; jednooki naczelnik dał się w końcu nakłonić. Powiedział kilka słów krajowcom, którzy drzwi strze-

gli; ci ustąpili natychmiast. Chciwie szukałem wzrokiem mego służącego, ale nigdzie widać go nie było. Żeby nie tracić czasu, gdyż jedna chwila mogła być dla mnie stanowczą, skinałem na silnego młodzieńca, stojącego w pobliżu, żeby mnie wziął na plecy; ale ten, z wielkim moim zdziwieniem, otrząsnął się gniewnie. Zwróciłem się do innego, z nielepszym wszakże skutkiem. Próżna była i trzecia próba; teraz dopiero poznałem, dlaczego Momo ustąpił natarczywym moim naleganiom: wiedział, że ja sam, o własnej sile nie zajdę nad morze. Rozpacz mnie ogarniała! Nie zważając na gwałtowny ból nogi, pochwyciłem oszczep, oparty o rynnę domu, i podpierając się nim, puściłem się ścieżką ku morzu. Krajowcy patrzyli za mną spokojnie; stali wszyscy przed domem, i żywa wszczęła się pomiędzy nimi rozmowa, i coraz stawała się głośniejszą. Dostrzegłem z wielką radością, że niezgoda jakaś powstała pomiędzy nimi; utworzyły się dwie partye. Nadzieja wstąpiła mi w serce.

Zaledwie uszedłem sto kroków, znów otoczyli mnie dzicy; klócili się tak gwałtownie, że lada chwila mogło przyjść do bójk. Podczas tego zamieszania przystąpił do mnie stary Marchejo; nigdy nie zapomnę serdecznego współczucia, jakie w tej chwili w twarzy jego jaśniało. Położył mi rękę na ramieniu, i wymówił z przyciskiem dwa angielskie wyrazy, których go nauczyłem: „ojczyzna“ i „matka!“ Zrozumiałem, co to znaczyć miało, i dziękowałem mu z głębi duszy. Kory-Kory i Fayaway szli obok niego, płacząc rzewnie, i dopiero, gdy starzec po raz drugi surowo powtórzył rozkaz, Kory-Kory przezwyciężył się i wziął mnie na plecy. Naczelnik jednooki chciał temu przeszkodzić, niektórzy jednak z jego własnej partyi, jak mi się zdaje, zmusili go do milczenia.

Teraz podróż szła prędzej; niewymowna przejęła mnie radość, gdy po tak długim czasie, pierwszy raz usłyszałem huk rozbijających się bałwanów. Wkrótce fale morskie zabłysły przed memi oczami po przez gałęzie drzew. O, ty wspańiałe morze! Z jakimże zachwytem powitałem cię, jak starego, wiernego przyjaciela! Posłyszałem wyraźnie gwar tłumu, zgromadzonego nad brzegiem, i zdawało mi się, że pośród tego krzyku, dochodzą mnie pojedyncze dźwięki mowy ojczystej.

Wysliśmy na otwartą płaszczyznę pomiędzy morzem a zaroślami; pierwszy przedmiot, który spostrzegłem, była łódź angielska, w bardzo niewielkiem oddaleniu od brzegu. Obsadzona była pięciu wyspiarzami w krótkich perkalowych tunikach. Zdawało mi się zrazu, że wypływają już z zatoki: przybyłem więc zapóźno, pomimo wszelkich usiłowań. Przeląknęłem się, ale za drugim spojrzeniem przekonałem się, że łódź trzyma się przed falą nadbrzeżną, i w tejże chwili posłyszałem z pośród tłumu głos jakiś wywołujący moje imię. Spojrzałem w kierunku tego dźwięku, i zobaczyłem, z radością niewymowną, wysoką postać Karakoi, krajowca z wyspy Oahu, jednej z wysp Sandwichskich, który często przychodził na pokład okrętu Dolly podczas pobytu naszego w zatoce Nukahivy. Miał na sobie zieloną kurtkę myśliwską ze złotymi guzikami; dostał ją w podarunku od jednego z oficerów *królowej Blanki*, francuskiego żaglowego okrętu; zawsze widywałem go w tym stroju. Przypomniałem sobie teraz, co mi często powtarzał, że osoba jego jest „tabu“ we wszystkich dolinach wyspy; widok jego, w chwili tak stanowczej, prawdziwym przejął mnie zachwytem. Stał nad samym brzegiem; na ramieniu zawiesił duży kawał perkalu, w jednej ręce trzymał dwa lub trzy z grubego płótna woreczki prochu, w drugiej muszkiet. Przedmioty

te podawał kolejno kilku naczelnikom, ale wszyscy z niechęcią odrzucali te dary, i rozkazywali mu, żeby wrócił do łodzi, i oddalił się czem prędzej. Karakoi nie opuszczał swego stanowiska, i teraz dopiero spostrzegłem, że mnie to właśnie chce on wykupić. Ożywiony tą myślą, zawołałem głośno, żeby przyszedł do mnie, ale odpowiedział mi po angielsku, że krajowcy grożą mu oszczepami, jeżeli krokiem jednym ku mnie postąpi. Przez ten czas Kory-Kory niósł mnie wciąż naprzód, otoczony gęstym tłumem krajowców; niektórzy przytrzymywali mnie, i niejeden oszczep groźnie skierowany był w moją pierś; ale widziałem wyraźnie, że coś powstrzymywało tych, którzy występowali przeciwko mnie po nieprzyjacielsku: byli niezdecydowani i zakłopotani.

Już tylko ze trzydzieści kroków dzieliło mnie od Karakoi, gdy dalszy pochód powstrzymali krajowcy; zmusili mnie, żebym usiadł na ziemi, i wciąż trzymali mnie za ręce. Wrzask i hałas wzrósł do strasznych rozmiarów; zauważyłem, że wielu kapłanów nalegało na Momo i innych naczelników, żeby mnie nie puścili. Karakoi tymczasem pracował usilnie nad mojem uwolnieniem, śmiało przemawiał do krajowców, starając się ich pozyskać; pokazywał im perkal, woreczki prochu, z łoskotem podnosił i spuszczał kurek muszkietu. Ale wszystko to było próżne; krzyk wzmagał się; krajowcy zmuszali go gwałtownie, żeby się oddalił.

Dzicy niezmiernie wielką wartość przywiązywali do przedmiotów, ofiarowanych za mnie, jako wykup, a jednak w tej chwili odrzucali je stanowczo; był to nowy dowód, że postanowili niezmiennie na zawsze zatrzymać mnie w dolinie, a może w krótkim czasie wyprawić sobie ucztę z mego ciała, czego

dowodziło energiczne wdawanie się w tę sprawę kapłanów. Z rozpaczliwym wysiłkiem, nie myśląc o mogących wyniknąć ztąd skutkach, wyrwałem się tym, którzy mnie trzymali, zerwałem się, i z całych sił zacząłem biedz ku Karakoi. Dziecy podnieśli krzyk przeraźliwy, rzucili się na Karakoi, i zepchnęli go w morze. Przestraszony ich gwałtownością, Karakoi, stojąc po pas w wodzie, starał się ich uspokoić; widząc wreszcie zajadłość krajowców, skinął na swych towarzyszy, żeby się przybliżyli z łódką.

W tej strasznej chwili znikł mi z przed oczu ostatni promyk nadziei. Wtém kłótnia powstała na nowo pomiędzy dwoma partjami, które mnie tu przyprowadziły. Przyszło do bójki: krew płynąć zaczęła. Ci, którzy mnie otaczali, pobiegli połączyć się z walczącymi; pozostali tylko Marchejo, Kory-Kory i Fayaway. „Teraz albo nigdy!“ pomyślałem w duchu. Błagalnie ze złożonymi rękami spojrzałem na Marcheja, i szybko skierowałem się ku morzu. Łzy zabłyśły w oczach starca, ale nie zatrzymywał mnie ani on, ani Kory-Kory, i wkrótce stanąłem przy Karakoi, który niespokojnie badał każdy mój ruch. Wioślarze podплыnęli tak blisko, jak tylko się dało; skinięciem pożegnałem moich przyjaciół, i wskoczyłem do łodzi; Karakoi kazał natychmiast odbić od brzegu. Marchejo, Kory-Kory i wiele kobiet weszli za mną do wody; nie mogąc im dać innego dowodu méj wdzięczności, postanowiłem obdarzyć ich przedmiotami przeznaczonemi na mój wykup: muszkiet podałem wiernemu memu Kory-Kory, sztukę perkalu rzuciłem Marchejowi, wskazując przytém na Fayaway, która wróciła na brzeg, i płacząc, siedziała na kamieniu: woreczki z prochem spuściłem w ręce najbliżej znajdujących się kobiet, które pochwyciły je z radością. Podział ten nie zabrał i pół minuty. Łódź

była już w biegu. Karakoi gniewał się, że niepotrzebnie rozdałem tyle cennych towarów.

Krajowcy widzieli, co się działo, byli jednak tak zaciekli, że nie przerwali bójki; dopiero, gdy łódź oddaliła się na pięćdziesiąt łokci od brzegu, Momo wskoczył w morze, a za nim sześciu lub siedmiu innych wojowników, i zaczęli ciskać na nas oszczepami. Kilka oszczepów przeleciało tuż koło nas, ale nikt nie został zraniony, a wioślarze popychali łódź z całej siły. Oszczepy dosięgnąć nas już nie mogły, ale posuwaliśmy się bardzo wolno, gdyż wiatr nam nie sprzyjał. Karakoi, który stanął przy sterze, spoglądał często wzrokiem niespokojnym na wystający w morze odłam skały, koło którego musieliśmy przepływać.

Przez jedną lub dwie minuty, krajowcy, podzieleni na grupy, stali w milczeniu. Nagle zapalczywy Momo dał poznać, że powziął nowy plan pogoni. Zawołał głośno na swych towarzyszy, wskazał im maczugą wystający odłam skały, i puścił się ku niej szybkim biegiem. Ze trzydziestu mężów, pomiędzy którymi wielu było kapłanów, biegli za nim z dzikim krzykiem. Zamiar ich był widoczny: umyślili rzucić się w morze ze skały, i zatrzymać nas gwałtem. Wiatr, który coraz silniej dął nam w oczy, i wznoszące się w górę bałwany, niezmiernie utrudniały bieg łodzi. Gdyśmy na sto łokci może byli od skały, zajadli dziecy rzucili się w morze; lękaliśmy się, że za pięć minut otoczą nas rojem, a wówczas nie byłoby dla nas ratunku; wiedzieliśmy, że użyliby sposobu, który zgubił niejedną już łódź na tém morzu: chwyciliby za wiosła, przewróciliby łódź, i mieli by nas w swojej mocy. Obie strony ostatnie wyteżały siły; wiosła gięły się w ręku moich żeglarzy, a zacieklej rój pływaków, pomimo gwałtownego wzburzenia morza, posuwał się z przerażającą szybkością.

Gdyśmy się zbliżyli do wysoku skały, dzieci otoczyli nas dokoła. Wioślarze wyciągnęli noże, i wzięli je w zęby; ja pochwyciłem hak żelazny. Oddech zatrzymał się w mej piersi. Po kilku minutach, ujrzałem atletycznego Momo, który, trzymając w zębach maczugę, dosięgał już prawie naszej łodzi. On był najbliżej: jeszcze chwila, a pochwyci wiosło. W takiej nawet ostateczności, czułem wstręt do czynu, który zamierzałem spełnić, ale zmuszała mnie do tego potrzeba gwałtowna; wymierzyłem, i z całej siły rzuciłem hak na naczelnika. Trafiłem go w szyję: znikł pod wodą. Nie miałem czasu powtórzyć mego rzutu; spostrzegłem go znów w małym od łodzi oddaleniu; nie zapomnę nigdy strasznego wyrazu jego twarzy.

Jeden jeszcze dziki dopędził łódź: pochwycił jej brzeg, ale nasi wioślarze tak dzielnie użyli swych noży, że puścił go natychmiast, i w parę minut zostawiliśmy wszystkich na boku: byliśmy bezpieczni. Dotąd podtrzymywało mnie gwałtowne wzruszenie: teraz opuściły mnie siły; padłem bez zmysłów na ręce Karakoi.

* * *

Teraz opowiem w kilku słowach, jakie szczęśliwe okoliczności spowodowały tak niespodziane moje ocalenie. Kapitanowi jednego z australskich okrętów, wysłanego na połów wielorybów, brakło załogi okrętowej; zawinął do zatoki Nukahiva, ale tu nie mógł dostać ani jednego człowieka; chciał już odpłynąć, gdy Karakoi przyszedł na pokład, i zawiadomił go, że majtek amerykański uwięziony jest w pobliskiej dolinie Typi; ofiarował się spróbować mnie wykupić, jeżeliby mu dano potrzebne ku temu przedmioty. Karakoi dowiedział się o mojem położeniu od Marnu, który tym sposobem stał się na-

rzędziem mego uwolnienia. Kapitan przyjął propozycję, i Karakoi z pięciu krajowcami tabu z Nukahivy przybył na okręt, który w kilka minut zeglował już ku zatoce Typi. Spuszczono łódź, wsiadło na nią pięciu wyspiarzy, a okręt zatrzymał się u brzegu w pewnym oddaleniu.

Gdyśmy, po wyżej opisanych wypadkach, dostali się na ten okręt, zwany „Julia“, wniesiono mnie na pokład; wyglądałem tak dziwacznie, że wszystkich oczy zwróciłem na siebie. Wkrótce po zniknięciu Tobiego zdjąłem z siebie jedyne, jakie miałem odzienie, ażeby je zachować na czas, gdy wrócę pomiędzy ludzi ucywilizowanych, zwinąłem je, i zawiesiłem po nad matą moją u pułapu. W domu nosiłem tunikę z żółtej tappa, sięgającą od pasa aż do stóp, a gdy wychodziłem, okrywałem się obszernym płaszczem z tegoż materiału; osłaniał on całą moją postać, i chronił od promieni słonecznych. W miejsce kapelusza zrobiłem sobie pewien rodzaj czapki z liści palmowych. Do tego, przez cały czas mego pobytu między dzikimi nie używałem brzytwy, nie przeto dziwnego, że ukazanie się moje na pokładzie „Julii“ zaciekało wszystkich. Opowieść doznanych przygód wzbudziła najżywsze dla mnie współczucie; każdy ubiegał się, żeby mi przyjść z pomocą; zdrowie moje tak wiele jednak ucierpiało, że zaledwie po trzech miesiącach przyszedłem do sił.

Przez lat dwa jeszcze krążyłem po morzu Południowém. W niejaki czas po powrocie do New-Yorku, podałem do druku *) historję mych przygód i cierpień, nie spodziewając się,

*) W jednym z czasowych pism angielskich. Pismo to później ogłosiło w dodatku historję Tobiego; z niego to właśnie zaczerpnęliśmy ciekawe to opowiadanie, którem dzielimy się z czytelnikami.

ze tym sposobem odsłonię tajemnicę losu mego towarzysza, którego i inni mieli za przepadłego. Tak się przecież stało. Ogłoszenie tych przygód spowodowało mi w lecie 1846 r. mego towarzysza; niezmierną była radość nasza zobopólna, a treść ostatniego rozdziału zawiera już tylko to, co z ust jego posłyszałem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Historia Tobiego.

Wracam jeszcze do owego poranku, w którym Tobi mnie opuścił. Odszedł z wielką liczbą krajowców, do których przyłączały się coraz nowe gromady. Spieszyli naprzód, napędzając dolinę wołaniem i krzykiem, a ci, którzy podążali pierwsi, przystawali często, i potrzęsając bronią naglili pozostałych do pośpiechu. Stanęli nad odnogą rzeki, przerzynającą dolinę. W zaroślach po drugiej stronie wody, jakiś odgłos niezwykły dał się słyszeć; krajowcy zatrzymali się. To Momo, który poszedł naprzód, uderzał o wydrażony pień drzewa ciężkim swoim oszczepem; był to sygnał alarmowy, gdyż ze wszystkich stron rozległo się teraz wołanie: „Happar! Happar!“ Wojownicy wzięli oszczepy na ramię, lub wywijali niemi w powietrzu, a kobiety i dzieci zwołując się nawzajem, zbierały kamyki w łóżysku strumienia. Po kilku chwilach Momo i dwaj lub trzej inni naczelnicy wyskoczyli z zarośli; hałas zwiększył się.

Tobi nie był uzbrojony, prosił więc jednego z młodych ludzi, który mieszkał w domu Marcheja, żeby mu pożyczył oszczepu; ale ten odpowiedział mu, że oszczep potrzebny jemu samemu, a biały człowiek może walczyć pięściami. Inni podzielali wesoły humor młodego dowcipnisia; wśród okrzy-

ków wojennych wyskakiwali wesoło, i śmieli się głośno, jak gdyby bójka z Happarami była dla nich najprzyjemniejszą zabawą. Podczas gdy towarzysz mój starał się dociec, co by to wszystko znaczyło, część krajowców odłączyła się i poskoczyła w zarośla; pozostali uciszyli się, jakby oczekując skutku tej wycieczki. Po chwili, Momo, który stał na czele, skinął, ażeby w milczeniu postąpili naprzód; wykonali ten ruch tak ostrożnie i cicho, iż żaden listek nawet nie zaszeleścił. Posuwali się tak w ciągu dziesięciu lub piętnastu minut, zatrzymując się od czasu do czasu i nasłuchując.

Nie podobała się Tobiemu ta gra w chowanego; byłby wolał, żeby odrazu rozpoczęła się walka, skoro już uniknąć jej nie było można. Życzenie jego zdawało się spełniać: gdy weszli w najgęstsze zarośla, naraz ze wszystkich stron rozległo się wycie przeraźliwe, a oszczepy i kamienie posypały się na ścieżkę. Lecz nie ukazał się nieprzyjaciół, a dziwniejszemu jeszcze było to, że nikt nie został raniony, chociaż kamienie gradem padały pośród gałęzi.

Typi przystanęli i ucichli na chwilę; następnie, z oszczepami w rękach, z dzikim krzykiem rzucili się na zasadzkę. Tobie nie pozostał w tyle. Kamienie o mało mu nie zgruchotały czaszki, prócz tego miał dawną urazę do Happarów, był więc jednym z pierwszych w natarciu. Gwałtownie przedzierał się przez zarośla, usiłując przytém wyrwać oszczep z ręki jednego z młodszych dowódców, gdy nagle zamarł krzyk wojenny, i zapanowała cisza głęboka. Po niejakiem czasie krajowcy, którzy się byli odłączyli w sposób tak tajemniczy, wyskoczyli z poza drzew i krzaków, i wszyscy jednym, szalonym wybuchnęli śmiechem, któremu końca nie było.

Pokazało się, że był to figiel tylko. Tobie, ochłonawszy z gwałtownego wzruszenia, rozgniewał się widząc, że tak żartują sobie z niego, tém bardziej, że ta komedia dużo zabrała czasu, a tu każda chwila była drogą. Krajowcy, zdaje się, zwłóczyli tak umyślnie, bo i teraz nie spieszyli się już tak, jak z początku. Uszli znów znaczną przestrzeń, gdy nadbiegło dwóch ludzi; wszyscy zatrzymali się, i gwarliwa jakaś wszczęła się rozprawa; imię Tobiego często było powtarzane. Wszystko to zaciekawiało go coraz bardziej; chciał wiedzieć co się dzieje na brzegu morza; chciał biedz naprzód, lecz nie puścili go krajowcy.

Po skończonej naradzie wielu puściło się ścieżką w dół ku morzu; inni otoczyli Tobiego, i zmusili, żeby usiadł; postawiono na ziemi naczynia z jedzeniem, które wzięto z sobą, i zapalono fajki. Przez chwilę Tobie powściągał swą niecierpliwość, wkrótce jednak poskoczył nagle, i pędem puścił się ku morzu. Dopędzili go krajowcy i znów otoczyli; pozwolili mu przecieć iść dalej.

Wyszli na zieloną płaszczyznę pomiędzy lasem a morzem, tuż przy górach Happarów; wyraźna prowadziła na nie ścieżka, i gubiła się w przepaści. Łodzi wcale widać nie było; tylko gromada mężczyzn i kobiet hałasowała, jak zwykle przy ważniejszych cokolwiek wydarzeniach, a w środku jakiś człowiek żywo im coś przedstawiał. Gdy zbliżył się Tobie, obcy przystąpił do niego; pokazało się, że to dawny jego znajomy. Był to stary, siwy majtek, którego często widywaliśmy w Nukahiwie, gdzie pędził życie wygodne i swobodne w domu króla Mowanny. Król lubił go bardzo, i we wszystkiem zasięgał jego rady. Człowiek ten, który przybrał imię Immi, nosił zawsze kapelusz z liści manilowych, i pewien rodzaj szlafroka z tappa;

odzienie to wisiało na nim swobodnie i niedbale, ażeby nie zakrywać znaków tatuowania na ciele. W rękę trzymał wędzisko, a na szyi zawieszoną miał starą, zakopconą fajkę.

Awanturnik ten, porzuciwszy pierwotny swój zawód, oddawna już przebywał w Nukahiwie, wyuczył się wybornie mowy krajowej, i dlatego od Francuzów często używany był za tłumacza. Słyszał, jako niezwykły gaduła; w małej swjej łódce odwiedzał zawsze okręty stojące w przystani, i zabawiał załogę opowiadaniem tysiącznych swych, dziwnych przygód. Przypominam sobie jedną szczególniej jego bajkę o jakimś potworze, który, podług jego zapewnienia, żył wówczas na wyspie. Miał to być pustelnik jakiś słynny z świętości, a zarazem czarownik; mieszkał w ciemnej, głębokiej jaskini, ażeby ukryć przed ludźmi rogi, które mu wyrosły na czole. Stary ten potwór był postrachem okolicy; mówiono, że w nocy wychodził z swjej jamy, i polował na ludzi. Niejaki Paweł Pry, schodząc pewnego razu z góry, zapuścił wzrok w głębię jego jaskini, i ujrzał w niej pełno kości ludzkich.

Wracam do Tobiego. Skoro tylko ujrzał na brzegu starego majtką, pobiegł ku niemu; pospieszyli za nim krajowcy, i kołem otoczyli obydwóch. Immi pozdrowił go i powiedział, że ucieczka nasza z okrętu i pobyt w dolinie Typich były mu oddawna wiadome. Nalegał na niego Mowanna, żeby poszedł do doliny, i sprowadził nas na okręt, gdyż miał chęć podzielić się z nim nagrodą, przeznaczoną temu, ktoby nas dostawił, ale on odmówił stanowczo.

Tobi dziwił się temu bardzo, bo nigdy nie słyszał, żeby Europejczyk mógł bezkarnie odwiedzać Typich. Immi odpowiedział mu, że jeden z kapłanów doliny jest jego przyjacielem, i, że tym sposobem on jest „tabu;“ zresztą rzadko tu przy-

chodzi, i nigdy prawie nie zapuszcza się wewnątrz. Często także przysyłają go, ażeby zakupił owoce dla okrętów stojących w zatoce Nukahiw, i teraz właśnie w tym celu przeszedł góry Happar. Jutro o południu owoce zgromadzone będą na brzegu, on podpłynie z łodziami, i zabierze je.

Zapytał później Tobiego, czy chciałby opuścić wyspę; gdyby tak było, to dziś jeszcze mógłby odpłynąć na okręcie, który stoi w przystani Nukahiw, i właśnie brak mu załogi.

— Nie — odrzekł Tobi — nie mogę opuścić wyspy bez mego towarzysza. Zostawiłem go w dolinie, bo nie chciano go tu puścić. Sprowadźmy go zaraz.

— Ależ on nie mógłby z nami przejść gór — odpowiedział Immi — choćby się nam udało sprowadzić go na brzeg. Lepiej, żeby do jutra został w dolinie. Łódką przewiozę go do Nukahiw.

— To być nie może — zawołał Tobi. — Idźmy i przyprowadźmy go tu zaraz. — Zwrócił się, żeby biedz do doliny, ale zaledwie postąpił kilka kroków, krajowcy pochwycili go, i gwałtem przytrzymali. Próżno usiłował się wyrwać, próżno prosił. Zaklinał starego majtką, żeby sam po mnie poszedł, ale odpowiedział, że w tej chwili krajowcy nie dozwolą mu tego.

Nie wiedział wówczas Tobi, że stary niegodziwiec sam namówił krajowców, żeby go nie puścili, gdy chciał iść po mnie. Wiedział on, że Typi, za żadną nagrodę nie uwolnią nas obydwóch: nie zważając zatem na to, że nie chcieliśmy się rozłączyć, pragnął Tobiego przynajmniej zabrać z sobą, a robił to dla własnego interesu. Przyjaciół mój nie wiedział o tém wszystkiem w owej chwili. Probował znów wyrwać się z rąk krajowców, ale Immi przybliżył się do niego, i powiedział, że-

by ich nie drażnił, gdyż przez to pogorszy tylko wspólne nasze położenie; jeżeli popadną w wściekłość, wówczas trudno przewidzieć do czego dojdą. W końcu namówił go, żeby usiadł w połamanéj łódce, obok słupa kamiennego, na którym stała stara zepsuta szafa, podparta czterema wiosłami, a z przodu zakryta pewnym rodzajem sieci. Tu zgromadzali się rybacy, wracając z połowu, i składali ofiary przed posażkiem bożka, umieszczonego wewnątrz szafy na czarnym kamieniu. Miejsce to, powiedział Immi, jest „tabu“ w najściślejszym znaczeniu tego słowa i nikt nie może targnąć się na niego, ani doń przystąpić, dopóki tu pozostanie. Stary majtek postąpił później ku krajowcom, i żywo rozprawiać począł z naczelnikami; inni otoczyli ów pewien rodzaj kaplicy, pilne dając baczenie na Tobiego, rozmawiali z sobą bezustannie.

Jakby na przekorę zapewnien Immiego, że nikt nie poważy się zbliżyć do tego miejsca, przyszła stara kobieta, i usiadła w łódce obok Tobiego. „Typi mortaki?“ — zapytała. „Mortaki nuí,“ (bardzo dobrzy) — odrzekł Tobi. Później pytała, czy chce iść do Nukahiw, a gdy skinął twierdząco, wstała z wykrzykiem żalu i oddaliła się ze łzami w oczach. Owa staruszka, jak później powiedział Immi, była żoną króla środkowej dolinki, oddzielonej od Typich wązkim tylko parowem. Mieszkańcy obydwóch dolin byli spokrewnieni, i jedną nosili nazwę. Staruszka poprzedniego dnia była właśnie w dolinie Typich u krewnych swoich, z trzema synami, którzy sprawowali urząd naczelników.

Zaledwie oddaliła się kobieta, przyszedł Immi, i powiedział, że ułożył już całą rzecz z krajowcami, i że Tobiemu jedna tylko pozostaje droga. Zapewnił, że nie puszcza go do mnie, i że źle skończy się z nami obydwoma, jeżeli nie opuści

brzegu natychmiast. „Najrozumniej zatem będzie,“ dodał, „jeżeli bez zwłoki udamy się łodem do Nukahiw. Jutro sprowadzę wodą Toma, jak oni go nazywają; przyrzekli mi, że jutro rano przyprowadzą go nad morze; nie będzie więc żadnej zwłoki.“

— Nie, nie! — wołał Tobi w rozpacz; — tak go nie zostawię! Musimy wyjść ztąd razem!

— A więc niema dla was ratunku! — powiedział Immi. — Jeżeli zostawię cię na brzegu, zaciągną cię napowrót do doliny, i żaden z was nie ujrzy już morza. — Przysięgał najuroczyściej, że, jeżeli Tobi pójdzie z nim do Nukahiw, to z największą pewnością jutro przed południem mnie będzie miał przy sobie.

— Zkąd wiesz, że jutro przyprowadzą go na brzeg, kiedy dziś zrobić tego nie chcieli? — zapytał Tobi, który zaczynał wątpić o prawości starego. Immi przytaczał mu rozmaite powody, a opierał je na tajemniczych zabobonach i obyczajach wyspiarzy. Tobi sam nie wiedział, co o tém sądzić, co robić? Miałże mnie samego i w takim stanie zdrowia zostawić pomiędzy dzikimi? Wprawdzie, jeżeli pójdzie z Immim, to może tym sposobem będzie mógł przynieść mi radę i pomoc. To znów przychodziło mu na myśl, że krajowcy, przed jego powrotem, umieszczą mnie gdzieindziej. A jeżeli zostanie, to może go już nie puszcza do téj części doliny, gdzie ja się znajduję? Jednym słowem, biedny mój towarzysz w strasznym był niepokoju; nie wiedział, co miał robić; cała jego rzutność i odwaga na nic mu się teraz nie zdały. Siedział sam jeden w staréj łodzi, a krajowcy, otoczywszy go kołem w pewném oddaleniu, baczenie mu się przyglądali.

— Już późno — powiedział Immi, który stał po za wyspiarzami. — Do Nukahiwu daleko, a nocą nie mogę iść przez dolinę Happarów. Jeżeli pójdziesz ze mną, wszystko będzie dobrze; nie, to żaden z was nie odzyska już wolności!

— Niechże i tak będzie! — rzekł Tobi z ciężkim sercem, zaufam ci! — To mówiąc wyszedł z pod cienia szafki, i długie spojrzenie rzucił ku dolinie.

— Teraz trzymaj się mnie jak najbliżej — zawołał stary — i starajmy się wydobyć ztąd jak najprędzej.

Zbliżyły się Tinor i Fayaway. Poczciwa staruszka objęła kolana Tobiego, i głośnym wybuchnęła płaczem, a Fayaway, niemniej wzruszona, wyrzekła kilka słów angielskich, których się nauczyła, i podniosła w górę trzy palce. Chciała przez to powiedzieć, że Tobi wrócić ma za trzy dni. Stary wypełnął wreszcie Tobiego z natłoku, przywołał młodego Typi, który stał w pobliżu, trzymając prosię na rękach, i wszyscy trzej poszli ku górom.

— Powiedziałem im, że powrócisz — mówił śmiejąc się Immi, kiedy się już z góry spuszczały; — długo na to czekać będą! — Tobi obejrzał się; krajowcy w wielkim byli poruszeniu; dziewczęta na pożegnanie powiewały tappa, mężczyźni machali oszczepami; gdy ostatnia postać z podniesioną ręką, i wyciągniętymi trzema palcami znikła w zaroślach, ciężki ogarnął go smutek.

Ponieważ krajowcy przyzwolili na jego oddalenie się, to niezawodnie, część ich przynajmniej wierzyła w to, że powróci, tém bardziej, że w drodze jeszcze powiedział im, iż dlatego tylko idzie, aby przynieść dla mnie lekarstwo. Immi, prawdopodobnie powiedział im toż samo; zresztą wiedzieli, że Tobi,

na moją prośbę, przedsięwziął był tak niebezpieczną podróż do Nukahiwu: byli zatem przekonani, że tak serdecznych przyjaciół nie nie jest w stanie rozłączyć, i uważali mnie za pewnego zakładnika. Zdaje mi się, że tak być musiało, nie jednak pewnego powiedzieć o tém nie mogę.

— Widzisz, jakim ja jestem „tabu“ — powiedział Immi, gdy wchodzili na górę. — Momo dał mi to prosię w podarku, a młody człowiek, który je niesie, przejdzie z nami przez dolinę Happarów do Nukahiwu. Nie mu nie grozi, dopóki jest przy mnie; toż samo jest z tobą, toż samo będzie jutro z Tomem; uspokój się przeto, i spuść się na mnie! Jutro będziesz go miał przed południem.

Nie zbyt trudno było wejść na górę, bo w pobliżu morza, wyniosłości, stosunkowo, są dosyć niskie; w krótkim czasie stanęli na szczycie; obie doliny leżały u ich stóp. Bielejące się wodospady na drugim końcu doliny Typi zwróciły wzrok Tobiego, a za tą wskazówką łatwo rozróżnił dom Marcheja. Postępując za Immim grzbietem góry, Tobi zauważył, że dolina Happarów nie zachodzi tak daleko wewnątrz wyspy, jak dolina Typich, zrozumiał więc teraz, dlaczego, pomimowolnie, dostaliśmy się do tych ostatnich. Wkrótce ukazała się ścieżka, prowadząca na dół; weszli do doliny Happarów. Tuż u stóp góry stał dom ocieniony drzewami; Immi wszedł do niego z swymi towarzyszami. Dwie kobiety, które zastali w izbie, powitały go serdecznie, jak starego znajomego, i bardzo ciekawie przyglądały się Tobiemu; gdy jednak, na wieść o ich przybyciu, Happarowie gromadzić się poczęli, widać było wyraźnie, że biały człowiek nie jest dla nich tak cudownym zjawiskiem, jak dla Typich.

Stary majtek prosił kobiet, żeby im przygotowały jaki posiłek, gdyż przed nocą jeszcze stanąć muszą w Nukahiwie. Podano im ryby, owoc drzewa chlebowego i banany; jedli, siedząc na matach, otoczeni licznym zgromadzeniem. Happarowie zadawali Immiemu wiele pytań, dotyczących się Tobiego, a towarzyszył mu rozglądał się badawczo, czy nie ujrzy tego, który mu zadał ranę w głowę, dotąd jeszcze niezagojoną. Ale gorący ów rycerz był tyle delikatnym, że się nie pokazał; jego widok byłby może na ciężką próbę wystawił Tobiego, który nie mniej był gwałtowny i zuchwały. Bardzo uprzejmie zapraszali go Happarowie, żeby pozostał z nimi dni kilka, bo właśnie przypadała uroczystość narodowa; odmówił.

Przez cały ten czas młody Typi trzymał się Immiego, jak swego cienia; w domu wesoły i ożywiony, tu był cichy i łagodny jak baranek; usta otwierał tylko do jedzenia. Kilku Happarów dziwnym spoglądało na niego wzrokiem; inni byli grzeczniejsi; chcieli go nawet zabrać z sobą i pokazać mu dolinę, ale Typi nie dał się zwieść. Nie wiem, na ile łokci mógł się oddalić, nie tracąc obrotu dla siebie prawa tabu; on jednak musiał to wiedzieć dokładnie. Młodzieniec przyjął na siebie to ciężkie i niebezpieczne zobowiązanie za obietnicę czerwonej bawełnianej chustki, i jeszcze jakiegoś przedmiotu, o którym jednak żaden z nich nie mówił. O ile Tobi mógł to zbadać, podobny wypadek nigdy się tam nie zdarzył.

Podczas tego wypoczynku, większa, niż przedtem troska i niepokój opanowały Tobiego o mój los. Taki go smutek ogarnął, że chciał koniecznie wracać do doliny; prosił tylko Immiego, żeby go przeprowadził ku górą, ale stary i słuchać o tem nie chciał. Żeby mu inne poddać myśli, namawiał go do picia ponczu krajowego, zwanego „arwa,” który podano na za-

kończenie posiłku; wszyscy pili z jednego płaskiego naczynia z dyni. Tobi znał odurzającą własność tego napoju, i wzbraniał się z początku; Immi domieszał coś do niego, i zapewniał, że przez to poncz utraci moc swoją, a doda im tylko siły i rzeźwości tak potrzebnej do dalszej podróży. Tobi dał się namówić, i w samej rzeczy, sprawdziło się, co mówił Immi: znikło przygnębienie, nowa ożywiła go odwaga.

Teraz dopiero stary awanturnik wykrył prawdziwe pobudki swego postępowania. „Gdy cię zaprowadzę na okręt,” rzekł, „wówczas dasz przecie co biednemu człowiekowi, który cię wyratował.” Jednym słowem, wymógł na Tobim obietnicę, że mu da pięć hiszpańskich talarów z pensyi swój, którą na-przód dostanie. Za moje uwolnienie przyrzekł Tobi wynagrodzić go oddzielnie.

Wkrótce znów udali się w drogę; przeprowadzało ich wielu krajowców; z górnej części doliny puścili się ścieżką, prowadzącą do Nukahivy. Happarowie zatrzymali się tu, potrząsając oszczepami i rzucając groźny wzrok na biednego Typi, którego nogi i serce o wiele stały się lżejsze, gdy z góry już mógł na nich spoglądać.

Szli grzbietem góry, porośłym paprocią. Gdy się spuścili w parów lesisty, spotkali gromadkę krajowców z Nukahivy; wszyscy byli uzbrojeni i nieśli pęki długich prętów. Immi znał ich widać dobrze; zatrzymał się chwilę i gawędził z nimi o „Wiwich,” jak nazywali Francuzów. Byli to poddani króla Mowanny, i z jego rozkazu ścinali te pręty dla sprzymierzeńców swoich, Francuzów.

Wyprzedziwszy wyspiarzy, którzy wolno postępowali ze swym ciężarem, trzech podróżni spieszyli dalej, gdyż słońce zni-

żyło się już ku zachodowi. Zbliżyli się do doliny Nukahiwy od strony zatoki, gdzie wyżyna pochyła się już ku morzu. Wójenne okręty francuskie rozłożyły się w przystani, a na ich widok zdawało się Tobiemu, że to wszystko, co przeżył dotąd, było snem tylko.

Spuścili się ku brzegowi morza, i nim się ściemniło, byli już w domu Immiego. Powitała ich żona starego majtka, razem z Nukahiwy; posilili się mlekiem kokosowym i poi-poi, i wszyscy trzej, gdyż Typi nie mógł odstąpić swego opiekuna, wsiedli w łódkę, i popłynęli do okrętu, stojącego na kotwicy niedaleko brzegu.

Był to właśnie okręt, któremu zabrakło załogi. Nasz okręt odpłynął już przed jakimś czasem. Kapitan ucieszył się bardzo, ujrzawszy Tobiego. Jakkolwiek znalazł go bardzo wynędzniałym, i narazie, niezdolnym do służby, zgodził się jednak przyjąć go, i jego towarzysza, skoro tylko przybędzie. Nie polegając na przyrzeczeniach Immiego, Tobi prosił usilnie o łódź uzbrojoną; chciał udać się do zatoki Typi i mnie oswobodzić. Kapitan odmówił stanowczo; powiedział mu, żeby był cierpliwy, że stary majtek dotrzyma przyrzeczenia. Nie chciał mu również dać pięciu talarów, obiecanych Immiemu, ale Tobi nalegał koniecznie, widział bowiem, że Immi liczył tylko na zarobek: jeżeli mu więc nie odda przyrzeczonej zapłaty, stary nie dotrzyma słowa. Oddał mu więc pieniądze, i uroczyście powtórzył zapewnienie, że otrzyma większą jeszcze sumę, gdy mnie dostawi na pokład.

Nazajutrz Immi i młody Typi przed wschodem słońca wybierali się w drogę; towarzyszyła im druga łódź, również obsadzona wyspiarzami tabu. Tobi chciał koniecznie przyłą-

czyć się do nich, ale Immi powiedział, że przez to popsułby wszystko. Zdecydował się więc zostać, jakkolwiek przyszło mu to z ciężkością.

Pod wieczór Tobi był na straży w koszu masztowym; ujrzał łodzie, okrążające brzeg lądu, i wpływające do zatoki. Wyteżył całą siłę wzroku, i nie zobaczył mnie, gdyż mnie tam nie było. Szybko spuścił się z masztu, pochwycił Immiego, gdy wchodził na pokład, i krzyknął takim głosem, że stary majtek cofnął się przestraszony: „Gdzie Tom?“ Stary zawahał się z odpowiedzią, wkrótce jednak odzyskał przytomność, i starał się go uspokoić, mówiąc, że tego poranku nie udało mu się sprowadzić mnie na brzeg, ale zapewniał, że jutro o świcie popłynie do zatoki na łodzi francuskiej, i ma nadzieję, że z pewnością zastanie mnie na brzegu; gdyby jednak było przeciwnie, wówczas pójdzie do doliny, i gwałtem uprowadzi mnie, choćby się nawet miał wystawić na niebezpieczeństwo. I teraz jednak nie chciał, żeby mu Tobi towarzyszył.

Cała nadzieja Tobiego polegała już tylko na tym człowieku, musiał więc zastosować się do jego woli, i pocieszać się jego obietnicami. Następnego poranku z radością ujrzał odpływającą łódź francuską z Immim. Dziś wieczorem będzie już tu, pomyślał. Ale zaledwie łódź znikła mu z oczu, kapitan kazał podnieść kotwicę. Próżne były błagania i gniew biednego mego towarzysza: wcale na niego nie zważano, a gdy przyszedł do siebie z żalu i oburzenia, żagle powiewały już w powietrzu, okręt w szybkim biegu płynął na pełnym morzu.

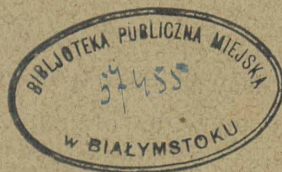
— O — mówił Tobi, gdyśmy się znów zeszli w rodzinnej naszej ziemi — ileż bezsennych przebyłem nocy! Jeżeli zasnąłem na chwilę snem niespokojnym, śniło mi się, że widziałem cię przed sobą: zrywałem się z hamaku, a przekonawszy się,

że to tylko złudzenie, znów gorzkie robiłem sobie wyrzuty,
zem cię tak samego zostawił na wyspie.

* * *

Niewiele już pozostaje mi do opowiedzenia; Tobie porzu-
cił ów okręt na Nowej-Zelandyi, i w lat dwa po wydostaniu się
z wysp Markizów, wrócił do ojczyzny. O mnie myślał, że
dawno już nie żyję, i ja miałem go również za umarłego. Bóg
pozwolił jednak, żeśmy się znów zobaczyli, co zdjęło straszny
ciężar z serca Tobiego.

K O N I E C.



SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp	1
ROZDZIAŁ PIERWSZY. Wyspy Markizy	1
ROZDZIAŁ DRUGI. Nukahiwa	7
ROZDZIAŁ TRZECI. Postanowienie	12
ROZDZIAŁ CZWARTY. Ucieczka	21
ROZDZIAŁ PIĄTY. Na górach	28
ROZDZIAŁ SZÓSTY. Ponad skały i przepaście	37
ROZDZIAŁ SIÓDMY. Nadzwyczajna wędrówka	45
ROZDZIAŁ ÓSMY. Happarowie czy Typi?	54
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. Wojownik i lekarz	65
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. Nasz dom i jego mieszkańcy	70
ROZDZIAŁ JEDENASTY. Okropna noc	77
ROZDZIAŁ DWUNASTY. Przygoda Tobiego z Happarami	85
ROZDZIAŁ TRZYNASTY. Zniknięcie Tobiego	92
ROZDZIAŁ CZTERNASTY. Obecny człowiek zjawia się w dolinie	100
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. Dolina Typi i sposób życia jej mie- szkańców	108
ROZDZIAŁ SZESNASTY. Przeróżające odkrycia	118
ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCI. Drugie odwiedziny Marnu	129
ROZDZIAŁ OŚMIENASTY. Oswobodzenie	134
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY. Historia Tobiego	145



533

A 19e/16e
Melville
Cztery